

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Ilu uchodźców jeszcze się tu zmieści
- Biedny jak Rosjanin w Paryżu
- Skąd wiesz, że nie masz HIV
- Polski teatr tylko dla wybranych
- Jest zamiennik dla Twittera
- Chiny chcą wojny



WYSOKIE
OBCASY

Katarzyna Miller

Jak dobrze, że nie mam dzieci



GAZETA

wyborcza.pl
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Jak ukradli nam dobrobyt



- Bogusław Grabowski wie, co Glapiński ma w głowie
- Dominika Wielowieyska zna pomysły PiS na kampanię

ILUSTRACJA JACEK GAWŁOWSKI

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Ambasador
Polski**
wybiera
wolność



Czym generał
Jaruzelski
zmarł
militantów

Po co
generałowi
**tylko srebrnych
łyżek**

Lenin chciał
czegoś innego.
**100. urodziny
ZSRR**



Kupuj wygodnie
na skiteam.pl

Sprzęt narciarski i snowboardowy

Marki premium.
Szeroki asortyment.
Najnowsze kolekcje.
Profesjonalna obsługa.



Wybrany asortyment zimowy od **30% do 50% taniej!**

KONKURS NAJWYŻSZY PARAGON

WYGRAJ 5-DNIOWY WYJAZD DO TYROLU

DLA DWÓCH OSÓB



5 Tyrolskich Lodowców. Im wyżej, tym lepiej.
Kaunertal | Pitztal | Sölden | Stubai | Hintertux



Poleć regulamin promocji "Najwyższy paragon" oraz

WARSZAWA: ul. KOR 36/38 | **WARSZAWA:** ul. Toruńska 107b
POZNAN: ul. Bułgarska 117a | **WROCLAW:** CH Arkady Wrocławskie

KATOWICE - NOWA LOKALIZACJA
ul. Sportowa 20 (200m od CH Silesia)

REKLAMA

ZAPRASZAMY 7 DNI W TYGODNIU

Poniedziałek - Sobota 10:00 - 21:00 | Wszystkie Niedziele 11:00 - 18:00



SPYDER

KOLEKCJA 2022/2023

JUŻ DOSTĘPNA
W NASZYCH SKLEPACH

Kupuj na **10 lub 20 RAT RRSO 0%**

Rat udziela
Santander Consumer Bank.

ZRÓB ZAKUPY ZA MINIMUM 2 000 ZŁ I ODBIERZ
DWA DARMOWE JEDNODNIOWE SKIPASSY
NA JEDEN Z 5 TYROLSKICH LODOWCÓW

5 Tyrolskich Lodowców. Im wyżej, tym lepiej.
Kauertal | Pitztal | Sölden | Stubai | Hintertux



5 Tyrolskich
lodowców
Im wyżej tym lepiej

Darmowy skipass znajdziesz na skiteam.pl/regulaminy



Wypożyczalnia



Centrum testowe



Serwis



Bootfitting



Skaner stóp 3D

Bartosz T.
Wielński



Dlaczego Duda nie dzwoni do Teheranu

Dwa miesiące temu, gdy Iran ogarniała fala protestów, Andrzej Duda rozmawiał przez telefon z prezydentem Ebrahimem Ra'isim. Z tej perspektywy widać, jak niemądry był to ruch.

W Iranie ciągle wrze. Protesty po śmierci 22-letniej Mahsy Amini ogarnęły cały kraj, zamieniając się w rewolucję przeciwko dyktaturze fanatyków. We wrześniu Amini została zatrzymana w Teheranie przez policję obyczajową, bo niedostatecznie zakryła włosy hidżabem. Funkcjonariusze ją skatowali. Na ulice wyszły dziesiątki tysięcy wściekłych młodych ludzi.

To nie pierwszy tego typu zryw w najnowszej historii Iranu. Teokratyczny reżim do tej pory radził sobie z buntami brutalną siłą i zastraszaniem. Teraz strach nie działa. Obrońcom praw człowieka udało się zidentyfikować prawie 500 zabitych przez służby reżimu, w tym 60 dzieci, a rzeczywista liczba ofiar jest o wiele większa. Tysiące ludzi – w tym dzieci – zamknięto w więzieniach. Zapadają wyroki śmierci. A mimo to w poniedziałek w 40 najważniejszych miastach rozpozwał się strajk generalny.

Październikowa rozmowa z Ra'isim nic nie dała. Duda miał przekonywać Irańczyka, by wstrzymał dostawy dronów dla Rosji. Rosjanie dalej wykorzystują irańskie drony kamikadze, korzystają z pomocy irańskich instruktorów,

Iran nadal wysyła drony do Rosji, chce wysłać rakiety balistyczne, za to wykorzystał gest prezydenta

z irańską pomocą chcą uruchomić produkcję dronów u siebie. Ba, Iran ma przekazać Rosji rakiety balistyczne. Reżim natomiast wykorzystał gest Warszawy. – Podczas gdy Europa okazuje poparcie dla zamieszek w Iranie, prezydent Polski

zadzwoił do prezydenta Iranu, aby omówić wzmocnienie stosunków dwustronnych i koniec wojny w Europie – informował Teheran.

Dla Polski to policzek. Kolebka „Solidarności” wsparła krwawy reżim. A przecież represje dopiero się rozkręcały.

W sprawie rozmowy Dudy wybuchła awantura. Z lamusa, by bronić prezydenta, wyciągnięto upadłe gwiazdy PiS-owskiej dyplomacji. Krytyków Dudy próbowano zakrzyczeć. A w końcu temat przyschnął, tak jak poprzednie dyplomatyczne wpadki, więc Iran przestał rządczych interesować.

Tymczasem Polska – właśnie dlatego, że jest kolebką „Solidarności” – wobec godnościowej rewolucji nie powinna być obojętna. Powinna wspierać ludzi, którzy walczą o wolność, kładą na szali własne życie. Powinna piętnować zbrodnie reżimu. Jest wiele możliwości, by Andrzej Duda oraz inni prominentni politycy obozu władzy publicznie okazali, że los Iranek i Irańczyków nie jest im obojętny. Prezydent, skoro już przetał szlak, mógłby np. zadzwonić do Teheranu po raz drugi. I nie po to, by prosić, ale by żądać zatrzymania represji.

Pokazałby w ten sposób, że potrafi uczyć się na błędach. W dyplomacji to cenna umiejętność. ●

Ziemia Święta

Grzane wino ponad podziałami



FOT. MAHMOUD ILLE/ANP

Jerozolima. Święty Mikołaj pozuje do zdjęć na Górze Oliwnej, na tle Kopuły na Skale. W cywilu Mikołaj jest Issą Kassissiehem, byłym kapitanem reprezentacji Autonomii Palestyńskiej w koszykówce. Siedem lat temu na parterze swojego 700-letniego domu urządził kwatere Świętego Mikołaja, do której na łakocie i grzańca (jest chrześcijaninem) zaprasza wszystkich, niezależnie od wyznania (lub jego braku).

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco przez cały weekend *

WCBJP22

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl

Ivana Knöll

Biust obnaża hipokryzję

Spakowałam cztery chusty, Sspódnice za kolana (...) zasad dotyczących stroju jak najbardziej zamierzam przestrzegać. Jestem na obcej ziemi, szanuję jej reguły. Proste” – napisała w mundialowym felietonie Iza Koprowiak.

Dziennikarka sportowa Onetu nie rozumie tego, co – płacąc własną krwią – próbują przekazać światu Iranki: że prześladowanie kobiet to nie kultura, to po prostu prześladowanie. To, że coś trwa setki lat i jest podlane religijnym sosem, nie znaczy, że jest OK.

Niemym wykład na ten temat daje była miss Chorwacji Ivana Knöll, która na meczach w Katarze świeci biustem i ostentacyjnie kręci pupą. Chorwatka mówi, że po prostu żąda szacunku do kultury europejskiej, i obnaża hipokryzję Katarczyków. W sieci furorę robią zdjęcia, na których mężczyźni w dżalabijach nie odwracają ze wstrętem oczu od wyuzdanej Europejki, tylko z upodobaniem robią jej zdjęcia.



FOT. THANASSIS STAVRAKIS/AP

Choć w Katarze za niestosowny ubiór kobieta może być ukarana grzywną lub nawet trafić do więzienia, a zasady ubioru dla kibicek były jasne, Ivany nikt dotąd nie wyprowadził z trybun.

Mало interesuje mnie, że być może Knöll robi sobie zasięgi (ma już na Instagramie 1,7 mln followersów), bardziej, że robi dobrą robotę. 43 lata temu Oriana Fallaci podczas wywiadu z Chomeinim zerwała z siebie czador i nazwała go głupią średniowieczną szmatką. Knöll na swój sposób robi to samo. I tak jak Chomeini mimo afroantu udzielił wywiadu Fallaci, tak Knöll wciąż jest na trybunach. Oriana przybiłaby jej piątkę. ● **Natalia Waloch**

Andrzej rysuje



Duży Format



JEWGIIENIJ MALOLETKI

Po nieudanej reanimacji małej dziewczynki lekarz krzyknął do nas: „Pokażcie te zdjęcia Putinowi, oczy nieżyjącego dziecka i oczy płaczącego lekarza!”.

Rozmowa z laureatem Nagrody im. Krzysztofa Millera – w poniedziałek

Czysty transport



FOT. SCREEN Z YOUTUBE

55 METRÓW
• wysokości i 825 m kw. powierzchni ma żagiel masowca „Shofu Maru”, który właśnie zakończył rejs z Australii do Japonii. Żagiel wspomaga tradycyjny silnik, ale i tak zaoszczędzono 25 tys. ton paliwa, i to bez optymalizacji kursu pod kątem wiatru. Ekostatek wioził 80 ton węgla.
• Więcej na Wyborcza.pl/klimat

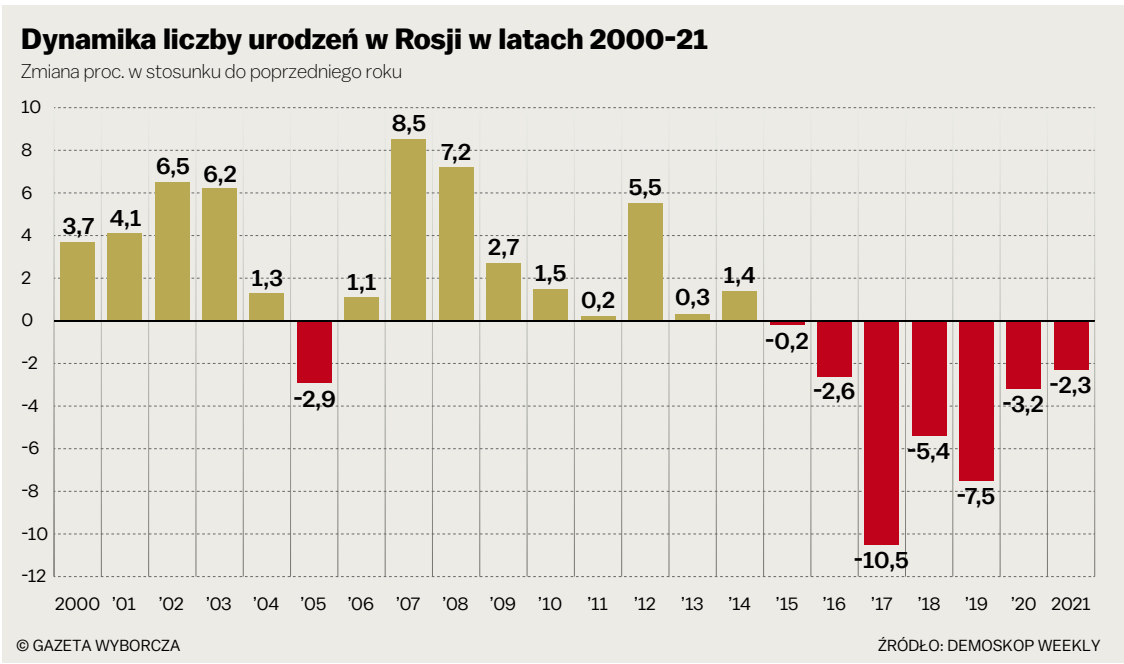
Cytat dnia

„Gdzieś w zamrażalniku znajduje się 25 naszych dzieci, które być może będą żyły, a może zostaną zabite. Dziecko poczęte z próbówki jest produktem, a nie życiem. Nie jest istotą, a zwierzęciem”

Z ULOTKI PiS

rozdawanej radnym w Jeleniej Górze przed głosowaniem nad finansowaniem in vitro. Radni PiS opowiadali też o „sprawdzeniu człowieka do produktu na zamówienie”.

Wykres tygodnia
Nie chcą rodzić żołnierzy



Atakując Ukrainę, Rosja strzeliła sobie w stopę nie tylko gospodarczo i wizerunkowo, ale też demograficznie. Formalnie wyników za ten rok jeszcze nie ma, ale miesięczne dane wskazują na rekordowy spadek liczby urodzeń. Zdaniem demografki Eleny Czuriłowej „decyzja o dziecku zaczęła być jeszcze bardziej odkładana, bo niepewność znacznie wzrosła”, swoje zrobiły też dwie wielkie fale emigracji. Pierwsza – zaraz po inwazji, druga – po mobilizacji 21 września. Szacuje się, że z Rosji w 2022 r. ucieknie 600 tys. osób. **Więcej ►** [Biqdata.wyborcza.pl](#)

Czy Polska odrobi lekcję Kanady

Piłka wielokolorowa

Czasy etnicznie jednolitych reprezentacji narodowych minęły bezpowrotnie

Mazzini

Strzelił gola, po czym rzucił się w kierunku narożnika. Ledwo tłumił emocje. Ciężył mu niestrzelony w pierwszym meczu karny. Na plecach miał presję oczekiwań 38-milionowego narodu. Przez lata błyszczał w Bayernie Monachium, eksperci wymieniali go jako jednego z najlepszych na świecie. Brakowało jednak sukcesów z kadrą, w której gra z kolegami o nieporównywalnie mniejszej skali talentu. Aż wreszcie, w drugiej kolejce mistrzostw świata, piłka znalazła się w siatce.

Nie, to nie jest historia Roberta Lewandowskiego. Chłopakiem, który ryknął z radości po zwycięskiej głowce, był Alphonso Davies, najlepszy futbolista w dziejach Kanady. Jego gol, strzelony już w 2. minucie wicemistrzom świata Chorwatom, miał wagę jeszcze większą od tego, po którym Izami zalał się nasz kapitan. Kanada na mundialu gra drugi raz. Przez trzy i pół dekady Kanadyjczycy nie przechodzili przez eliminacje, gdzie przegrywali z krajami kilkadziesiąt razy mniej zamożnymi. Po porażce 8:1 z Hondurasem w 2012 r. nawoływano do rozwiązania reprezentacji, bo przynosiła tylko wstyd. A dziś? Kanadyjczycy grają widowiskowo, szybko, taktycznie. W ich stylu widać elementy wszystkich dominujących kultur piłkarskich.

Może dlatego, że grają dla niej piłkarze właśnie z tych kultur się wywodzący. Spośród 26 zawodników aż siedmiu urodziło się poza granicami kraju. Davies ma życiorys najbardziej znany, bo chwytający za serce: rodzice pochodzą z Liberii, on sam na świat przyszedł w Buduburam, mieście w Ghanie będącym permanentnym obozem dla uchodźców. Do Kanady trafił, w wieku pięciu lat, trenował dzięki publicznym subsydiom dla rodzin uchodźców, bo rodziców nie było stać na sprzęt i dojazd na treningi. W Afry-

ce urodził się też pomocnik Ismael Kone (Wybrzeże Kości Słoniowej). Trzech piłkarzy na świat przyszło w Anglii, tak samo jak ich trener, wyrwany z kobiecej reprezentacji (też ewenement) John Herdman. Napastnik Jonathan David ma w akcie urodzenia Nowy Jork, bramkarz Milan Borjan – chorwacki Knin. A kolejnych 12 piłkarzy to imigranci drugiego pokolenia. Ich rodzice przybyli m.in. z Jamajki czy Trynidadu i Tobago. 36 lat temu, kiedy Kanada przegrywała wszystko do zera, większości ich rodzin w Kanadzie jeszcze nie było.

Spośród 32 reprezentacji tylko cztery zabrały do Kataru piłkarzy urodzonych na terenie kraju, który reprezentują. Korea Południowa i Arabia Saudyjska to społeczeństwa hermetyczne, które na przybyszów patrzą z rezerwą, rzadko dopuszczając ich do publicznie widocznych ról. A Brazylia i Argentyna, futbolowe supermocarstwa, piłkarzy raczej eksportują. W składach drużyn pobrzmiewają echa wszystkich procesów, które toczyły się na świecie: migracji między Południem a Północą, upadku kolonialnych imperiów, kryzysów uchodźczych i klimatycznych, wprowadzenia wolności pracy i pobytu w UE. Najwięcej urodzonych poza granicami piłkarzy, aż 14, ma Maroko. Prawie wszyscy na świat przyszli głównie w Belgii, Francji i Hiszpanii. Tam często dochodzili nawet do młodzieżowych reprezentacji. W dorosłej piłce (FIFA nie zezwala na zmianę barw narodowych po debiucie w seniorskiej kadrze) wybrali jednak kraj rodziców. Czę-

Spośród 32 drużyn tylko cztery zabrały do Kataru wyłącznie piłkarzy urodzonych w kraju, który reprezentują

sto pragmatycznie, w europejskich kadrach mieliby mniejsze szanse. W wielu przypadkach decydowały jednak względy emocjonalne, kwestie religijne czy kulturowe. Europejskich trenerów drużyn narodowych chłopaki z imigranckich rodzin coraz częściej odprowadzają z kwitkiem, bo afrykańskie reprezentacje rosną w siłę, także dzięki wychowankom szkółek na Starym Kontynencie. Ale tak naprawdę powodem bywa rasizm, dawanie do zrozumienia nawet nastolatkom, że są obywatelami drugiej kategorii.

Pozostałe miejsca na podium tej statystyki zajmują Tunezja (12) i Senegal (12). Tu też mnóstwo piłkarzy wychowanych w europejskich klubach, którzy zdecydowali się grać dla drużyn przodków. Bywa, że międzynarodowe rodowody reprezentacji są wynikiem celowych działań, jak w Katarze. Tu nie ma mowy o kulturowej otwartości czy sentymentach, liczy się wynik. Dlatego dla gospodarzy gra aż 10 zawodników urodzonych gdzie indziej.

Są w multietnicznych reprezentacjach przykłady warte osobnego przyjrzenia się. Jak Timothy Weah, syn gwiazdy AC Milan lat 90., który na mundialu strzelił już gola w barwach USA (urodził się w Nowym Jorku), choć ojciec służy własnej ojczyźnie, Liberii – jest tam prezydentem. Albo bracia Williams. Obaj urodzili się w Bilbao, przez co lokalsi uważają ich nie tyle za Hiszpanów, co nawet za Basków, pozwalając im grać dla Athleticu – do tej drużyny dopuszcza się tylko zawodników mających wyraźne związki z regionem. Władze klubu odrzucały gwiazdy takie jak wicemistrz świata z Argentyny Gonzalo Higuaín czy Urugwajczyk Diego Forlán. Ale na mundialu Williamsowie grają przeciwko sobie. Starszy, noszący baskijskie imię Iñaki, reprezentuje Ghanę, kraj przodków. Młodszy, Nico, do Kataru pojechał na wezwanie Hiszpanii. Ich rodzice na Półwysp Iberyjski trafili, przecho-

dząc przez Saharę w migranckiej karawanie i przeskakując płot w Melilli, hiszpańskiej enklawie w Maroku. Dom państwa Williamsów to wieża babel, wszyscy nauczycieli się nawet euskera, skomplikowanego języka baskijskich autochtonów.

Łącznie do Kataru pojechało aż 137 piłkarzy urodzonych w kraju innym niż ten, który reprezentują. Trendowi umiędzynarodawiania kadr nie oparła się żadna drużyna europejska. W tym Polska, w której barwach biega urodzony w podlondyńskim Slough Matty Cash czy Nicola Zalewski, chłopak z przedmieść Rzymu, po polsku mówiący ze śpiewnym akcentem. Cztery lata temu w Rosji jednonarodowych reprezentacji było jeszcze 10, teraz zachowały się tylko cztery. Piłkarze z mniejszości etnicznych, rodzin imigranckich czy uchodźczych coraz większe role odgrywają też w krajach, w których rasizm na stadionach jest wciąż odczuwalny. Najlepszym przykładem Włochy. Oni też piłkarzy importują, w tym z krajów, do których dawniej sami emigrowali, a więc Brazylii i Argentyny. Już raz, na Euro 2012, ciągnął ich do przodu Mario Balotelli, syn ghańskich uchodźców, adoptowany przez włoską rodzinę. Teraz nadzieją jest Kelvin Yeboah, gwiazda młodzieżówek, urodzony w Ghanie. Balotelli nadal chce grać dla włoskiej kadry, choć z tamtejszej ligi uciekł, również z powodu rasizmu. Ostatni raz w Serie A grał w sezonie 2019/20, regularnie wysłuchując obelg, mimo że spośród czynnych piłkarzy to on strzelił dla reprezentacji najwięcej bramek.

Czasy mononarodowych reprezentacji minęły bezpowrotnie. Może więc warto zaprosić migrantów do wspólnoty. Na początek – poprzez grę w piłkę. Zwłaszcza w kraju, którego reprezentacja za bardzo nie porywa ani wynikami, ani stylem. **Mateusz Mazzini**

DZIŚ POSADZĄ UCHODŹCĘ JUTRO CIEBIE I MNIE

Rząd PiS robi wszystko, żeby zachęcić uchodźców i migrantów. Tych młodych, silnych i wysportowanych

KLAUS BACHMANN

Łódzie przemytników muszą być stare, zdezelowane i przeladowane. Bo zgodnie z prawem morskim migranci mają szansę na przyjęcie w Europie, jeśli inny statek ich ratuje – a więc aby zostać uratowanym, trzeba być w niebezpieczeństwie.

Kto buduje mury i ploty, ten dostaje mniej rodzin z dziećmi, a więcej wysportowanych młodzieńców, którzy są w stanie forsować umocowania, przekupić pograniczników albo korzystać z budowanych przez mafie narkotykowe tuneli.

W 2015 r. w kilka tygodni do Niemiec przyjechało 800 tys. uchodźców i imigrantów, głównie z Syrii, ale też z Afganistanu, Bałkanów i zachodniej Afryki. Władze nie były w ogóle przygotowane, choć Angela Merkel mówiła: „Damy radę”. To, że dały radę, Niemcy zawdzięczają gminom i społeczeństwu obywatelskiemu, które zajęły się przybyszami, zakwaterowały ich, nauczyły niemieckiego i pomogły w procedurach administracyjnych. Potem wszyscy zawisli wyczerpani na linach jak pięściarze po 12-rundowej walce zakończonej zwycięstwem na punkty i przysięgli: to nie może się nigdy więcej zdarzyć. Stało się to credo wszystkich partii, od Zielonych, którzy uważali, że następnym razem wszystko powinno być lepiej zorganizowane, po populistyczną Alternatywę dla Niemiec (AfD), która uważała, że nigdy więcej nie powinno się wpuszczać tak wielu „obcych”.

Zaledwie siedem lat później to, co nigdy nie miało się już powtórzyć, właśnie się powtarza. Do Niemiec w ciągu kilku tygodni, nie miesięcy, uciekło ponad 1 mln Ukraińców (do Polski – ponad 3 mln, z których większość już wróciła, ale nadal mamy w Polsce około 2 mln Ukraińców, w tym 1 mln przybyłych po rosyjskiej inwazji). W Niemczech wzrasta też migracja szlakiem wschodnich Bałkanów – z Turcji do Grecji – oraz z Libii przez Włochy.

A wraz z nią pojawia się odruchowe wołanie, by zamknąć granice. UE wywiera teraz presję na Serbię, która stosując bardziej humanitarny wariant metody Łukaszenki, przyciąga podróżnych z 30 krajów ruchem bezwizowym, a następnie pozwala im kontynuować podróż do Unii.

Podziały w polityce też są podobne do tych z 2015 r. Jedni domagają się humanitarnego podejścia, większych wydatków na integrację

i otwartych granic (także dla rosyjskich dysydentów i dezterów). Można ich nazywać moralistami, bo chodzi im o to, aby się tu i teraz zachowywać przyzwoicie – bez względu na konsekwencje. Inni, nazwijmy ich stróżami porządku, domagają się bezpiecznych granic, uporządkowanej imigracji albo nawet zamknięcia granic w imię bezpieczeństwa i porządku.

Ten podział istnieje niemal wszędzie, w krajach demokratycznych i dyktatorskich. W USA ten spór toczą Republikanie i Demokraci, w Niemczech prawica i lewica, a w Iranie ci, którzy są gotowi przyjąć uchodźców z Afganistanu, i ci, którzy uważają to za niebezpieczne. Ale to całkowicie fałszywy podział. Ten spór zakłada bowiem możliwość wyboru, którego nie ma: że rząd może swobodnie decydować, kogo wpuści, a kogo nie, a granice państw są drzwiami, które można otworzyć albo zamknąć. Problem w tym, że tych drzwi nie było i nie ma, więc nawet Angela Merkel nie mogła ich otworzyć ani zamknąć. PiS właśnie się o tym przekonuje.

Na podstawie umów międzynarodowych i wielostronnych zobowiązań, takich jak konwencja genewska o uchodźcach, traktaty unijne, europejska konwencja praw człowieka, ale także krajowego prawa konstytucyjnego, powstał system, który opiera się na dwóch prostych filarach. Pierwszy – każde państwo musi pozwolić obywatelowi na opuszczenie go. Drugi – zasada suwerenności, zgodnie z którą każde państwo ma prawo samodzielnie decydować, kogo wpuszcza na swoje terytorium. Z nielicznymi wyjątkami cudzoziemcy nie mogą wymusić na sądach wjazdu do innego państwa. Trochę jak w codziennym życiu: nie możesz nikogo zamknąć w swoim domu, ale nie musisz też nikogo wpuszczać.

Brzmi to uspokajająco dla wszystkich miłośników porządku tego świata. Istnieje jednak tylna furta, która miała być wyjątkiem, ale stała się regułą: każda osoba poszukująca ochrony przed wojną, prześladowaniem i dyskryminacją ma prawo do rozpatrzenia wniosku o ochronę. A żeby go rozpatrywać, trzeba wnioskodawców najpierw wpuścić. Rozpatrywać – oznacza w warunkach państwa prawa przeprowadzenie dwuinstancyjnej procedury administracyjnej, od której wyniku można się następnie odwołać do sądów. W niektórych krajach ta-

ka procedura kończy się przed sądem najwyższym albo trybunałem konstytucyjnym, potem – jeśli należą do Rady Europy – przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka. Jeśli ktoś przegra i państwo chce go deportować, może się ponownie odwołać od decyzji o wydaleniu.

To oznacza, że pozostaje w tym państwie przez kilka lat, aż do ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy. W tym czasie jego dzieci będą chodziły do szkoły, będą miały przyjaciół, nauczycieli i być może nawet będą znały język tego kraju lepiej niż swój język ojczysty. To wszystko daje gwarancję, że będzie dużo chętnych, aby taką rodzinę obronić przed deportacją. Dzieci przecież nie mają z Irakiem nic wspólnego, może nawet już nie mówią po arabsku – deportować je byłoby takim samym okrucieństwem jak deportacja dowolnego innego dziecka z Europy do Iraku.

Dlatego w końcu prawdopodobnie zostaną tutaj, w Europie, nawet jeśli w momencie wjazdu rodzina nie spełniała warunków do uzyskania azylu politycznego lub ochrony przed wojną i prześladowaniami. To sprawia, że inni starają się robić to samo, ponieważ nasza iracka rodzina, która równie dobrze mogłaby pochodzić z Afganistanu, Syrii, Nigerii czy Egiptu, nie zachowuje wszystkiego w sekrecie, ale opowiada o tym krewnym i znajomym w Iraku. To tzw. efekt przyciągania, badacze migracji nazywają go „pull effect”. Do tego dochodzą inne czynniki, takie jak dostęp do rynku pracy czy wysokie świadczenia socjalne, które ułatwiają tej rodzinie spłatę długów, jakie narosły w trakcie podróży: wobec krewnych w domu, czasem nawet wobec całej wioski i wobec przemytników, którzy w ogóle umożliwili jej dotarcie tak daleko.

Moralisci i miłośnicy porządku mogą się spierać, czy to migranci, czy to uchodźcy, zagrożenie czy wzbogacenie naszej kultury, ale obie strony zgadzają się co do jednego: że to przemytnicy są szwarczarakterami tej historii. Ich model biznesowy opiera się na wabieniu biednych migrantów do Europy, na ich maltretowaniu i wykorzystaniu. To przemytnicy zabierają migrantom już tu, na miejscu, zasiłek lub wynagrodzenie i zmuszają do spłacenia długów. Taki jest stereotyp przemytnika w mediach: to bezwzględny, żądny pieniędzy bandyta z kryminalną przeszłością



i mafijnymi powiązaniem, który upycha migrantów w ciężarówce i nic go nie obchodzi, czy się tam uduszą. Mniej mówi się o przemytnikach, którzy sami są uchodźcami, np. gdy grupa uchodźców kupuje starą łódź, a jeden z nich, ponieważ ma patent kapitana, prowadzi ją przez Morze Śródziemne. Oburzamy się, że to zawsze stare, zdezelowane i przeladowane łodzie, i w naszych oczach to kolejny dowód na cynizm i bezwzględność przemytników. Ale one są stare i nic niewarte, bo jako narzędzie nielegalnego przekroczenia granicy są natychmiast konfiskowane po dopłynięciu do Włoch, Grecji, Francji, Hiszpanii. A kto kupowałby nowoczesną łódź albo wygodny statek do jednorazowego użytku?

Zgodnie z prawem morskim migranci mają szansę na przyjęcie w Europie, jeśli inny statek ich ratuje – a więc aby zostać uratowanym, trzeba być w niebezpieczeństwie. I tak na morzu odbywa się codziennie śmiertelny konkurs: migranci muszą wystarczająco dużo ryzykować, aby inne statki były zmuszone ich ratować. Stawiają wszystko na jedną kartę: życie w Eu-

ropie albo śmierć. Niekoniecznie dlatego, że tam, skąd pochodzą, są prześladowani. Czasami silniejszą motywacją jest strach przed hańbą, która ich czeka, jeśli wrócą żywi, ale bez zarobku w euro dla krewnych i swojej wioski, gdzie wszyscy składali się na ich podróż.

Czy ludzi, którzy decydują się na taką podróż, powstrzyma jakiś płot na ich drodze?

Równie rzadko czytamy w mediach o tych wszystkich, którzy pomagają migrantom po drodze i zarabiają na nich, ale nigdy nie docierają do Europy: właściciel hostelu w Czadzie, który nie pyta o dokumenty, dopóki goście płacą jego rachunki, kierowca ciężarówki, który za pieniądze zabiera z drogi ludzi, których języka nie rozumie, czy – przypadek skrajny, ale wcale nie rzadki – biuro podróży w Kenii, które organizuje klientowi rodzinę w Wielkiej Brytanii gotową potwierdzić na piśmie, że ów jest członkiem rodziny i w związku z tym ma prawo do łączenia rodzin. To kosztuje dużo, bo rodzina w Wielkiej Brytanii nie robi tego za darmo i podejmuje

pewne ryzyko. Ale taki klient nie musi przepłynąć Morza Śródziemnego na pontonie, tylko leci samolotem. Operator hostelu i kierowca ciężarówki nie robią nic nielegalnego, a biuro podróży działa w dobrej wierze.

O tym, jak niejednoznaczne jest bycie przemytnikiem pod względem prawnym, może świadczyć to, że prawie wszystkie kraje definiują to jako odpłatną pomoc przy nielegalnym przekroczeniu granicy. Brzmi przekonująco, bo pozwala ścigać chciwych bandziorów, ale nie pozwala karać organizacji pozarządowych i statków ratunkowych, bo one na swojej działalności nic nie zarabiają. Lecz granica między jednym i drugim jest cienka, co pokazała jesień 2015 r., gdy władze austriackie zaczęły ścigać taksówkarzy, którzy przywieźli uchodźców z Węgier. Kto włączył taksometr, został oskarżony o przemyt migrantów, wyłączony taksometr chronił przed karą.

Każdy, kto wyrusza do innego kraju, ma jeden lub więcej powodów, które go stamtąd wypychają, i jeden lub więcej powo-

dów, które ciągną go do konkretnego, innego kraju. Badacze migracji mówią o czynnikach przyciągających i wypychających. Do wypychających należą ucisk, wojna, ale także ubóstwo lub klęski żywiołowe, a więc czynniki, które niekoniecznie spełniają warunki do uzyskania azylu lub ochrony w UE.

W Europie nie mamy praktycznie żadnego wpływu na te czynniki.

Od lat na szczeblu unijnym i w tych państwach członkowskich, które przyciągają najwięcej imigrantów, debatuje się o powiązaniu pomocy rozwojowej z gotowością państw beneficjentów do przyjmowania swoich obywateli wydalanych z Europy. Państwa, które pomagają w identyfikacji takich migrantów, przyjmują ich z powrotem i starają się utrudnić życie przemytnikom, mogą liczyć na więcej wiz dla swoich obywateli i na większą pomoc. Najbardziej jaskrawym przykładem takiego układu jest porozumienie, jakie Niemcy wynegocjowały z Turcją w 2016 r.: Turcja przyjmuje z powrotem migrantów z Grecji (jeśli przybyli przez Turcję) i utrudnia im przeprawę przez morze, w zamian Unia przyjmuje więcej migrantów bezpośrednio z Turcji



i płaci Turcji 6 mld euro za polepszenie warunków uchodźców z Syrii tak, aby zostali w Turcji.

Ale to była akcja doraźna, aby zatrzymać marsz na szlaku bałkańskim. Ani Niemcy, ani UE nie mają środków, aby wyeliminować ubóstwo i suszę w Sahelu tak szybko i trwale, aby ludzie stamtąd nie chcieli się przedostawać do Niemiec.

Po pierwsze, dotyczy to zbyt wielu ludzi, aby Europa mogła to sfinansować. Po drugie, w niektórych krajach afrykańskich poziom korupcji i kumoterstwa spowodowałby, że znaczna część pomocy trafiłaby na konta na Florydzie, Lazurowym Wybrzeżu, w Londynie lub w ramach podatkowych, a adresaci tej pomocy nadal polepszaliby swój los przez emigrację. Po trzecie, nawet gdyby taka pomoc była skuteczna, to spowodowałaby aprecjacje miejscowych walut, co potaniłoby import żywności i zrujnowałoby miejscowych rolników.

Regularne debaty na temat polityki rozwojowej w Bundestagu, w których moralisci wzywają do zwiększenia pomocy „w celu zwalczania przyczyn ucieczki” lub „sankcji wobec opresyjnych reżimów”, to mydlenie oczu: ani rząd niemiecki, ani żaden inny – jak pokazuje przykład Ameryki Łacińskiej, nawet rząd USA – nie mają możliwości ani zatrzymania migracji, ani wymuszenia demokratyzacji afrykańskich lub arabskich dyktatur. Na marginesie: wbrew temu, co głosi wielu polityków, związek między migracją a systemem politycznym nie

mniej migrantów w ogóle, ale za to więcej potencjalnie niebezpiecznych, i nabija kasę przestępczości zorganizowanej.

W dodatku taki szantaż wobec sąsiada ma szanse tylko przy dużej asymetrii gospodarczej: mogą go stosować Niemcy wobec Polski, Czech, Węgier i Austrii, ale Francja już ma problem ze stosowaniem go wobec Włoch. Dlatego rządy obu państw regularnie siłują się publicznie. Teraz Włochy „skłoniły” Francję do przyjęcia schorowanych i głodujących pasażerów francuskich statków, a Francja za to odmówiła przyjęcia kilku tysięcy migrantów z Włoch w ramach systemu dublińskiego.

Zagadka, dlaczego PiS buduje mur na Podlasiu i niszczy park narodowy, aby powstrzymać migrantów, których celem i tak są Niemcy, jest tylko pozorna: chodzi o rozbicie wrażenia na niemieckim rządzie. W ten sposób polski rząd wysłał sygnał, że „robi, co może”, aby powstrzymać migrantów, z obawy, że inaczej niemiecki rząd może stosować retorsje, wprowadzić więcej kontroli granicznych na granicy polsko-niemieckiej albo wzorem Trumpa grozić sankcjami.

Tu wychodzi cała hipokryzja obecnej polityki migracyjnej – po obu stronach granicy. Polski rząd udaje, że robi to wszystko dla bezpieczeństwa Polaków, a niemiecki milczy, bo cały proceder jest co prawda nielegalny i niebezpieczny, ale w niemieckiej opinii publicznej stwarza złudzenie, że ogranicza imigrację do Niemiec.

myt narkotyków. Tak jak moralisci powinni wiedzieć, że tworzą lepsze okazje dla migrantów i silniejsze efekty przyciągania, tak zwolennicy porządku powinni zdać sobie sprawę, że przyczyniają się do wyższej przestępczości i pogarszają warunki integracji tych, którym wolno u nich zostać.

Dało się to obserwować w ostatnich miesiącach w Polsce: dzięki nieudolnym polowaniom na migrantów zwabionych przez Łukaszenkę i budowie muru państwo nieco pogorszyło ich warunki podróżowania, ale za to pojawili się u nas wysłannicy arabskich i kaukaskich gangów z Niemiec, których Polska dotąd nie interesowała. Polski rząd na jednym odcinku całej podróży podniósł poprzeczkę, ale natychmiast służby Łukaszenki i przemytnicy z Niemiec to wyrównali.

Dopóki trzy czwarte wszystkich chętnych ma szanse dotrzeć do Niemiec, mur – tak samo, jak groźba utonięcia na Morzu Śródziemnym – nikogo nie odstrasza. Tymczasem po rosyjskiej inwazji na Ukrainę polski rząd zaczął odmawiać przyjmowania migrantów z Niemiec, którzy wcześniej złożyli wnioski o ochronę w Polsce (a robili to głównie, aby unikać pushbacków), powołując się na wielką liczbę uciekających do Polski Ukraińców. To zrozumiałe i każdy rząd postąpiłby tak samo. Ale dla nieukraińskich migrantów i uchodźców nasyłanych przez Białoruś oznacza to, że ich szanse na trwały pobyt w Niemczech znacząco wzrosły. Niechcący rząd stworzył sil-

poki trzem czwartym tych, którzy pojawiają się na granicy białorusko-polskiej, udaje się dotrzeć do Niemiec, szlak „białoruski” będzie atrakcyjny. A udaje im się, ponieważ po obu stronach granicy mogą liczyć na profesjonalną pomoc: na wschodzie ze strony służb białoruskich, które znają każdą lukę w umocnieniach i pomagają migrantom przedostać się przez płoty, po stronie polskiej – ze strony zawodowych przemytników z Niemiec. Wszystko pod okiem funkcjonariuszy Straży Granicznej, która znajduje się między młotem i kowadłem: albo łapie migrantów i nielegalnie przerzuca ich do Łukaszenki, co jest demoralizujące i w przyszłości grozi sankcjami karnymi, albo bierze łapówki i patrzy w inną stronę, kiedy widzi migrantów. W ten sposób polski rząd w sytuacji, kiedy za wschodnimi granicami toczy się wojna, uruchomił bardzo skuteczny program demoralizowania Straży Granicznej.

Wszystkie liczne polskie służby specjalne mają w czasie rzeczywistym dostęp do metadanych operatorów telefonii komórkowej i jeśli chcą, mogą śledzić na ekranie jednego komputera w Warszawie, jak iracki numer zbliża się w Puszczy Białowieskiej do niemieckiego numeru, a następnie przechwycić posiadaczy obu numerów. Jeśli przemytnicy i migranci chcą się spotkać, nie mogą wyłączyć smartfonów. Służby mogłyby nawet włamać się do telefonów komórkowych i podsłuchiwać rozmowy, np. za pomocą Pegasusa.

FOT. BERNAT ARMANGUE/AP



jest wcale oczywisty – bardzo wielu afrykańskich uchodźców przybywa do Europy z Nigerii i Ghany, choć oba te państwa są demokracjami, natomiast prawie żaden migrant nie przybywa z takich dyktatur jak Burundi i Zimbabwe.

Jeśli nie mamy wpływu na to, co wypycha ludzi z ich krajów, to może jesteśmy w stanie sterować warunkami, z jakimi mają do czynienia po drodze? Niestety też nie. Jakiś wpływ mają jedynie największe kraje i tylko wtedy, kiedy stosują szantaż wobec sąsiadów. Na te wszystkie mrówki, które pomagają migrantom po drodze, wpływu nie mamy: rzadko naruszają prawo, są poza naszym zasięgiem i najczęściej nasze służby nawet ich nie znają. Można postąpić jak USA za Trumpa, który wykorzystał asymetrię gospodarczą między swoim krajem i Meksykiem, aby zmusić go sankcjami do zatrzymania migrantów na swoim terytorium. To pogarsza nieco „warunki po drodze”, podobnie jak budowanie murów i płotów: wtedy przez granice przechodzi mniej rodzin z dziećmi, a więcej wysportowanych młodzieńców, którzy są w stanie forsować umocowania, przekupić strażników albo korzystać z budowanych przez mafie narkotykowe tuneli. Innymi słowy: kto stosuje tę metodę, może dostanie trochę

Skoro nasze rządy uciekają się do takich zabiegów, aby nie uchodzić za bezradne, zostaje tylko nadzieja, że przynajmniej tu u nas, w Europie, nasi politycy będą w stanie panować nad migracją.

Wielu miłośników porządku – w tym zwolennicy partii antymigranckich – chciałoby pogorszyć warunki bytowania migrantów w krajach docelowych tak, aby możliwie dużo potencjalnych przybyszów odstraszyć. Zazwyczaj objawia się to żądaniem, aby odebrać migrantom prawo do pomocy społecznej w gotówce i dać w zamian bony żywnościowe. W trakcie procedury azylowej prawie żadne państwo nie pozwala na podejmowanie pracy. Brak prawa do pracy i brak dostępu do gotówki mają odstraszyć innych migrantów i uniemożliwić tym, którzy już dotarli, zapłacenie długów u przemytników.

Brzmi to dobrze, ale to dobre nie jest. Nikt nie wie, czy taka iracka rodzina w Niemczech ma długi wobec przemytników (i czy oni ściągają jej przemocą, np. od krewnych w Iraku), czy wobec własnych krewnych. Jeśli nacisk przemytników lub krewnych jest wystarczająco silny, taka rodzina albo ucieknie się do pracy w szarej strefie, albo do przestępstwa, albo zaaprobują klientom spłatę długu poprzez prze-

niejszy „efekt przyciągający” i dzięki temu przerzut przez obwód kaliningradzki – jeśli Rosja go uruchomi – będzie teraz atrakcyjniejszy.

Płot, murek i drut kolczasty uspokoją zwolenników porządku, ale w zamian powtórzy się scenariusz z Podlasia: zamiast zdesperowanych rodzin z dziećmi przez granicę przedzierać się będzie więcej rosyjskich, młodych, wysportowanych mężczyzn.

Gdy wykaże się, że mur Trumpa i jemu podobne, jak nasz w Puszczy Białowieskiej, nie działają, miłośnicy porządku niekiedy przywołują mur węgierski oraz mury i zaskieki w NRD. Ale w NRD strzelano do własnych obywateli, aby uniemożliwić im wyjazd; w Europie nikt nie będzie strzelał do migrantów, by uniemożliwić im podróż do Niemiec, wręcz przeciwnie, taka Serbia robi wszystko, by im pomóc. A węgierski płot chroni Węgry tylko iluzorycznie – owszem, migranci przechodzą teraz przez Chorwację, Bośnię i Serbię, ale to, że nie trafiają do Węgier, nie jest zasługą płotu, tylko tego, że Niemcy, Austria czy Wielka Brytania są atrakcyjniejsze.

Budując mur, wprowadzając stan wyjątkowy i bijąc imigrantów, aż wróćą „dobrowolnie” na Białoruś, rząd tuszuje swoją bezradność i bezsilność. Do-

Łodzie przemytników muszą być stare, zdezelowane i przeładowane. Bo zgodnie z prawem morskim migranci mają szansę na przyjęcie w Europie, jeśli inny statek ich ratuje – a więc aby zostać uratowanym, trzeba być w niebezpieczeństwie

Zamiast tego Pegasus służy do podsłuchiwania opozycji i niewygodnych adwokatów. Rzadko kiedy rządzący tak jasno pokazali swoje priorytety: opozycja jest dla nich groźniejsza niż przemytnicy i nielegalna migracja.

Mur na Podlasiu powstał po to, by Polaków robić w konia. Jeśli zaś Putin uruchomi kanał przerzutowy przez Kaliningrad, drugi mur powstanie nie po to, by go powstrzymać, ale po to, by nas jeszcze bardziej robić w konia. Na 100 migrantów przerzuconych przez granicę z obwo-dem kaliningradzkim 75 przedostanie się do Niemiec, 10 zajmie się Urząd ds. Cudzoziemców, 15 zostanie brutalnie pobitych i przerzuconych do Rosji, dzięki temu znaczna część opinii publicznej będzie przekonana, że to niebezpieczni ludzie, a rząd panuje nad sytuacją. Będzie tak jak w Stanach za Trumpa, który widowiskowo zarządzał nawet uwięzieniem i deportacją dzieci, ale imigracji nie zatrzymał.

Obudowie płotu na granicy z obwo-dem kaliningradzkim mówią i piszą wszyscy. Nikt nie zauważył, że jednocześnie rząd polski dyskretnie podjął decyzję, która podróż przez Białoruś, Rosję i Polskę do Niemiec uczyniła bardziej atrakcyjną. Po inwazji na Ukrainę zawiesił bowiem przyjmowanie migrantów innych

CO MNIE URZEKŁO

O pożytkach z tarzania się w perzu

Wbrew temu, co postulowało wielu filozofów, miłość nie zawsze musi się wiązać z poznaniem

MARTA PANAS-GOWORSKA

N

Nieodgadnione są ścieżki urzeczeń. Moje wiodły poprzez miejskie trawniki, szczeliny w chodnikowych płytach i zielone wyrwy w murze. Niczym siewki drzew unoszone przez wiatr wkiełkowały i żyją we mnie od lat.

♦ ♦ ♦

Odprowadzając rano dzieci do przedszkola, spostrzegłam, że poranek jest bardziej rzeński, niż można by się tego spodziewać. I nie pomyliłam się w doborze czasownika. Dokładnie „spostrzegłam”, a nie „poczułam”. O nieuchronnej zmianie pogody poświadczły badyle – niebieskokwiatowa cykoria zwana podróżnikiem i rumian (rumianek), które nie witały dnia z podniesioną przyłbicą. Przeciwnie, ich płatki były skromnie opuszczone, co w botanicznej nomenklaturze nazywa się nyktynastią, choć wbrew greckiemu źródłosłowowi nie musi być konieczne powiązane z nocą (nyktos znaczy noc), ale także z zimnem bądź przeciwnie: nadmiernym nasłonecznieniem.

Podobne zjawisko zapamiętałam z dzieciństwa, kiedy spacerowaliśmy wśród łąk nad Łędówką i mama wskazywała nam błękitne kwiaty lnu niemal w oczach kulące swoje płatki. Mechanizm otwierania i zamykania się roślin nie jest jeszcze do końca zbadany. Trudno, wbrew temu, co postulowało wielu filozofów, miłość nie zawsze musi się wiązać z poznaniem. Przynajmniej w takim codziennym mikrowymiarze. Postawiłabym nawet ryzykowną, acz jednostkową tezę, że czasem nadmiar wiedzy może szkodzić. Kiedyś moim dziecięcym zachwytem wystarczały przecież doznania zmysłowe. Przyziemne badyle, by użyć frazy Grochowiaka, dzieliłam z grubszą na kwitnące i niekwitnące. Pierwsze, rzecz jasna, stały w prywatnej hierarchii wyżej, ale były też na moim lubelskim, kamienicznym podwórku deficytowe. W połowie kwietnia rozpoczynał się nieśmiało sezon mleczy; jeszcze wcześniej mały wszechświat przykrywała puchowa kolderka płatków z zasadzonych przed wojną mira-

belek, jednak niemożność ich fizycznego posiadania czyniła z nich zbyt cenną, acz efektowną efemerydę. Z kwiatów zapamiętałam też fioletowy kurdybanek, żółte jaskółcze ziela i oczywiście białe koniczyzny, czyli niewiele. W dodatku, by zobaczyć te skarby, trzeba było już dalszej wyprawy, w którą musiał być zaangażowany dorosły. Pozostawało mi więc rozkoszowanie się badylami niższego rzędu. Nie urzeżały oczywiście, dostrzegając na pierwszy rzut oka urodą, nie miały też zapewne jakichś wielce znaczących walorów zdrowotno-smakowych. Dla mnie po prostu były. Rosły. Mogłam mówić do nich, trzymać je w dłoniach. Przesypywać, obrywać i rozdzielać na części. Niektóre gatunki były jakby specjalnie do tego predestynowane, jak lepnica z główkami pełnymi białej siarki albo śmiesznie rozszczepiające się, pikantne w smaku malutkie rumianki. Dziś z lekkim przerażeniem myślę o dawnej sobie organoleptycznie sprawdzającej synestezję zielska. Czy to, co wydaje się kwaśne – choćby nazywane przeze mnie cytrynką – przymiotno kanadyjskie albo prawdziwie czterolistna koniczyzna, czyli uciążliwy dla ogrodników szczawik, faktycznie wykrzywia język? Szarosrebrne liście kojarzyły mi się nieodpowiednio z herbatą i gdybym tylko miała możliwość, na pewno robiłabym z nich napary. Pół biedy, gdybym trafiła na bylicę, gorzej – na spokrewniony z nią piołun. Już w samej jego łacińskiej nazwie *Absinthii herba* kryje się zapowiedź kłopotów, za które odpowiedzialny jest tujon. C₁₀H₁₆O może wywoływać halucynacje i drgawki, stąd zawierający go absynt po pierwszej wojnie światowej był w wielu krajach zakazany, przy czym w samej Belgii dopuszczono go dopiero w 2005 r. Wracając jednak do potrzeby poznania, o którym włoski filozof Giorgio Colli pisał, że „jest najwyższym stopniem mocy ludzkiej”, postawię tu kolejną tezę, że dla dziecka odkrywającego świat – w tym przypadku przyrodę – wiedza i poznanie naukowe, a więc episteme, naprawdę nie są najważniejsze. Zapewne przemawia przeze mnie anarchiczna natura, buntująca się od zarania przeciw szkole, choć nie tylko. Gdybym była trzydzieści parę lat temu uzbrojona w dzisiejsze narzędzia, fantastyczne aplikacje w telefonie, za pomocą których można skanować liście czy kwiatostany napotkanych roślin i w kilka sekund poznać ich nazwy i właściwości, prawdopodobnie skupiłabym się na rozumowym pojmowaniu zjawiska. Co oznacza konkretna nazwa? Czego nie dotykać, nie smakować? Co zostawi niespierzalne plamy? – słowem, cała ta opresyjność, zabijająca radość w pełni zmysłowego obcowania.

Nie ukrywam, że z wiekiem porzuciłam moje zielone urzeczenia na rzecz bardziej „szlachetnych” form oswojenia przyrody. Ładne kwiaty w designerskim wazonie albo coś florystyczno-egzotycznego w ramach ekskluzywnego prezentu dla samej siebie. I niespodziewanie, kilka lat temu, wpadł mi w ręce zagubiony mikrotomik wierszy przywoływanego już Grochowiaka.

*Trawa wzięła się w zapasy z trawą
oset nie daruje pokrzywie –
Gielniak umarł.*

*Zaniosły się płaczem przyziemne badyle,
a mlecze – jak wdowy – rozpuściły swe siwe włosy.
Gielniak umarł. (...)*

*I zostanie w listku, w zapachu, w lopianie,
jak nikt nie zostanie.*

W bonusie dostałam jeszcze niesłusznie zapomnianego Józefa Gielniaka, artystę specjalizującego się w pracochłonnych i skomplikowanych linorytach. Obydwaj panowie utwierdzili mnie tylko w słuszności mojej urzeczeniowej drogi. Obydwaj szukali piękna w rzeczach podstawowych i oczywistych. W wypadku poety zwykło się powtarzać frazes o zamilowaniu do turpizmu. A ja myślę, że chodziło o zwykłe, proste doświadczanie dookołnej rzeczywistości. Gielniaka otaczały mury sanatoryjnego parku, Grochowiaka pogrzebacze, kartofliska, „tymianki i róże”, a mnie rośliny ruderalne, wydepchyskowe, siewki drzewne. Jak poetycko określa to Wikipedia: „rośliny szczelin murów, dachów, schodów, płyt chodnikowych i asfaltu”. One dawały mi radość i ukojenie w dziecięcych smutkach. Pobudzały wyobraźnię i kreowały nowe światy. „Moja wnuczka rozmawia z kwiatami – chwaliła się sąsiadce babcia Maria. – One do niej mówią” – dodawała nie bez dumy. Czy z takiego urzeczenia rodzi się późniejsza ekspresja literacka, wszak na co dzień jestem człowiekiem słowa? Tego nie jestem pewna. Wiem jednak, że niczym nieskrępowane przeżywanie przyrody, w najpospolitszych nawet jej wymiarach, wnikliwe podglądanie życia toczącego się na trawniku czy wokół garażu może zaowocować pięknymi, prawdziwie intymnymi spotkaniami z naturą. Ma to jeszcze jeden wymiar praktyczny, który doceniałam jako matka – kiedy wokół przybywa dzieci z problemami sensorycznymi, bojących się dotykać piasku, kamieni czy liści, takie ciche przebywanie w trawie może zadziałać terapeutycznie. Grochowiaku, powiem za tobą:

O, jak tkliwie go przyjmą, jak cienko... ♦



FOT. TOMASZ STANČAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

CZUŁE SŁÓWKA

Żabi skok

My, Polacy, moglibyśmy dokonać co najwyżej tygrysięgo skoku. Polska powinna być przecież tygrysem Europy. Żaby to inni! Ale nie dla premiera Morawieckiego.

Michał Rusinek*



Kongres Polskiego Kapitału, czyli – jak czytamy na stronie organizatora, magazynu „Forbes” – wydarzenie służące wymianie doświadczeń właścicieli i menedżerów dużych polskich przedsiębiorstw, otworzył sam premier Mateusz Morawiecki. Mówił, rzecz jasna, o kwestiach ekonomicznych, zachęcał do redefinicji kapitalizmu, dezawuował skompromitowane zasady ekonomiczne i przedstawił krótką historię XX-wiecznej ekonomii – jak to określił – „patrzac z lotu ptaka”.

Ta ornitologiczna, acz mocno zleksykalizowana metafora nie pojawiła się jednak w jego wypowiedzi ani przypadkowo, ani automatycznie: ona zapowiadała metaforyczny ciąg dalszy. Mając retoryczną świadomość, że dobry mówca powinien w swej wypowiedzi kreślić za pomocą metafor spójny obraz, premier trzymał się do końca tego samego kręgu przenośni. Na przykład wymieniając „potężne ryzyka”, które „są w zasadzie egzogeniczne, zewnętrzne, od nas niezależne”, wspomniął o inflacji, wysokich cenach energii, wojnie w Ukrainie, a także „czarnych labędziach”, które „niech tam sobie siedzą w swoich szuwarach”. Zaraz zresztą sprecyzował, kto ukrywa się pod tą metaforą: „Tajwan, Iran, Izrael – mógłbym niestety tych »czarnych labędzi« wymienić więcej. Niech one siedzą sobie cicho!” – zawołał na koniec jak wprawny myśliwy.

Niech nas jednak nie zwiedzie poetyckość tej metafory. Nie chodziło panu premierowi o odniesienie do *Cygnus atratus*, gatunku dużego ptaka z podrodziny gęsi (*Anserinae*) w rodzinie kaczkowatych (*Anatidae*), zamieszkującego Australię i Tasmanię i niezagrożonego na szczęście wyginięciem. Nie była to także subtelna aluzja do filmu Darrena Aronofsky’ego o ambitnej tancerce, z Natalie Portman w roli głównej. Premier Morawiecki odwołał się do pojęcia wprowadzonego do języka ekonomii przez Nassima Nicholas Taleba, libańsko-amerykańskiego matematyka i ekonomistę. W 2008 roku wydał on książkę „Czarny labędz”. Jak nieprzewidywalne zdarzenia rządzą naszym życiem”. „Czarny labędz” to nieregularne zdarzenie o wielkim znaczeniu dla świata, a zwłaszcza dla ekonomii, którego obserwatorzy nie potrafili przewidzieć, gdyż jest ono mało prawdopodobne. Taleb odwołał się tu do funkcjonującego do XVII wieku przekonania, że labędzie są wyłącznie białe – dopóki nie odkryto czarnych, których istnienie uważano za niemożliwe. Jako przykłady tego typu zdarzeń podaje się zwykle np. zamach w Sarajewie w 1914 roku, czarny poniedziałek na nowojorskiej giełdzie w 1987 roku, atak na World Trade Center w 2001 roku czy – ostatnio – wybuch pandemii COVID-19.

Taleb rozumie zatem czarnego labędzia jako nieprzewidywalne zdarzenie, Morawiecki – jako nieprzewidywalny kraj, znacznie modyfikuje zatem znaczenie oryginalnego pojęcia. Czyżby dlatego, że nie doczytał książki Taleba? Tego wykluczyć nie można. Kto z nas doczytał wszystkie zaczęte książki, niech pierwszy rzuci kamień. A może po to, żeby wskazać miejsca na świecie, w których nieprzewidywalne zjawiska mają większą szansę zajść? Tym samym jednak sytuuje się ponad Talebem, bo przewiduje i sytuuje geograficznie to, co nieprzewidywalne. Mając świadomość swojej nadludzkiej, profetycznej mocy, nie chce jednak tych dramatycznych zjawisk sprowokować, wie, że jego słowa mogą wywołać wilka – to znaczy: labędzie – z lasu, szybko więc kończy wymieniać nieprzewidywalne kraje. I władczym tonem mówi im: siedźcie cicho, czarne labędzie, w swoich szuwarach. Dzięki temu zdezwuowane, zawstyżone labędzie nie odważą się już prowokować nieprzewidywalnych zdarzeń. Świat może odetchnąć.

Metaforyka pana premiera nie ograniczała się w tym wystąpieniu wyłącznie do ornitologii, ale zatoczyła szerszy krąg, zoologiczny, a ściślej: batrachologiczny. „Mamy szansę – powiedział Morawiecki – na pewien »żabi skok«, który pozwoli nam wejść w nową epokę i osiągnąć przewagi konkurencyjne. Nie na zasadzie kopiowania rozwiązań, tylko na zasadzie wchodzenia w nowe rozwiązania, które naprawdę są nowoczesne, oparte o najnowsze trendy”. Pomińmy błąd frazeologiczny, nagminny w wypowiedziach pana premiera: rozwiązania mogą być co najwyżej oparte na trendach, o ścianę można za to oprzeć np. drabinę. Skupmy się na żabie, a dokładniej na żabim skoku. W potocznej polszczyźnie ten związek frazeologiczny oznacza najczęściej coś, co jest bardzo blisko, o krok, o rzut beretem. Bywa, że oznacza także ruch nie płynny (np. zacinanie się obrazu w grach komputerowych to żabie skoki) lub pokonywanie jakiejś trasy etapami. „Amerykanie w walce z Japonią posługiwali się taktyką »żabiego skoku« (polegającą na zdobywaniu kolejno wysp)” – czytamy w bryku do historii. Bywa także, że określenie „żabi skok” oznacza czyjś nagły awans, nieco podejrzane, nie do końca zasłużone przesunięcie się na nadspodziewanie wyższą pozycję, z pominięciem etapów pośrednich. Ze względu jednak na konotacje kulturowe rzeczzonego plaza „żabi skok” w tym ostatnim znaczeniu jest określeniem nieco prześmiewczym, a w każdym razie ironicznym. Nie powiemy raczej o sobie, że dokonaliśmy żabiego skoku i niespodziewanie dla wszystkich awansowaliśmy; możemy tak powiedzieć o kimś innym, kto nagle objął wysokie stanowisko. Ba, my, Polacy, moglibyśmy dokonać co najwyżej tygrysięgo skoku, bo to brzmi stosownie i dumnie. Polska powinna być przecież tygrysem Europy. Żaby to inni!

Ale nie dla premiera Morawieckiego. Premier widzi innych jako labędzie, w dodatku czarne, siedzące w szuwarach. Nas widzi natomiast jako żaby, zdolne do skoków. Pozostaje tylko jedno fundamentalne pytanie: jeśli, jak powiedział na początku, patrzy on na świat z lotu ptaka, to co to jest za ptak? Bo jeśli bocian, to dobrze nam to nie wróży.

*Michał Rusinek – wyklada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, prowadzi fundację jej imienia. Feminista

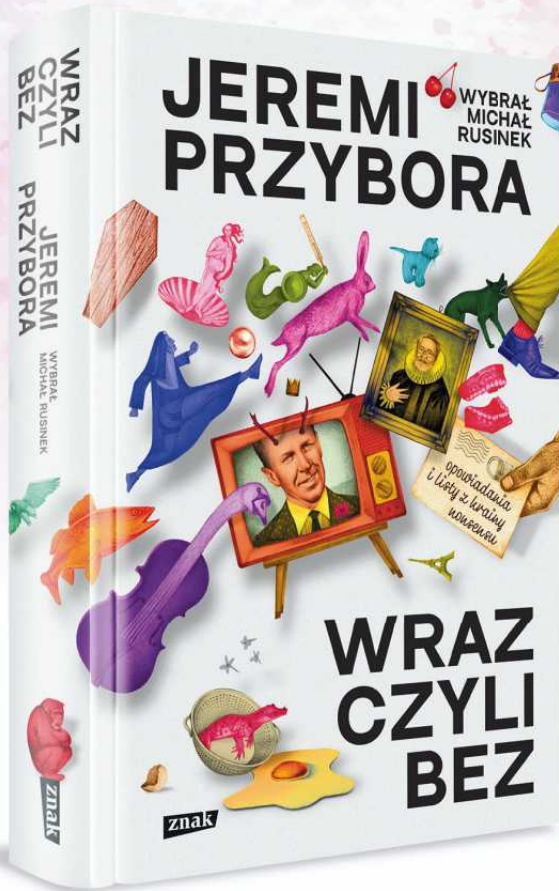
Z TYM WYDANIEM
DOSTAJĄ PAŃSTWO
DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl
na sobotę i niedzielę*

2.

Fragmentu książki Jeremiego
Przybory „Wraz czyli bez”



Jeremi Przybora – wirtuoz słowa, artysta o wyjątkowej wyobraźni, poeta uwielbiany przez pokolenia – zaprasza nas do świata, w którym króluje purnonsens. Nieszablonowego wyboru utworów poety dokonał Michał Rusinek, znawca nonsensu we wszelkiej postaci. Zapraszamy do świata nietuzinkowych skojarzeń, absurdu, popisów językowego kunsztu i dowcipu.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki Jeremiego Przybory „Wraz czyli bez”
oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

WCBJP22

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejdz na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend
- 5 Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9-17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

***Bogusław Grabowski**

• ur. w 1959 r., doktor nauk ekonomicznych, specjalizuje się w teorii makroekonomii, polityki pieniężnej i bilansu płatniczego. W 1993 r. wicewojewoda łódzki. W latach 1993–97 wiceprezes i prezes zarządu Petrobank SA. W latach 1998–2004 członek RPP przy NBP. Były prezes PTE Skarbiec-Emerytura i SAMH SA

A close-up portrait of Bogusław Grabowski, a middle-aged man with dark hair, wearing a dark suit jacket over a light purple shirt. He is looking slightly to the left with a faint smile. The background is a soft, out-of-focus grey.

KACZYŃSKI WPROWADZIŁ MALPĘ

Trzy lata takiej inflacji jak teraz, nawet gdyby już nie rosła,
to utrata ponad połowy naszych oszczędności.
A bez oszczędności nie ma rozwoju

Z **BOGUSŁAWEM GRABOWSKIM***
ROZMAWIA **DONATA SUBBOTKO**

– Lata temu przyjechał do Polski prof. psychologii Alfred De Vries, coach Billa Gatesa. Siedziało nas ze 20 osób, prezesi, dyrektorzy, byłem wtedy prezesem PTE Skarbiec-Emerytura. Puścił nam słynny już dzisiaj filmik: na boisku dwie drużyny, mamy policzyć, ile razy jedna z nich odbije piłkę. Odpowiedzi: między 13 a 15. A on: czy zauważyliśmy coś dziwnego. Jedna pani podniosła rękę: „Ja widziałam małpę”. Puścił filmik drugi raz. Faktycznie, przez boisko przeszedł facet przebrany za małpę, ale byliśmy zbyt skupieni na liczeniu podań. Mieliśmy wyciągnąć wniosek, żeby zarządzając firmą, nie dawać tym samym ludziom zadań bieżących oraz wypracowywania dalszej strategii, bo to przyniesie straty. I teraz pani żąda, żebyśmy zobaczyli małpę, której wielu Polaków nie widzi.

Właśnie, pogadajmy o małpie.

– Od siedmiu lat biję na alarm: nie oglądajcie świata z 20 cm, patrzcie szerzej, co się dzieje z naszym krajem. Ludzie, małpy nie widzicie? Wypowiedzi symetrystów – nie straszcie PiS-em, poprzednie rządy też coś robiły źle – obserwowałem z przerażeniem. Udagą głupków albo uważają, że istotą rzeczywistości jest odbijanie piłki.

No ale co z małpą?

– Małpę wprowadził nam Jarosław Kaczyński. Inny ustrój społeczno-polityczny, inny system organizacji i nadzoru nad państwem, gospodarką, sądownictwem, edukacją itd.

Jaki system?

– Wschodni. PiS świadomie cofa nas cywilizacyjnie. W ich rozumieniu zawracają nas na drogę, którą podążaliśmy przez tysiąc lat, ale z niej zboczyliśmy, tak jak kraje Zachodu, które prowadzą świat do zguby. A Polska nie może się temu poddać, bo tradycja, wiara, patriotyzm, zagrożenie LGBT itd.

Na te same wartości powołuje się Putin.

– Tak, ale Kaczyński mówi, że to polska ścieżka, i wiele osób w PiS i w ich elektoracie tak myśli. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak strasznie oni zniszczyli państwo.

Jak?

– Już prawie w 100 proc. Zostały wysepkii swobodnego myślenia i działania.

Ludzie powiedzą: jakoś żyjemy.

– Żyjemy od tysięcy lat, ale państwa narodowe powstały raptem 200 lat temu. Ten obszar geograficzny nie zniknie, ale instytucje naszego państwa tak. Obsuwamy się kulturowo i gospodarczo, nasze finanse i polityka pieniężna są zrujnowane. W 2015 r., gdy PiS przejmował władzę, dług publiczny wynosił ok. 950 mld zł. Ostatnio polski rząd przedłożył Eurostatowi notyfikację fiskalną możliwego stanu finansów publicznych na koniec tego roku, projektu ustawy budżetowej na następny rok i przedsięwzięć, które już podjęli albo podejmują. Na tej podstawie jesienią 2023 r. dług publiczny będzie wynosił ok. 1 bln 750 mld zł. Oznacza to, że PiS w ciągu siedmiu lat zadłużył kraj prawie tak, jak wszystkie pozostałe rządy przez 25 lat razem wzięte.

Naród lubi żyć na kreczę?

– Niech każdy sobie odpowie, czy lubi i co ma z tego, że PiS na tak niebotyczną skalę zadłużył Polskę w tak krótkim czasie. Czy w jego regionie wybudowano lotnisko, stadion, autostradę, drogę szybkiego ruchu, cokolwiek? Jeżeli wydaje się ileś pieniędzy na fabrykę czy autostradę, to z tych inwestycji, później przemienionych w kapitał, będzie większa produkcja, większa wydajność i wzrost PKB. Ale PiS nic nie zbudował,

z wyjątkiem przekopu Mierzei Wiślanej. A zwiększył dług o 800 mld zł.

Gdzie jest to 800 mld zł, skoro ich nie ma?

– Rozdali, żeby kupować głosy w wyborach. Stosowali retorykę o obronie rodziny i najuboższych, ale w rzeczywistości doprowadzili do tego, że ta rodzina ma teraz mniejszą pomoc realną. Bieda i rozwarstwienie społeczne narastają. Wszystkie obiektywne wskaźniki konsumpcji pokazywały, że do 2015 r. mieliśmy jeden z największych w świecie wzrostów poziomów bogactwa i zamożności. Rosła też jakość konsumpcji, np. zaczęliśmy używać pachnących mydeł, które w komunizmie były tylko w Peweksie. Jednocześnie do 2015 r. wskaźnik Giniego, czyli rozbieżności dochodowych w społeczeństwie, spadał.

Starsi ludzie wierzą w politykę socjalną PiS.

– Patrzą w przeszłość, nie w przyszłość. No i to zwykła zasada iluzji nominalnej – mają te emerytury i renty nominalnie większe, ale siła nabywcza tych pieniędzy jest mniejsza niż w poprzednich latach. Emeryci są oczkiem w głowie PiS, bo to głównie oni i bezrobotni na nich głosują – stąd te 13., 14. emerytury. Po co dawać im wyższą emeryturę przez 12 miesięcy, skoro emeryt mógłby zapomnieć, od kogo dostaje. Więc zamiast podnieść im po np. 150 zł miesięcznie więcej, niż to wynika z indeksacji, PiS daje im dwa razy do roku po 1 tys. zł. Emeryci się cieszą, że relatywnie pogarsza im się mniej niż wnukom, ale poziom życia w Polsce spada i tych najbiedniejszych, samotnych czeka dramat.

Osobom najsłabszym, z niepełnosprawnościami, PiS specjalnie nie pomaga.

– Dostają o wiele mniejszą pomoc, niż potrzebują, a budżet państwa wydaje o wiele więcej, niż mógłby. Można by mniejszymi wydatkami ulżyć potrzebującym o wiele bardziej. Ale po co PiS ma pomagać opiekunom osób niepełnosprawnych, których jest 200 tys.? Lepiej dać po trochu 8 mln emerytów, bo może z tego dodatkowy 1 mln na nas zagłosuje. To wykorzystywanie finansów publicznych do betonowania autorytarnej władzy.

Pomoc państwa powinna być skoncentrowana na tym, żeby ulżyć najsłabszym czy osobom z niepełnosprawnościami. Ale PiS kieruje pomoc socjalną nie do najbardziej potrzebujących, tylko do wszystkich – bo jeżeli wszyscy zobaczą, że dostają pieniądze od pana Jarosława, to nawet mniejszy odsetek z tych wszystkich będzie dawał więcej głosów wyborczych niż większy odsetek z tych, którzy byłiby bardziej chronieni, gdyby była to pomoc celowościowa i większa. Celem Kaczyńskiego nie jest pomoc słabszym i rodzinie – to kłamstwo. To tylko instrument, za pomocą którego on utrzymuje poparcie.

Inaczej było na początku PiS, inaczej jest teraz, gdy kumulują się negatywne skutki ich rządów – następuje gwałtowne pogorszenie warunków życia. Nie mamy danych za ten rok, ale po NGO i organizacjach charytatywnych widać, że poziom biedy rośnie mimo 500 plus.

Co będzie dalej?

– To nie będzie spektakularny krach.

Nie zauważymy naszego końca?

– Nie. Upadek państwa to proces obsuwania się wskutek złych rządów. W 1989 r. Polska miała PKB na mieszkańca na poziomie Ukrainy, a przed tą wojną mieliśmy 2,5 razy wyższy niż oni – a oni tam nie mieli wcześniej wielkiego krachu. Nasz upadek będzie łatwy do zauważenia po 10-20 latach. W najbliższej dekadzie czy dwóch nie wrócimy na ścieżkę rozwoju cywilizacyjnego, na której byliśmy do 2015 r.

A co teraz?

– Upadają restauracje i mieszkaniówka, za chwilę nieduże firmy wrażliwe na ceny energii i wzrost kosztów pracy. Potem kultura, turystyka, sport i to, co nie jest usługą pierwszej potrzeby. Zakłady pogrzebowe nie upadną. Bezrobocie będzie rosło, ale nie bardzo, bo teraz rocznie ok. 180 tys. więcej ludzi odchodzi z rynku pracy, niż na niego wchodzi.

Wynagrodzenia i zyski firm będą spadały – ale realnie, nie nominalnie. Zatrzyma się średni wzrost poziomu życia Polaków, przy czym słowo „średni” nie odaje prawdy – jak się wychodzi z psem na spacer, to średnio ma się trzy nogi. Spadek dochodów realnych uderzy w najbiedniejszych. Inflacja emerycka już wynosi ponad 20 proc. – wszystko, co mają, wydają na żywność i koszty utrzymania, a to drożeje najszybciej. W trudnej sytuacji będą też np. studenci, którzy przyjechali do dużych miast. Będzie im trudniej znaleźć pracę dodatkową, a wydatki, w tym koszty wynajmu mieszkania, będą rosły.

Czeka nas też dalsze rozregulowanie polityki gospodarczej, rozbijanie gospodarki od strony nadzoru właścicielskiego, wykonywania praw własności, swobody podejmowania działalności gospodarczej i zarządzania, stopnia monopolizacji, włącznie z wchodzeniem na konta i przejmowaniem firm pod pretekstem, że coś nie tak.

To co dzisiaj robić?

– Mogę powiedzieć, co ja zrobiłem, ale ja wiedziałem, co się dzieje. Pod koniec wiosny 2019 r. były dwa ryzyka: dalsze rządy PiS i brexit. Kaczyński i Johnsonie – mówię – wy sobie możecie hasać, ale ja obronię owoce kilkudziesięciu lat swojej pracy. Pisowskie konwentylke doprowadzają mnie do białej gorączki, a gdybym jeszcze tracił pieniądze, to chybabym eksplodował. Trzy lata temu wszystkich przewalutowałem, a w złotych kupiłem obligacje indeksowane do inflacji. Dlatego że cenię sobie wolność i nie chciałbym się bać mówić, co myślę, bo mogę stracić swoje oszczędności.

Więc co robić? Nie szukać zysku, tylko chronić majątek przed utratą, np. przez obligacje indeksowane do inflacji – polecam czteroletnie, najmniej tracą na głapińskiej polityce pisowskiej. A gdy mnie ludzie pytają, w co zainwestować, zawsze mówię, że najlepsza w życiu jest inwestycja w człowieka, human capital, edukacja – i w to wyposażałem dzieci w mojej rodzinie.

PiS zmierza do tego, żeby zarządzać ruiną?

– Normalna partia, gdy dochodzi do władzy, chce realizacji celów, które uważa za słuszne, i robi to tak, żeby tempo tych zmian nie doprowadziło do utraty poparcia. PiS nie jest normalną partią. Dla nich celem jest trwanie przy władzy, wszelkie działania mają służyć tylko temu. Na szczęście robią to nieudolnie.

Przykładem jest „Polski ład” w podatkach. Mędrzec opatrnościowy Kaczyński wymyśla, że trzeba zrobić jakieś „łol” dla naszego elektoratu. Damy im kwotę wolną 30 tys., ale podniesiemy składkę zdrowotną, naród propagandę kupi. Sfinansują nam to klasa średnia i przedsiębiorcy, bo ci i tak na nas nie głosują. Przy okazji pogrozimy samorządy, bo tam nie mamy władzy. Całość sprzedajemy jako pomoc biednym, rodzinie. „Ja rzucam pomysła, a wy go łapta”. No to premier Morawiecki i inni złapali. Jak powiedział były minister finansów Kościński, ten bez wyższego wykształcenia: jestem od wykonywania poleceń z góry.

Ich metoda: gdy narobili bałaganu i widzą, że to może ich kosztować poparcie – wejeżdżają wywrotki z pieniędzy

mi. W 2022 r., jak się rozkręcała inflacja, to żeby posprzątać po „ładzie”, gwałtownie obniżyli podatki z 17 do 12 proc., czyli wzmocnili impuls fiskalny, który tę inflację przyspieszył.

SZCZURY UCIEKAJĄ POJEDYNCZO

Elastyczny Kaczyński mówi, że wezmą pieniądze z KPO i będzie OK.

– Kaczyński jest sprytny w tym, jak kontrolować ludzi, wygrywać wybory, stosując metody także nieetyczne. Nie ma jednak wiedzy ani doświadczenia, jak prowadzić politykę zagraniczną, finansową, gospodarczą, zdrowotną, edukację itd. Ma zerową wiedzę o świecie, a nawet o Polsce, bo przez kilkadziesiąt lat nie chodził do sklepu, do parku, kina, teatru, na koncerty, nie spotykał się z ludźmi na ulicy, nie styka się z młodzieżą.

Chciał budować Polskę na wzór węgierski, przyzwyczajając nas do coraz gorszych warunków i przywłaszczając partytynie wszystkie instytucje. Może liczył, że osiągnie sukces gospodarczy jak Erdogan w Turcji w początkowym okresie rządów czy jak Gierek w początkowym okresie. Nie widzi zależności między stopniem wolności jednostki a poziomem rozwoju gospodarczego, między jakością edukacji a tempem wzrostu gospodarczego i innowacyjności. Edukacja, wolność obywatelska, wolność działalności gospodarczej, zaufanie do instytucji, jakość tych instytucji dają rozwój i wzrost gospodarczy. A jego sposoby nie dają. I jemu to wszystko zaczęło się walić. Zewnętrzne kataklizmy, epidemia i wojna przyspieszyły ten proces.

Kaczyński nie ma żadnej strategii. Ma obraz na pół roku czy rok, co robić, żeby być przy władzy, ale nie ma wizji, co z tą władzą zrobić. I ma już siły odśrodkowe w swojej partii. W piramidzie władzy upadek zaczyna się na dole, szczury uciekają pojedynczo. Kaczyński jest w potrzeźasku. Raz rzuca to, raz tamto. A żeby się dogadać z Unią, trzeba wykonać kamienie milowe, np. zmienić regulamin Sejmu na demokratyczny, przywrócić praworządność, objąć pozabudżetowe fundusze nadzorem. On tego nie wykona, bo to sprzeczne z jego planem, jak utrzymać władzę.

Niektórzy uważają, że pieniądze z KPO to polska racja stanu, więc wszyscy mogliby przymknąć oko na praworządność.

– Polską racją stanu, i moją jako obywatela, jest praworządność. Ale słyszałem dziennikarza, który mówił, że UE przekroczyła granice przyzwoitości, bo my przyjmujemy Ukraińców, a Unia zabiera nam pieniądze!

PiS już zatrul Polakom mózgi. My teraz jesteśmy w Europie najbardziej predestynowani do protestów społecznych, zakładania związków zawodowych, strajków, żądania wyższych wynagrodzeń. Mamy nieporównanie wyższy niż Zachód inflację, spadek realnej siły płac, świadczeń społecznych itd. Tam są strajki, protesty – u nas nie ma. Wałęsa w 1970 r. jako główniarz był szefem strajku, a gdy powstawała „Solidarność”, miał 38 lat. A Frąsyniuk, a Bujak? Też mieli po dwadzieścia parę lat. Arabska wiosna to byli młodzi ludzie. W Hongkongu, w Iranie kto protestuje? Młodzi. A u nas co? W 1980, po porozumieniach sierpniowych, 5 września wsiadłem w pociąg do Gdańska, bo musiałem to zobaczyć na własne oczy, czuć atmosferę zmian. Socjologdy, politologdy – dlaczego nie badają, czemu nie ma protestów, z czego wynika bierność młodego pokolenia?

Jeśli Kaczyński wygra wybory, to nasz kraj będzie się staczał dalej, a represje w stosunku do inaczej myślących się nasila. Autorytaryzmy upadały na skutek totalnego kryzysu, ale poprzedzała to narastająca fala represji. One już są wobec części sędziów, nauczycieli, przedsiębiorców, ale jeszcze nie są tak powszechne, jak będą. To gotowanie żaby jest najgorsze. Morawiecki kłamie w żywe oczy, ale ludzie przyzwyczaili się do kłamstwa, stało się nową normą: „no, taki Pinokio”. A przecież to premier Polski. No i mało kto mówi, że oni kłamią, tylko że „mijają się z prawdą”. Po co te eufemizmy?

Pan z Morawieckim pracował?

– Byłem z nim w Radzie Gospodarczej powołanej przez Tuska w 2010 r. Nie miał wiedzy ekonomicznej, parę razy w przerwach coś mówił o „żołnierzach wykłętych”. Po ponad roku go usunęli, bo się chyba zorientowali, że donosi.

Ale komu?

– Zapewne Kaczyńskiemu. Gdy w 2015 r. powstawał rząd PiS, to ludzie dzwonili i mnie pytali, kto to ten Morawiecki, bo wchodzi do rządu. Mówilem, że to niemożliwe. W życiu nie spotkałem człowieka, który tak by wykrecił swoje poglądy. Dlaczego, nie wnika. Pamiętam spotkanie z Adamem Michnikiem w 1988 r. na zebraniu łódzkiej grupy Doświadczenie i Przyszłość. Opowiadał, że ta frakcja w PZPR jest taka, inna taka, chociaż Bujak uważa, że „to pier..., bo to wszystko jedna i ta sama komuna”. Nad tymi w PiS też nie ma się co zastanawiać. Uważam Morawieckiego za oszusta, który był po stronie demokratycznej, prozachodniej i przeszedł na złą stronę mocy.

A Glapińskiego pan zna?

– Nie, unikam takich ludzi. Wystąpienia Glapińskiego są jak gawędy o historii gospodarczej, w których doszedł do II wojny, bo później już niewiele rozumie z myśli ekonomicznej. Szczególnie że ta od lat 70. jest bardzo zmatematyzowana. On nowej ekonomii keynesowskiej, nowej ekonomii

– Sprowadzanie złota do Polski jest wbrew naszemu interesowi. Złoto w banku centralnym to element strategicznych rezerw walutowych dla stabilizowania złoto. Ono jest potrzebne: zwiększa dywersyfikację tych rezerw. Ale gdy to złoto było w Londynie, można było je sprzedać prawie natychmiast, gdyby trzeba np. ratować stabilność złotego. A jak Glapiński sprzedaje złoto, które jest w naszym skarbcu, w Warszawie? O wiele więcej kosztuje przywiezienie złota i jego ochrona tutaj niż pod Londynem, gdzie rezerwy złota przetrzymuje ogromna liczba banków z całego świata. Po co Glapiński je tu przywozi? Żeby się z nim fotografować? Wschodnia mentalność.

I stoją za nim wschodnie interesy

– w 2009 r. zamienił się na domy, w transakcji pośredniczył przedstawiciel Montażspiebanku, który miał odbudowywać rosyjskie wpływy w Polsce. – Kolejna nić łącząca to środowisko z Rosją. Falenta robił z Rosją biznes, Rosjanie pewnie kupili taśmy z podsluchami z restauracji Sowa i Przyjaciele. Kupowaliśmy tyle węgla z Rosji. Sprzedaż Lotosu... Dużo tych nitek rosyjskich przy PiS. Dziwnym trafem wokół Kaczyńskiego jest o wiele więcej niż w innych partiach ludzi, którzy byli zidentyfikowani jako tajni współpracownicy służb PRL. Mało tego, dalej przy nim byli i awansowali. Choć moim zdaniem nie cały PiS to agentura rosyjskich służb.

Raczej pojedyncze osoby czy grupy, które mają duże wpływy polityczne i gospodarcze.

– Tak. I każda taka osoba powoduje wiele szkód. Ze zdroworozsądkowego myślenia wynika, że infiltracja służb rosyjskich i podatność na wpływy rosyjskie jest nieporównanie większa u nas niż w Europie Zachodniej czy Stanach.

Z tamtym środowiskiem nie chcę mieć nic wspólnego. Dwa razy miałem z nimi kontakt. Kiedy byłem członkiem Rady Polityki Pieniężnej desygnowanym przez AWS, przyszedł do mnie Sławomir Skrzypek

dy infiltrowane przez służby rosyjskie, ale tak to odbierałem. A przecież teoretycznie byli z tego świata co ja, też przeciw postkomunistom.

WSZYSTKO ROBIŁEM WCZEŚNIEJ

Miał pan być premierem w czasach koalicji AWS i Unii Wolności.

– To była gehenna, żeby nie zostać tym premierem, w tej walce bardzo się wzmocniłem psychicznie. Limuzyny, ochrona – być takim Kaczyńskim? No nie, chyba że z wyroku sądowego za straszne przestępstwo. Nie wyobrażam sobie, żebym nie mógł np. napić się na imprezie wódki i wrócić do domu pijany – jeśli chcę, dla czego nie.

Były naciski?

– Nasluchałem się, że muszę, larum grają, ojczyzna wzywa. Na mnie takie socjotechniki nie działają. Premierem był Jerzy Buzek, ale były spięcia między nim a Leszkiem Balcerowiczem, wtedy szefem Unii Wolności, wicepremierem i ministrem finansów. Ja byłem wtedy w Radzie Polityki Pieniężnej. Unia chciała opuścić koalicję, więc Krzaklewski, szef AWS, chciał wymienić premiera na mnie. No i już mnie ogłosili jako przyszłego premiera, żeby nie doszło do rozpadu. W weekend było prezydium UW – gdyby była moja zgoda, to może by nie głosowali za wyjściem z koalicji. Chodziłem co tydzień w Łodzi na koszykówkę i potem szliśmy całą drużyną na basen. Skończyliśmy mecz, stoimy pod prysznicem, a tu pilny telefon, dzwoni prof. Balcerowicz. Chodzę z telefonem, tłumacząc, że nie będę tym premierem...

Z prof. Balcerowiczem? Tak bez... krawata?

– Bez niczego. Wszyscy pod tym prysznicem płakali ze śmiechu. No tak wtedy polityka wyglądała.

Może by Unia Wolności przetrwała i historia inaczej by się potoczyła.

– Nie. Jestem racjonalny i zdyscyplinowany myślowo, łatwo podejmuję decyzje, ale analizuję wszystkie za i przeciw. Odmowa była decyzją optymalną. I dla mnie, i dla kraju. Wiem, jak zmieniają się ludzie władzy. Blichtr, a potem ciężkie lądowanie. Dlatego PiS tak walczy, żeby nie lądować. A ja w ogóle nie chciałem nigdy robić jakiejś „kariery”. Przez wiele lat jako prezes banku dużo zarabiałem, a wydawałem tyle, ile przeciętny człowiek. Nie chciałem wchodzić na wyższy poziom wydatków, który by mnie uwiłdzał w konieczność trzymania się takiej pracy. Nie chciałem być prezesem coraz to większych firm. Dziwię się ludziom, że jak mają dobry samochód, to chcą mieć lepszy. Widziałem wiele razy, w różnych środowiskach i miejscach, ile mogą zmienić znacznie mniejsze pieniądze.

Umówiliśmy się z przyjaciółmi wiele lat temu, że skończymy pracę w wieku 50 lat i będziemy jeździć po świecie. Ja niestety musiałem jeszcze spółkę wprowadzić na giełdę, byłem w radzie nadzorczej, więc zeszło mi dwa lata dłużej, ale oni słowa nie dotrzymali. Ma się jedno życie biologiczne, ale w tym jednym można mieć wiele. Byłem np. pracownikiem naukowo-dydaktycznym, ale po co mi profesura na uniwersytecie? Nie wyobrażam sobie poświęcić życia jednej, tej samej pracy. Gdybym miał żyć 117 lat jako chłop w wiosce kaukaskiej, bo tam mają takie rekordy, od razu bym się rzucił ze skały. Czas człowieka nie mierzy się w latach, tylko w emocjach, przeżyciach.

Na studiach byłem zakochany w filmach Krzysztofa Zanussiego, jeździłem chyba wszędzie, gdzie miał spotkania. „Struktura kryształu” czy „Iluminacja” są o tym, że jeśli ma się więcej albo robi się coraz większą karierę, nie oznacza to, że żyje się lepiej, pełniej. Nie rozumiem ludzi, którzy nie potrafią żyć bez pracy, ja im współczuję.

Ha, nie chce mi się wierzyć, że pan to mówi.

– No tak, 10 lat już nie pracuję. Kto przechodzi na emeryturę w wieku 52 lat?

Pan?

– Tak, dlatego że wcześniej zacząłem dużo zarabiać, wszystko robiłem wcześniej, więc i pracować skończyłem wcześniej. W wieku 32 lat byłem wicewojewodą odpowiedzialnym za restrukturyzację regionu, przejąłem nadzór nad wszystkimi przedsiębiorstwami w województwie łódzkim, ponad 200 ich było. Presja, bo ja byłem ten młody, po studiach za granicą. W wieku 33 lat zostałem prezesem banku. W wieku 39 – członkiem RPP. Później przez 14 lat byłem już tylko prezesem w trzech firmach z sektora finansowego. Człowiek pracuje 24 godziny na dobę – nie kończę i do domu, tylko myślę, żeby ci ludzie mieli pracę, wynagrodzenie. Nie można inaczej. A proszę sobie wyobrazić to napięcie, kiedy np. trzykrotnie trzeba zwiększyć wartość firmy. Odpoczynek po dużym wysiłku intelektualnym musi trwać o wiele dłużej niż po fizycznym – ja odregowywałem na wyprawach w wysokie góry.

Jakie emocje pan tam znalazł?

– Np. góra Mera Peak, 6500 m, namiot na skos, przy ścianie pionowej, przepaść z 500 m w dół, w środku minus 30, ale w nocy musi pani wyjść na zewnątrz – a tam taka cisza. Z 10 lat jeździłem, raz do roku. Pierwszą wyprawę w Himalaje miałem na Pachermo Peak, 6300 m. To ta góra, na którą wszedł Edmund Hillary, zanim zdobył Mount Everest, na końcu najbardziej dziewiczej doliny Rolwalingu, gdzie były wioski odcięte od cywilizacji, po kilkanaście kurnych chat, bez kominów. Gdy potem zaprosiliśmy szefa przewoźników do Polski, Nuri Szerpę, to brał od nas rysunki techniczne, jak zbudować komin. Teraz ludzie stoją w kolejce, żeby wejść na Mount Everest, mają tłumy tragarzy, podają im tlen – my wchodziliśmy bez tlenu.

Najwyżej to byłem na Aconcagui w Andach, 6960 m. Trekking prowadził Ryszard Pawłowski, zdobywca dziesięciu ośmiotysięczników. Krajobraz jak na Marsie, góry bezowopiaskowe, nigdzie nikogo. Na Cotopaxi byłem, największa góra na świecie, licząc od jądra Ziemi, ale nie na szczycie, bo to wulkan i były wyziewy gazów. No i Kilimandżaro, i Ruwenzori... Margherita to masakra. Góra w Ugandzie, na którą wchodzi się tydzień w deszczu po bagnach, w woderach, skacząc z krzaka na krzak, do prawie 5000 m, dopiero potem jest skoruś lodowa.

Chodziłem bez treningu, prosto od komputera. Pytają mnie znajomi, kiedy kolejna góra – ale ja już to przeżyłem, już wolę coś innego. Rzuciłem góry, tak jak przestałem jeździć na rowerze, a przejechałem Irlandię, Francję i kraje wzdłuż Dunaju. Teraz jak skoczę poleżeć w Grecji, to słyszę, że nisko upadłem. Lubię zmiany. Kiedy wszystko już poukładane, to ja to odwracam. W muzyce i filmie też uwielbiam kontrpunkt. Od lat robię playlisty, jedna była nawet wśród 10 proc. najczęściej odsłuchiwanych na Spotify, a tam jest 680 mln abonentów.

Wychodzi na to, że ekonomia to tylko epizod w pana życiu.

– I chyba najmniej ciekawy. Mógłbym żyć bez ekonomii, ale nie bez muzyki. Większość ludzi słucha jednej całej życia. Ja się wychowałem na Pink Floydach, Stingach itd., ale po co mam teraz słuchać 70-latków, rock jest dla emerytów. Słucham tego, co nowe, z różnych krajów, z Jerozolimy, Turcji, Szwajcarii, Belgii, Paragwaju itd. Kiedyś wychowawca powiedział moim rodzicom: ten wasz syn jest wybitnie utalentowany i proszę go wysłać do szkoły muzycznej. No i oczywiście zostałem ekonomistą, zmarnowali mi życie. My w Polsce nie jesteśmy wychowani do sztuki. W Muzeum Picassa w Paryżu dzieci mają zajęcia o tym, co widzą na obrazie. A ja robi-

Upadek państwa to proces.

W najbliższej dekadzie czy dwóch nie wrócimy na ścieżkę rozwoju cywilizacyjnego, na jakiej byliśmy do 2015

klasycznej czy teorii racjonalnych oczekiwań nie jest w stanie pojąć, bo nie ma wiedzy matematycznej, a jeśli uważa, że ma, to proszę bardzo, stać z nim przy tablicy i pokazujemy, o co w tym chodzi.

Do II wojny, bo powoływał się na politykę socjalną Hitlera?

– Hitler też wygrywał dzięki wydatkom socjalnym. Ale niech Glapiński opowie to do końca: zwiększając wydatki na transfery socjalne, infrastrukturę i zbrojenia, Hitler wywołał iluzję cudu gospodarczego – i w ciągu sześciu lat 1933–39 doprowadził finanse Niemiec do kompletnej ruiny, aż prezes banku centralnego pisał do niego: panie kanclerzu, za chwilę dojdzie do katastrofy. Hitler nie miał wyjścia – musiał wywołać wojnę, żeby nie doprowadzić do gospodarczego upadku Niemiec pod swoim przywództwem.

Nadzieja w złocie? Glapiński kupił 230 ton, z czego już sprowadził ponad 100 ton i chyba jeszcze ma kupić 100 ton.

z pytaniem, czy nie pomógłbym mu „zahańczy się” w NBP. Dostałem odruchu wymiotnego. Kiedy później pełnił funkcję prezesa NBP, to zostałem świadkiem obrony prof. Jana Winieckiego, który powiedział, że Skrzypek nie ma żadnej wiedzy ekonomicznej, co potwierdziłem.

Drugi raz się z nimi zderzyłem, kiedy byłem prezesem Skarbiec Holding i TFI Skarbiec, ok. 2006 r. Falenta, ten od podsluchów, a wtedy właściciel firmy Hawe, zgłosił się do ludzi zarządzających u mnie funduszami i opowiadał o obligacjach, które emituje dla pozyskania kapitału – chciał budować największe łącze światłowodowe z Rosji na Zachód przez Polskę. Potem poprosił o spotkanie ze mną. I sugerował: jak kupicie te obligacje, to ja się panu odwiedzczę. Miał szczęście, że go nie zrzuciłem ze schodów, bo odebrałem to jako propozycję ordynarnej łapówki. Jestem emocjonalny, kiedy chodzi o zasady.

Palenie kukły Wałęsy przez Kaczyńskiego i Glapińskiego to było coś obrzydliwego. Nie wiem, czy to środowisko było wte-

łem w szkole rysunki typu „Chłop w polu”. Jeśli fajny kawałek muzyczny ma 800 odsłon na YouTube, a jakiś wywiad ze mną 370 tys., to o czym to świadczy? O totalnym upadku cywilizacji. Ludzie nie słuchają muzyki, tylko chcą wiedzieć, czy będą jeszcze biedniejsi. Kotlet ich bardziej interesuje niż muzyka.

WSCHODNIE METODY – WSCHODNIE SKUTKI

Kotlet określa świadomość – nie tylko w Rosji.

– W gospodarce wschodnie metody to trzy w jednym: centralizowanie władzy gospodarczej, monopolizowanie i upolitycznianie gospodarki. Łatwiej zarządzać np. z jednym Obajtkiem niż dziesięcioma przedsiębiorcami. Teraz Orlen to stwórz, który nie ma konkurencji, wchodzi na skrzyżowanie ze światem politycznym, kontroluje ceny paliw, stacje benzynowe, za chwilę także ceny energii, gazu po fuzji Orlenu z PGNiG. Co z tego mają obywatele? Mniej efektywne przedsiębiorstwo i wyższy poziom zmonopolizowania rynku – więc będą w gorszej sytuacji jako konsumenci. To połączenie wschodniej mentalności i wyrafinowanego cwaniactwa, żeby przejąć jak największy zakres władzy.

Wschodnie metody doprowadzają do wschodnich skutków. Ostatnie lata i następny rok to gwałtowne przesunięcie redystrybucji dochodu od pracujących do niepracujących, ale też od oszczędzających do kredytobiorców. To podważa długookresowy rozwój kraju – bo inwestycje biorą się z oszczędności. A one się deprecjonują z powodu inflacji i będą demotywowały całe pokolenia do oszczędzania. Jak tatuś każe oszczędzać, to synek powie: tatuś, walnij się w łeb. Ci, którzy mają przejść na emeryturę, a coś sobie odkładali, są w desperacji, bo te pieniądze topią im się w oczach. Proszę pani, trzy lata takiej inflacji jak teraz, nawet gdyby już nie rosła, to utrata ponad połowy naszych oszczędności. Ludzie nie będą chcieli oszczędzać, a bez oszczędności, czyli bez inwestycji, nie ma rozwoju.

Żeby wygrać najbliższe wybory, Kaczyński musi wydać niepomrotnie więcej pieniędzy niż na poprzednie. Potrzeby pożyczkowe na 2023 r. są oceniane na mniej więcej 400 mld zł – a już nie ma skąd brać, nawet nie da się uplasować takiej liczby obligacji na polskim rynku finansowym. Dlatego rozpoczął proces zadłużania kraju za granicą – to kontynuacja polityki kupowania głosów.

To ile będą kosztować te głosy?

– Ostatnio rząd sprzedał obligacje na rynku amerykańskim warte 4,5 mld dol., co świadczy o tym, że już uderzamy w ścianę.

A Bank Gospodarstwa Krajowego wyemitował obligacje na 200 mln euro – kupiły je polskie banki, pieniądze trafiają do funduszu covidowego. Jakie wydatki w walucie zagranicznej ma fundusz covidowy? Żadnych. To 200 mln euro będzie wydawane poza nadzorem Sejmu i o tyle – też poza nadzorem Sejmu – wzrosną nasz deficyt i dług. Kiedy przyrastają deficyt i dług w złotychkach, to zgodnie z mechanizmem rynkowym następuje wzrost rentowności polskich obligacji – a ich wzrost oznacza słabnącą pozycję finansową kraju. Ale w tym przypadku rentowność nie wzrosła, bo ta pożyczka jest w walucie obcej, więc nie będzie liczona jako złotówkowy dług krajowy. Co to znaczy? Że PiS zwiększa nasz deficyt o 1 mld zł (po przeliczeniu z euro), ale oprocentowanie obligacji w złotych nie będzie rosło. A więc niektórzy mogą uznać, że pewnie w Polsce się poprawia – ale będzie się pogarszać. To już jest taki poziom zła, że to się w głowie nie mieści. Nie dość, że łamią demokratyczne reguły wydawania publicznych pieniędzy, to zaciemniają rzeczywisty obraz tego, co się w polskiej gospodarce dzieje.

Podobnie kuglują z tym nowym Funduszem Wspierania Sił Zbrojnych, który

w tym roku ma wydać ok. 15 mld zł. Konstytucja mówi, że budżet jest planem finansowym kraju zatwierdzonym przez Sejm. W tym planie są dwa limity, nieprzekraczalne dla rządu pod odpowiedzialnością przed Trybunałem Stanu: limit wydatków i deficytu. No to PiS wpadł na pomysł i napisał sobie ustawę, że w 2022 można go przekroczyć – z powodu wydatków na obronę narodową, wspieranie odbiorców w finansowaniu kosztów energii oraz na wspieranie emerytów i rencistów z powodu inflacji. A o ile? A, nie wiadomo, rząd dopiero zdecyduje. To tak mniej więcej, jakby do prawa o ruchu drogowym dołożyć zapis: jeśli masz na drodze znak ograniczenia prędkości, ale z jakichś powodów bardzo się spieszysz, to możesz tę prędkość przekroczyć. A o ile, to powiesz policjantowi, kiedy cię złapie, a wtedy on odpowie: bardzo panu dziękuję, niech pan jedzie dalej. Mroźek z Bareją do kwadratu. System finansowy położony na łopatkę.

Ludzie się już przyzwyczaili, że konstytucję się łamie?

– Konstytucję i ustawę o finansach publicznych. Co na to pisowscy dziennikarze? „Obok wojna i trzeba się zbroić, więc nie czepiajmy się dyscypliny budżetowej”. W dodatku manipulują, że Niemcy też tak robią. Ale to kłamstwo. Jeżeli trzeba przekroczyć limit wydatków, to w ścieżce zgodnej z konstytucją, tak jak to się robi w świecie zachodnim.

Niemcy wydadzą 200 mld euro na ochronę tych najbardziej pokrzywdzonych przez inflację i ceny energii, będą to robili poza budżetem w specjalnym funduszu – na takiej zasadzie, na jakiej przeznaczili 100 mld na obronę. Ale Niemcy wpisali ten fundusz do konstytucji, wydatki będą monitorowane przez parlament. Powołali podkomisję w komisji finansów publicznych, która będzie akceptowała wydatki powyżej 25 mln euro. Niemcy to zrobili z całym sztafażem demokratycznym. A pi-sowskie fundusze są poza kontrolą.

U nas PiS stworzył już 126 funduszy poza kontrolą Sejmu, a to też transfer kasy do swoich ludzi. Budowanie oligarchii jak w Rosji?

– Oczywiście, PiS inwestuje w swoje „elity”. Przy czym nawet jeśli akceptujemy cel, na który idą pieniądze z niektórych funduszy, nie usprawiedliwia to niezgodnego z prawem sposobu wydawania naszych pieniędzy. Biorąc pod uwagę lata 2021-22 i projekt budżetu na rok 2023, poza kontrolą jest prawie jedna trzecia wszystkich wydatków państwa. To rośnie z roku na rok. Jest to jeden z przykładów na to, jak już zostaliśmy przesunięci na Wschód.

Przez PiS wzrosły nam trzy podstawowe dług: publiczny, emerytalny i klimatyczny. Przeciętny 20-latek nie ma szans, żeby w jego życiu dokonał się taki awans cywilizacyjny i ekonomiczny, jaki przeżyli Polacy po 1989 r. Ten 20-latek już do końca życia będzie płacił na dług publiczny i system emerytalny o wiele więcej niż ja, któ-

Trzeba ludziom tłumaczyć, żeby w końcu zauważyli tę małą, a nie że już się nic nie da

ry mam lat ponad 60. Plus na to, żeby nie doszło do katastrofy klimatycznej, jeśli ma dożyć mojego wieku. Narastający marazm zmusi do emigracji najbardziej wartościową młodzież.

Będą nas tak zadłużać bez końca?

– Każdy z nas, łącznie z tym, który się wczoraj urodził i który jutro umrze, jest dzięki panu Kaczyńskiemu zadłużony już

Opozycja powinna już teraz powołać okrągły stół opozycyjny z podstolikami w różnych dziedzinach. To zwiększałyby nadzieję na odbudowę kraju po PiS

na 45 tys. zł. Co to znaczy? Że co miesiąc większa część naszych podatków od tego, co zarobimy – a co ma o wiele mniejszą siłę nabywczą – będzie szła nie na zdrowie, nie na oświatę, tylko na obsługę tego długu publicznego, o którym nie decydowaliśmy, bo PiS wyjął ten dług spod kontroli społecznej. Dokładniej: poza kontrolą są trzy czwarte obecnego deficytu finansów publicznych. Czyli PiS poprosił o zgodę przez parlament tylko na 25 proc. przyszłego zadłużania Polaków. O pozostałych 75 proc. przyrostu naszego długu zdecydowała wąska garstka ludzi sprawujących władzę.

Czyli o budżecie szkoda gadać?

– No, to atrapa, bullshit.

Projekt budżetu podaje, że nasz deficyt wynosi 69 mld zł, a Forum Obywatelskie-go Rozwoju wyliczyło, że 206 mld zł.

– Bo dołączyli ten deficyt wypchnięty poza budżet. Ale to nie jest cała prawda. Musiałbym wytłumaczyć rzecz skomplikowaną, trzeba wiedzy z zakresu księgowości i makroekonomii – bo tu PiS kręci jeszcze bardziej.

Ale o co chodzi? Najprościej?

– O to, że nie można łączyć jabłek i gruszek. PiS zaciemnia obraz finansów publicznych także przez mieszanie różnych zasad księgowości, a tego się w świecie zachodnim nie robi. W grudniu ub.r. zaksięgowali ogromne wydatki, które realizowali przez następne miesiące. Ale w finansach publicznych wydatki się księguje wtedy, kiedy są poniesione, a nie wcześniej. Teraz, w grudniu, zaksięgują wydatki, a będą je realizowali w 2023 r. I powiedzą: w 2022 deficyt wzrósł, ale patrzcie – w 2023 spada. I w ich papierach będzie spadał. Ale to będzie wierutna bzdura.

Każdemu rządowi zdarzają się tzw. niewygasy z poprzedniego roku, czyli niewielkie kwoty, które zostają do wydania dysponentom na początku następnego roku. Ale PiS robi to z premedytacją, na ogromną skalę, a później te oszustwa wykorzystuje w propagandzie.

Kto za tym stoi?

– Myślę, że wąska grupa wokół premiera, z Pawłem Borysem na czele. To prezes Polskiego Funduszu Rozwoju, przewodniczący rady nadzorczej BGK i przewodniczący rady Polskiego Instytutu Ekonomicznego przy KPRM. Współpracownik Morawieckiego. Najbardziej kumaty w tym towarzystwie, z wykształceniem ekonomicznym, bo w rządzie nie ma żadnego ekonomisty.

I wie, jak wykiwać Polaków, skoro nie mamy nadzoru nad naszymi pieniędzmi, tak?

– Wie, co robić, żeby były pieniądze, i jak kiwać ludzi, żeby tego nie zauważyli.

Dlaczego ochrona pieniędzy Polaków nie może być niezależna i uczciwa?

– Dlatego że według Jarosława Kaczyńskiego władza ma być scentralizowana: bo tylko ja wiem, co ludowi trzeba, no i żebym nie musiał władzy oddać. Stąd przejmowanie wszystkich segmentów państwa i opie-

ranie się albo na skrajnych cwaniakach, albo ludziach, którzy mają ograniczoną wiedzę i niską zdolność logicznego myślenia.

Mówimy, że NBP nieudolnie zwalcza inflację, że jest konflikt w Radzie Polityki Pieniężnej – lecz to powierzchowna interpretacja. Tam się dokonuje dramat. Glapiński realizuje cel polityczny partii, która go tam powołała, zatrudnia do zarządu wiceszefa tej partii i kolegę prezydenta, który był szefem jego kancelarii. A po co Glapiński ogranicza dostęp do analityków, materiałów, a nawet korytarzy trzem członkom RPP, mając i tak większość w tej Radzie?

Po co?

– To samo myślenie co u Kaczyńskiego: jeśli ich ograniczę, to będą musieli mnie słuchać. Uważają, że wszystkich można kupić, zastraszyć, oglupić. No bo co Glapińskiemu mogą zrobić ci ludzie z RPP? Niech sobie głosują inaczej, co mu to przeszkadza? NBP i RPP zostały przekształcone w atrapy, tak samo jak Krajowa Rada Sądownictwa czy Trybunał Konstytucyjny.

Mają działać zgodnie z linią partii, a nie niezależnie, jak każe konstytucja.

– Dokładnie tak. Tu nawet nikt nie musiał łamać prawa, bo tak się ułożył kalendarz kadencyjności. To nasze błędy konstytucyjne. W RPP nie ma mechanizmu overlap-ping, nakładania się kadencji jej członków. W 2016 wymieniono w RPP cały skład, a zarząd NBP jest wymieniany sukcesywnie na wniosek prezesa do prezydenta, który też jest z PiS. W ten sposób podporządkowali NBP partii, a ludzie, którzy tam są, służą jej z własnego wyboru. Inflację, konstytucję, ustawę o NBP i przyjętą strategię polityki pieniężnej Glapiński ma w głębokim poważaniu.

Aż tam?

– Dopóki inflacja przyspiesza, budżet zarabia.

Zabierają nam kasę, a przed wyborami rozdadzą je grupom, które na nich głosują?

– Tak, to będą pieniądze z ogromnego podatku inflacyjnego, który na nas nałożyli.

Do tego mogą tuż przed wyborami obniżyć ceny energii, benzyny, prądu?

– No tak, tylko teraz będą musieli zastosować te instrumenty na większą skalę niż do tej pory. Nie zdziwiłbym się, gdyby Kaczyński jeszcze wymyślił jakąś „piątkę” typu: tych zwalniamy z podatku, tym damy 15. emeryturę, gminom wiejskim to czy siamto.

PiS coraz jawniej niszczy ład gospodarczy – na szczęście ludzie już to widzą. Że władza chce zabetonować swoich w spół-

kach, że każą im nie kupować węgla, bo zaraz będzie po 960 zł, a węgla nie ma itd.

POWOŁAĆ OKRĄGŁY STÓŁ OPOZYCYJNY

To wszystko brzmi jak opowieść o działaniu okupanta.

– Niestety. Ale to też uproszczenie. Sytuacja jest o wiele gorsza. Oczywiście, że atakują nas służby czy trolle rosyjskie, ale atakowani są wszyscy wokół i dają sobie radę. Kaczyński uprzedzał: gotów jestem poświęcić nawet 1 proc. tempa wzrostu PKB, żeby coś tam zrealizować. A jakaś starsza osoba powie: jestem gotowa żyć w gorszych warunkach, nie pozwolę się wziąć pod but niemiecki, a LGBT zabiera mi wiarę. Śmiech i szyderstwa z Zachodu okazywane przez publiczność na spotkaniach z Kaczyńskim są często szczere.

Fatalna jest sytuacja w zakresie wynagrodzeń w ochronie zdrowia i edukacji. Gdyby ktoś włożył 100 mld zł np. na podwojenie tam wynagrodzeń, to wie pani, co będzie miesiąc później? Totalna katastrofa. Bo oni tam zarabiają na etacie tyle, że nie mogą przeżyć, więc pracują na półtora etatu albo dwa. Gdyby zarabiali na jeden etat tyle, żeby przeżyć, to poświęcaliby więcej czasu rodzinie, wyjechali na wakacje. Czyli ich podaż pracy by spadła. A gdyby pielęgniarki, nauczyciele pracowali tylko po 40 godzin, to dla Polski byłby dramat. Wchodzimy już w taką spiralę. To się da naprawić, ale trzeba by zastosować skomplikowane procedury i włożyć w to dużo pieniędzy.

Jak naprawić?

– Technicznie? Żeby wszyscy nagle nie skracali godzin pracy? Np. tak: o 20 proc. podnoszę zasadniczą i o 50 za nadgodzinę. Ale rozkładałam to w czasie, żeby się z tego wycofywać, i uruchamiam drugą rzecz – żeby więcej ludzi chciało iść do tych zawodów. Ale jak zrobić, żeby ten, kto wchodzi do zawodu, od razu zarabiał więcej? Co na to ci z doświadczeniem? My już naprawdę chodzimy po linii w każdej dziedzinie. Do tej pory najlepiej nam wychodziło to, co nam narzuciły prawo unijne czy kapitał zagraniczny, sposób zarządzania korporacjami itd. A tam, gdzie rządząmy się sami, jesteśmy marni.

Zalóżmy, że opozycja wygra. Co by pan najpierw zrobił?

– Najpierw trzeba odwrócić wszystko, co można, w trybie ustawowo-administracyjnym, wszystkie złe rozwiązania, które niszczą praworządność. Powołałbym specjalną komisję wielopartyjną, z udziałem NGO, elementu społecznego, która by zlecała audyty poszczególnych instytucji i je upubliczniała. Bo Polacy muszą zobaczyć, jakie są konsekwencje niszczenia państwa przez PiS na wszystkich polach, ponieważ wielu zniszczeń sobie nie uświadamiamy. To byłoby możliwe tylko wtedy, kiedy badać to będą profesjonalści, a komisja będzie miała autorytet ogólnospołeczny. Takie ponadpartyjne i ponadpolityczne grona powinno się powołać także do najtrudniejszych reform kluczowych dziedzin życia, czyli oświaty i ochrony zdrowia. Poparcie całego społeczeństwa jest potrzebne, bo te reformy będą wieloletnie.

Ja bym z tym nie czekał na po wyborach. Opozycja powinna już teraz powołać okrągły stół opozycyjny z podstolikami w różnych dziedzinach. Delegowani byliby do niego przedstawiciele partii opozycyjnych, interesariuszy, NGO i specjaliści, którzy by rozpoczęli audyty poszczególnych dziedzin życia i wypracowywanie najważniejszych decyzji.

Świetny pomysł, ale widzi pan, jak oni się dogadują.

– Ja tylko mówię, co powinno być. To by przygotowało opozycję do naprawy państwa. Już teraz pokazałaby Polakom, że ich przyszłe decyzje będą oparte na wnikli-

wych diagnozach i badaniach różnych ciał ponadpolitycznych. Zyskałaby większe zaufanie, że jest przygotowana do rządzenia krajem tak zniszczonym. Terapia jest tym skuteczniejsza i łatwiejsza do przyjęcia, im bardziej pacjent jest świadom swego stanu. Dzisiaj opozycji trudno pokazywać środki zaradcze, gdyż spowodowałyby wspomaganą przez propagandę pisowską reakcję: „no, zawsze mówili, że pieniędzy nie ma, a byli, i znowu mówią, że nie ma”, „krytykują PiS, a co oni by zrobili?”. Partie opozycyjne mają programy, ale jak ludzie mają się w nich połapać? Natomiast praca podstolików, raporty, diagnozy zwiększałyby nadzieję na odbudowę kraju po PiS. Ludzie muszą zobaczyć szkody przez nich dokonane. Inaczej nie będzie akceptacji dla naprawy państwa.

Jeśli fajny kawałek muzyczny ma 800 odsłon, a jakiś wywiad ze mną 370 tys., to o czym to świadczy? O totalnym upadku cywilizacji

Zatrucie mózgów powoduje, że wyjście z katastrofy po PiS będzie długie i obciążone ryzykiem, że ten proces może zostać zahamowany. Dlatego pytam: czy jest możliwe postawienie celu naprawy Polski po PiS i zgromadzenie większości społeczeństwa wokół tego celu, żeby dokonać naszego drugiego skoku cywilizacyjnego?

To, co robią Polsce, to nie jest destrukcja dla samej destrukcji. Oni rozwalają państwo w tych kawałkach, które stoją im na przeszkodzie. Jak inaczej oceniać powtórne „lex Czarnek”? To sygnał: nie odsuniecie nas od władzy. Po roku forsujemy tę samą legislację nie po to, żeby ona obowiązywała przez pół roku szkolnego, tylko żeby była forever. Oni to robią nie w celu zniszczenia państwa, wiedząc, że przestaną rządzić. Logika ich rozumowania jest inna: będziemy tak postępowali, bo władzy nie odamy.

Nie?

– Wykorzystają możliwości prawne i pozaprawne, żeby nie oddać. Ale jeżeli za pół roku będą mieli 25 proc., a opozycja 75, to oni tego nie zatrzymają. Teraz manipulują opinią publiczną, wykorzystują swoje sondażownie, żeby pokazać, że wcale nie tracą. Ważne, na ile społeczeństwo da się zmanipulować. Ja na własne oczy widziałem totalitarne państwo, które w 1989 rozpadło się w ciągu godzin, gdy miliony ludzi wyszły na plac Wacława w Pradze czeskiej. Honecker, największy zamordysta państw komunistycznych, upadł ot tak, a Ceaușescu zabili. Obaliliśmy komunizm, mimo że to było niemożliwe.

Łatwo nie będzie. PiS planuje dwa nowe stany nadzwyczajne: stan pogotowia i stan zagrożenia. Rząd będzie mógł je wprowadzić bez kontroli Sejmu, wystarczająco „niekorzystne okoliczności”.

– Nie ma znaczenia. Marsze kobiet – we wszystkich uczestniczyłem – były sprzeczne z przepisami prawa.

Nie, to wprowadzony przez PiS zakaz zgromadzeń był sprzeczny z konstytucją.

– O tym mówię: a te dwa nowe stany wyjątkowe byłyby zgodne z konstytucją? Jak przychodzi co do czego, to ludzie ignorują narzucone zakazy. Skuteczność zależy od skali protestów. A jak wyjdzie nas milion?

A jak nie wyjdzie? Antyzachodnia propaganda PiS to jedyne, co w naszym kraju działa sprawnie.

– Wszystko zależy od ludzi.

Po wielkim czynie bezkrwawej rewolucji '89 r. mieliśmy czas dźwignięcia cywilizacyjnego i wyrzeczeń, na które grupy społeczne ostro reagowały. Ale długo nie było łatwo się przyznać do popierania PSL, potem Samoobrony. Za PiS to się zmieniło. Ludzie zaczęli się wręcz chwalić: jestem antyelitarny, nie podnoszę swojej wiedzy, mam słomę w butach, ale to ja jestem prawdziwym Polakiem.

Pisowska edukacja to wrzucanie kijanek do garnka z gotowaną wodą, one nie wyskoczą, są bezbronne. Jak w tym rewelacyjnym filmie „Dreszcze” Wojciecha Marczewskiego o komunistycznym obozie,

w którym niszczy się co bardziej wrażliwe dzieci, żeby były po naszej stronie. Ludzie mają wiarę, przeświadczenie, a dopiero potem poglądy. Zmiana przeświadczenia jest jak odejście od wiary. PiS w edukacji chce przesunąć swoje narzucane poglądy do poziomu przeświadczenia. To też model wschodni, większość Rosjan ma przeświadczenie, że ich państwo jest czymś szczególnym, a wokół wrogie siły.

Zamiast uczenia historii przez ciągłą nawałankę z Niemcami, te bitwy pod Cedynią, Grunwaldem itd., można też uczyć o przekształcaniu się sił wytwórczych, sobie uprawiania ziemi, nabywaniu coraz większych praw przez chłopów i kobiety. Te tysiąc lat mogę pani opowiedzieć inaczej. Edukację zabałaganiliśmy 30 lat temu. Najgorsze są uniwersytety, nasz najlepszy w czwartej setce. A fundamentem wszelkich rozwiązań instytucjonalnych i prawnych jest kształtowanie ludzi do wolności i demokracji przez edukację.

„PANIE BOGUSIU, ALE JA GRAM!”

Dlaczego tak łatwo dajemy się prowadzić na Wschód?

– Według mnie 25 lat po 1989 r. były wyjątkiem w tysiącletniej historii Polski. Należę do pokolenia wybranego, chociaż niektórym z nas się poszczęściło bardziej, innym mniej. Wraz z wejściem do UE, implementacją prawa unijnego, metod zarządzania biznesem szybko osiągnęliśmy w tych dziedzinach poziom bliski świata zachodniego. Ale tam, gdzie nie było koordynacji, bo nie była wymagana z punktu widzenia przepisów prawa z Unią, jest katastrofa. Katastrofą jest polska służba zdrowia, system świadczeń społecznych, edukacja, wymiar sprawiedliwości. Odstajemy wszędzie tam, gdzie nie narzucono nam zachodnich rozwiązań cywilizacyjnych.

Kiedyś nie zdawałem sobie sprawy, że za tym się kryje mentalność Polaków, cywilizacyjne cofnięcie. Pewnie dlatego, że byłem w tej awangardowej części społeczeństwa, powiązanej z tym, co się dzieje w Europie Zachodniej. Rok 2015 był dla mnie szokiem. Zrozumiałem, że utożsamiałem awans materialny z mentalnym – a zmiany światopoglądowe następują o wiele dłużej niż materialne.

To, co determinowało nasz awans, wygasa, np. wpływ inwestorów zagranicznych na sposób zarządzania gospodarką. W okresie transformacji przyjeżdżali do nas doradcy z Zachodu, jako członek RPP widziałem, jaki mieli wpływ na podnoszenie poziomu badań ekonomicznych w NBP. A teraz bardziej nas determinują nasz niski poziom wykształcenia i wpływ religii, Kościół hamuje postęp humanizmu od setek lat.

Rozbieżność między światopoglądem Polaków a ludzi z Europy Zachodniej będzie ciążyła na perspektywach rozwojowych polskiej gospodarki. Im dalej na wschód, tym bardziej to widać. Często jeżdżę na Podlasie. Tam liczba zakładanych firm w przeliczeniu na tysiąc mieszkańców jest mniejsza niż w zachodniej Polsce, podobnie liczba szczepień itd. Poza tym w awangardzie są zawsze ludzie młodszy, wykształceni, ale ich udział w polskim społeczeństwie maleje, a tych w wieku emerytalnym rośnie.

Na Podlasie po co pan jeździ?

– Tam, dokąd jeżdżę, większość gospodarstw prowadzą wspaniałe panie, których mężowie zwykle już nie żyją, a dzieci wyjechały do Brukseli. Są biegłe w technicach telefonii komórkowej. Żeby się łączyć z dziećmi, opanowały Skype’a, Messenger’a, WhatsAppa itd. Raz pojechaliśmy wymienić jednej pani telefon. Wybieramy, tłumaczyć sprzedawcy: to nie, tamto nie, ta pani nie potrzebuje karty graficznej, nie gra w żadne gry. Kupiliśmy telefon, wsiadamy do samochodu i słyszę: „Panie Bogusiu, ale ja gram!”. I wymieniam nazwy gier. A ja w życiu nie grałem w gry na telefonie. Pod tym względem one są do przodu.

Co pan tam robi?

– Nic nie robię. Jak tylko ruszam z Warszawy w kierunku Bugu, najpiękniejszej rzeki w Polsce, to już mi lepiej.

Co to znaczy nic nie robić?

– Powiem pani, co tam robię: jem. Bo jak przyjeżdżam, to czeka na mnie babka ziemniaczana, kiszka ziemniaczana, wiele rzeczy do spróbowania.

Dzięki tym wizytom wiem, dlaczego PiS ma wciąż poparcie. Przylega do tych ludzi nie tylko rozdawnictwem, ale też wieloma mackami: „religijnością” w cudzysłowie, przaśnym patriotyzmem, schlebianiem gustom, a wszystko opakowane w disco polo z Zenkiem Martyniukiem jako ikoną, bo to chłopak z Podlasia. Nie przekonamy ich tym, że Kaczyński niszczy praworządność, demokrację, media. Oni nie zagłosują przeciwko swojemu ja – mogą najwyżej nie pójść na wybory. Widzą, że nie ma pieniędzy, ale to przez Putina. Nie ma węgla? Mają swój las, a 3 tys. wezmą.

A gdy Kaczyński wyśmiewa osoby transpłciowe, straszy, jak Putin, 12-letni mi lesbijkami, to trafia do nich?

– On jest bardziej wsteczny niż oni, ale nawet gdy się z nim nie zgadzają, no to co takiego się stało? Dziadkowi brzydko się odbiło.

PiS przesuwą nas na Wschód, ale nie oszukujmy się: w pełnym wymiarze nigdy nie byliśmy na Zachodzie. Ilu Polaków płaciło policjantowi łapówkę, ilu w komunizmie wynosiło coś z zakładów pracy, coś sobie „zalać”? Dzisiaj jeżeli kogoś niekompetentnego powołują na prezesa firmy albo banku centralnego i on zarabia 100 tys. zł miesięcznie, to w jego mniemaniu przecież nie kradnie. A Rydzyk i jego geotermia to co to jest, jak nie Wschód?

Bez tego pierwiastka wschodniego, wspieranego przez Kościół, rządy PiS byłyby niemożliwe. My się uczymy w szkole o Konstytucji 3 maja, o ks. Skorupce i jakichś wzlotach cywilizacyjnych – a to były wyjątki w naszej historii. Gdy ktoś mi opowiada o powstaniu warszawskim i Państwie Podziemnym, to mówię: ale ja jestem z Łodzi, my mieliśmy kilku „Promienistych”, którzy walczyli, a reszta siedziała cicho, także przez terror.

Kaczyński zdobył władzę, wykorzystując wschodnią mentalność mniej wykształconych Polaków, o mniejszych dochodach, sfrustrowanych. Oni też osiągnęli awans materialny i cywilizacyjny za III RP, ale mniejszy niż inni, lepiej wykształceni, bo ten nowy system nie dawał nikomu bogactwa, tylko szanse na jego wypracowanie. Jeżeli to przeciąganie nas na Wschód jeszcze potrwa, to inwestycje w Polsce będą coraz mniejsze. Prawo mamy niestabilne, a Ziobro ciągle myśli o dokręcaniu śruby, o prewencyjnej konfiskacie majątku, czyli przejmowaniu majątku także tych osób, wobec których nie toczy się żadne postępowanie karne.

No nie jest to kultura Zachodu.

– Bo to eksponenci Wschodu w Polsce. Francuzi czy Włosi mogli lubić Rosjan, ale nigdy nie byli zakażeni rosyjską mentalnością. A kurica nie ptica, Polska nie zagranica. W poglądach jesteśmy antyrosyjscy z wiadomych względów, ale w sposobie myślenia mamy dużo podobieństw. Ponad 50 proc. Polaków głosiło w 2020 r. na prezydenta, który łamał konstytucję. Zakładając wpływy rosyjskie, to przecież aż takie poparcie na czołgach rosyjskich nie przyszło. U nas wychodzą Morawiecki z Sasinem i mówią, że będzie ustawa, która umożliwi samorządom dystrybucję węgla. Apelują, żeby samorządy to robiły, zanim ta ustawa wejdzie w życie, bo ona będzie działała wstecz. Premier i wicepremier pozwalają sobie na wygadywanie bredni, bo tylko część ludzi się sprzeciwia. Nie ma takiej skali oburzenia, jaka powinna być z powodu tego, co PiS nam robi. Nawet posłowie opozycji krytykują rządzących za to, że spółki skarbu państwa podnoszą marżę na sprzedaży energii czy paliw. Oni nie rozumieją, że namawiają rząd, który ma w tych spółkach góra jedną trzecią głosów, żeby łamał kodeks spółek handlowych i prawa innych akcjonariuszy. Słucham z osłupieniem.

W normalnych warunkach miałby pan rację, ale teraz spółki przejęli ludzie związani z PiS w zamian za odprowadzanie haraczu. Siedzi tam też wielu zasłużonych dla PiS agentów służb specjalnych. Te spółki nie działają dla państwa, tylko dla PiS.

– Zgadzam się. Ale mnie denerwują same analizy ekonomistów, np. na temat zabetonowania władz w spółkach skarbu państwa bez wpływu akcjonariuszy. To skandaliczne, niekonstytucyjne. To są spółki prawa handlowego, publiczne, które są elementem systemu emerytalnego, a ktoś mówi: e tam, nie będziemy przestrzegali kodeksu spółek handlowych, to my, a nie akcjonariusze, decydujemy, kto wejdzie do rady nadzorczej i zarządu. A przecież to pozbawianie właścicieli praw do własności, bo skarb państwa ma tam tylko jedną trzecią praw.

Nie można się przyzwyczajać: eee, oni tacy są. Przed wyborami tego typu chorych pomysłów będziemy mieli na pęczki. Ich desperackie posunięcia będą coraz bardziej bezprawne, ale dlatego łatwiejsze do zidentyfikowania i łatwiej będzie je Polakom pokazać.

Tę przebiegającą malpę?

– Rzeczywistość będzie pomagała. Mamy największy w historii wolnej Polski spadek inwestycji i wzrost transferów społecznych mimo rosnącego deficytu i długu. Nasza gospodarka ma hamujące inwestycje, hamujące oszczędności, narastające nierównowagi. A wiedza Kaczyńskiego o tym wszystkim jest jak u chloroplastu – jest zielony. Dookoła siebie ma też chloroplasty, które czekają, aż mąż opatrznosciowy coś wymyśli, bo oni w niego wierzyli, dawał im majątek, posady dla krewnych. Wywyższył ogrodnika po technikum do marszałka Sejmu, wójta z Pcimia do szefa największego koncernu w Europie Środkowo-Wschodniej, księżową ośrodką pomocy społecznej w Pcimiu do szefowej Energi. Nie może od

nich oczekiwać pomocy intelektualnej, bo są do tego niezdolni.

W GORĄCEJ WODZIE KĄPANY

Nie może, bo jest najmądrzejszy. Czyli Polska się wali?

– Nie możemy na to czekać, bo jeżeli ich pokonamy, to będziemy musieli wykonywać ogromną pracę, którą w zakresie świadomości i konstruowania instytucji zrobiliśmy już w latach 90. Byłem w pierwszej RPP, współtworzyłem jej regulamin. Myśmśmy zrobili w polityce pieniężnej rewolucję: upłynniliśmy kurs złotego, wprowadziliśmy bezpośredni cel inflacyjny, rynkowe operacje otwartego rynku. Potem obniżyliśmy inflację do 2 proc., a jak wychodziłmśmy na ulicę Warecką, to ludzie wytykali nas palcami. Ale wiedziałem, że to krótkookresowe wyrzeczenia – przez następne 20 lat mieliśmy niską inflację, niskie stopy procentowe, miliony ludzi dostały kredyty hipoteczne, kupiły mieszkania. Do 2015 r. polityka pieniężna była wyłączona z przetargu politycznego, bo ona musi być fachowa, prowadzona bez presji politycznej, stabilny pieniądz jest fundamentem, który nie może podlegać wahaniom politycznym.

Jak widzę, że PiS marnotrawi ten wysiłek, to moim obowiązkiem jest go bronić. Od małego tak miałem. Pamiętam taką scenę z dzieciństwa. Mama pracowała w sklepie, 15 minut od domu, mieszkaliśmy na Bałutach. Pójście na religię to była droga przez dwa wrogie obszary, w których można było dostać po łbie. Początek podstawówki, idziemy z bratem. Kupiliśmy sobie herbatniki Petit Beurre, rzecz wtedy luksusowa. Nagle z parku wychodzi na nas paru 15-latków i nam je zabierają. Trząsłem się ze strachu, ale capnąłem im te ciastka i w nogi, oni za nami. Jak trzeba walczyć, to nie zastanawiam się nad konsekwencjami. Byłem w grupie zakładającej strajk studentów w 1980, później przedstawicielem studentów NZS. Zawsze w gorącej wodzie kąpany.

W jakim sklepie mama pracowała?

– Gospodarstwa domowego. Chodziliśmy z bratem pomagać. Talerze, miski, garnki, sztućce – rozładowanie dostawy to tyle noszenia, że mama zachorowała. Tata pracował w zakładach aparatury elektrycznej Elester przy konstrukcji styczników elektrycznych. Chyba po jego rodzinie mam zaangażowanie społeczne, bo dziadek przed wojną był, wstyd przyznać, działaczem Falangi. Ojciec był aktywnym działaczem „Solidarności”. Po nim mam niewyparzoną gębę.

Rodzina ojca jest z Łodzi. Mama z Podkarpacia, przyjechała do Łodzi, bo tam trafiła jej siostra po powstaniu warszawskim. Ja i brat jedyni w rodzinie mamy czarne włosy i jesteśmy do nikogo niepodobni, może trochę do taty. Wprawdzie dziadek ze strony mamy się szlajał na Dalekim Wschodzie, bo był w wojsku carskim w czasie I wojny, ale babka nie, więc jego szlajanie się nie liczy.

Dziadek ze strony ojca był w ruchu oporu, zabity przez Niemców, a babcię wywieźli na roboty do Niemiec. W domu została trójka dzieci – ciocia 13 lat, mój ojciec Stefan 10 lat i ich siedmioletni brat. Łódź to był Reich, wszyscy od 12. roku życia musieli pracować, ciocia kopała rowy i mieli razem jedną kartkę żywnościową. Od taty zawsze słyszałem: „ja to całą wojnę brukiew jadłem”. W domu nie można było nie zjeść do końca. Dostawałem trampki, jak pokazałem dziurę w starych. A iść do szkoły w kurtce po bracie to była niezła trauma, choć wtedy większość ludzi tak żyła. Może dzięki temu dzisiaj nie mam dużych wymagań, a gromadzenia rzeczy sobie nie wyobrażam.

Mama bardzo ciepła, ale skrajnie katolicka. Dramat, bo westerny puszczała w telewizji w niedzielę o 10, a tuż przed końcem trzeba było wyjść do kościoła, nie ma

zmiłuj, a powtórek nie było. Mój stosunek do religii jest jak Kołakowskiego: nigdy nie będę z nią walczył, bo jest ludziom potrzebna, tylko niech oni nie ograniczają mojej wolności.

Ojciec zasadniczy, oschły, chwalił się mną przed innymi, ale mnie – nigdy. Żebyśmy mogli obaj z bratem studiować, pracował dodatkowo. Jak wygrałem stypendium do Anglii i aplikowałem na University of Western Ontario w Kanadzie, to leciałem tam jeszcze radzieckim łem-62. Wcześniej potrzebna była opinia partyjna i nie jeździłem za granicę, ale w 1989 mogli mi już skoczyć na wieko od trumny.

Urodziłem się w kraju autorytarnym i mnie już nikt na Wschód nie przesunie. W 1991 r. zrezygnowałem z kariery w Kanadzie, wołałem być tutaj, bo wiedziałem, co się w Polsce dzieje. Tu popracowałem na uczelni i też zrezygnowałem. Większość moich kolegów jest dzisiaj profesorami, a podwładni – prezesami. Celowo przerzywałem różne nurty w swoim życiu. Środowisko biznesowe myśli, że istotą tego świata jest sektor finansowy, krwiobieg gospodarki itd. Aktor w teatrze – że istotą cywilizacji jest sztuka. Ludzie nie dostrzegają różnorodności. Ja zawsze mogę wsiąść w samolot i mieć inne życie. To relatywizuje stosunek do otoczenia. Człowiek się tak nie zapętla. Na początku robiłem to intuicyjnie, a później zacząłem sobie do tego układać filozofię.

Celem Kaczyńskiego nie jest pomoc słabszym i rodzinie - to kłamstwo.

To tylko instrument, za pomocą którego on utrzymuje poparcie

Jaka?

– Że trzeba mieć jak najwięcej wrażeń i emocji, mimo że nie wszystkie są dobre. Mam np. odmienny stosunek do śmierci niż większość ludzi. Nie widzę w niej katastrofy. Miałem doświadczenia w dzieciństwie – a to cudem mnie uratowali z zaccadzonego domu, a to inne rzeczy, non stop coś. Jak wiadomo z ekonomii, każde kolejne doświadczenie sprawia, że krańcowa użyteczność konsumpcji maleje.

Użyteczność konsumpcji?

– Kolejne przeżycie, wyjazd, przygoda nie budzą tylu wrażeń, ile pierwsze. I to na tym polega umieranie, a nie na tym, że przestaje bić serce i wyłącza się mózg. Umiera się wraz z tym, jak coraz mniej nas cieszy. Człowiek umiera po kawalku, aż umrze.

Ludzie chcą być przy umieraniu swojego bliskiego, trzymać go za rękę – a ja tylko z tym bym sobie nie poradził. Uciekam w technikalnia. Jestem znakomity do zarządzania kryzysowego. Jak się wszystko wali, pali, kryzys na rynkach finansowych, spadają aktywa, wszyscy sobie włosy rwą, to ja jestem zimny gad. Skoncentrowany. Dopiero potem odpuszczam. Jak jest koniec świata i trzeba zarządzać, to można mnie wynająć.

Dlatego do pana przyszląm.

– Mam nadzieję – nie od dawna, ale ona we mnie narasta – że będziemy pozytywnie zaskoczeni jesienią następnego roku. Przekroczymy Rubikon jako polskie społeczeństwo. Będzie opór.

Dlaczego PiS nie uda się z nas zrobić społeczeństwa na model rosyjski? Cofnę się do wieku XVI, kiedy Iwan Groźny wymordował kniaziów i bojarów i ustanowił pamięścików, obszarników. Oni mieli feudalizm państwowy, który po rewolucji lutowej przekształcił się w kapitalizm państwowy. Pamięścik słuchał się cara i płacił mu dziesięcinę, ale ze swojego nadziału czerpał, ile się dało. Ci ludzie zostali przez setki lat przyzwyczajeni do takiego stanu rzeczy. Pierwszy mer Sankt Petersburga Anatolij Sobczak był na marnej pensji, ale po pięciu latach jego majątek policzono na ponad 600 mln dol. Kradnie, ale miasto się rozwija, a że on się bogaci, bardzo dobrze.

Jak pani pogada z kobietą z Podlasia i z rosyjskiej wsi, to jednak mentalność jest inna. Dlatego wierzę, że niedługo będziemy tylko wspominać ten proces i wprowadzimy rozwiązania prawne, żeby tego typu władza nigdy w Polsce nie wróciła. Nasza mentalność nigdy nie była taka jak rosyjska. Nawalnego popierało tylko kilkanaście procent Rosjan, mimo że pokazywał tę najbrzydszą twarz władzy, korupcję. Kto by u nich wnikał w praworządność? A u nas korupcja jest najlepszym instrumentem do obnażania złodziejstwa władzy.

Korupcja PiS jest co chwila obnażana, lecz to na ludzi nie działa.

– Nie chcę pani słuchać, chcę pożyć sobie nadzieją. Ale może żyję w bańce. Ma pani rację – z tą różnicą, że my teraz właśnie jesteśmy w tym procesie, w którym Rosja tkwi setki lat. Putin ma 100 proc. poparcia na wsi, 70 w Moskwie. U nas PiS takiego poparcia nie ma. Trzeba ludziom tłumaczyć, żeby w końcu zauważyli tę malpę, a nie że już się nic nie da.

Dla mnie ważne jest teraz ujawnianie skutków rządzenia PiS. I jeśli ktoś będzie chciał moją wiedzę wykorzystać, będę pomagał naprawiać po PiS. Dla mnie wzorce działania publicznego to tacy ludzie, jak Wałęsa, Bujak, Frasyniuk, sam latałem z matrycami do samizdatów. Oni zrobili rewolucję, ryzykowali nie tylko swoje życie, ale też życie swoich rodzin, i później, poza Lechem Wałęsą, chcieli mieć prywatne życie. Ja też wolę się angażować, kiedy widzę ewidentne zło, które trzeba usunąć. A później: do widzenia.

Jak to?

– Później to ja chcę mieć spokój, żeby się do mnie nikt nie wtrącał. Tusk mówił, że jak ktoś ma wizję, to niech idzie do lekarza, a on ma dać ciepłą wodę w kranie. Uważam, że właśnie po to jest rząd, jak w Szwajcarii. Nie rozumiem, dlaczego jakiś wódz ma dawać innym ludziom swoją wizję. Rząd ma dawać podstawowe prawa i wolności, podstawy materialne do życia, a ja będę sobie z tego korzystał. Nie chcę nawet znać nazwiska tego, który mi to zapewnia. Życie przynosi tyle problemów i jest tak ciekawe, że sam będę miał swoje wizje i dylematy, a państwo niech mi w tym nie przeszkadza, niech mi da ciepłą wodę w kranie i ciepłe kaloryfery, żebym mógł sobie przy tym kaloryferze swoje wizje i dylematy roztrząsać. ●

Współczesny marketing polityczny opiera się na targetowaniu, czyli szczegółowym badaniu preferencji i przekazów, które mają szansę na powodzenie, zbieraniu informacji o odbiorcach propagandy i drogach dotarcia do nich oraz lepieniu postaci, które mają szansę na sukces. PiS korzysta z tych instrumentów od lat, sięgając po pomoc wyspecjalizowanych agencji. Przykładem niech będzie historia o tym, jak Andrzej Duda został kandydatem na prezydenta.

Firma marketingowa otrzymała dossier z informacjami o kilku politykach PiS i materiały filmowe z ich występami publicznymi. Do tego informacje i fotografie żon oraz dzieci. Chodziło o wyselekcjonowanie człowieka, który wykręci przyzwoity wynik, bo nikt w PiS nie zakładał, że wygra. Po szczegółowej analizie agencja wskazała na Dudę. Taka analiza jest zazwyczaj wspomaganą przez badania ilościowe, które dotyczą całej populacji, i badania jakościowe czy tzw. swobodne, które próbują zidentyfikować preferencje wyborców i opisać pewne zjawiska oraz motywy, jakimi kierują się konkretne grupy społeczne. To tzw. fokusy.

Kandydaturę Dudy także w PiS przyjęto ze zdumieniem, bo był mało znany. Ale wybór speców od PR okazał się strzałem w dziesiątkę. Po wyborach Kaczyński mówił, że od razu myślał o Dudzie, zanim PR-owcy pokazali wyniki badań.

Przed odpaleniem kampanii prezydenckiej w 2015 r. Kaczyński objeżdżał kraj – tak jak dziś – ale notowania partii nie rosły. Dopiero ofensywa Dudy sprawiła, że PiS poczuł wiatr w żaglach. Dlatego prezes nie lekceważy wiedzy PR-owców. Pytanie, czy postawił na właściwe osoby. Machina marketingowa co chwila się zacina.

Za marketing polityczny oraz za przygotowania do wyborów odpowiada duet Anna Plakwicz oraz Piotr Matczuk – dowiaduje się „Wyborcza”. Agata Kondzińska po słynnym wystąpieniu Kaczyńskiego o Polkach „dających w szyję” pisała: „Prezes jest nieprzygotowany do wyjazdów. Zamiast przemyślanych tez, konkretnego przekazu jest gawęda przy ognisku – z rządu idą oskarżenia, że Nowogrodzka marnuje potencjał. Sztab się broni: jeszcze nikt nie zapanował nad prezesem. Główne role w sztabie grają Anna Plakwicz i Piotr Matczuk, skonfliktowani ze środowiskiem premiera”. Koordynatorem pracy sztabu jest sekretarz generalny Krzysztof Sobolewski, znany szerzej dzięki żonie Sylwii, kolekcjonerce posad w państwowych spółkach.

W PiS narasta krytyka sztabu. Porównuje się ich dokonania do czasów, w których z Kaczyńskim jeździli Marcin Mastalerek, Adam Bielan, Adam Hofman. – Były ustalone tezy, materiały, osie wystąpień, argumenty. Teraz nie ma przy prezie osoby, która kontrolowała by jego wystąpienia – mówi polityk obozu władzy.

„Wyborcza” poprosiła Plakwicz i Matczuka o rozmowę, przekazując jednocześnie opinie, jakie udało nam się zebrać w PiS. Piotr Matczuk odpisał: „Odpowiem jedynie w imieniu nas obojga: tezy zawarte w Pani pytaniach są nieprawdziwe. To suflowane różnym mediom od dłuższego czasu kłamstwa osób nam skrajnie nieprzychylnych. Od 2020 roku nasza aktywność zawodowa jest skierowana na inne obszary. Przed 2020 rokiem uczestniczyliśmy i odpowiadaliśmy za wiele kampanii PiS z niemałymi sukcesami”. Na uwagę, że przecież media od pół roku piszą, że oboje doradzają prezesowi PiS, i nie było żadnego sprostowania, Matczuk nie odpowiedział. Nie odpowiedział też na pytanie, po co regularnie bywają w siedzibie partii. Rzecznik PiS Rafał Bochenek odpisał, że „nic o tym nie wie”, by pomagali prezesowi.

Duet spin doktorów nie chce formalnie występować w roli członków sztabu, bo ma posady w spółkach skarbu państwa – Matczuk w PKN Orlen, Plakwicz w PKO BP. To typowa praktyka w PiS: ludzie pracujący na rzecz PR partii lub jakiejś jej frakcji zarabiają w spółkach skarbu państwa, dzięki temu Nowogrodzka oszczędza pieniądze.

Poza tym od dawna taktyka dwojga spin doktorów opierała się na prostej zasadzie: za nic nie brać odpowiedzialności. Kaczyńskiemu jednak duet Plakwicz – Matczuk odpowiada, bo udowodnili, że potrafią zagospodarować emocje prezesa. Kaczyński zawsze cenil tych współpracowników, którzy idą na ostro, nie mają zahamowań, kłamią bez zażenowania i uderzają toporną propagandą.

Duet Plakwicz – Matczuk odpowiadał za kampanię „Sprawiedliwe sądy”, która miała uzasadniać zmiany w sądownictwie. Na tej kampanii zarobiła ich spółka Solvere.

Sledztwo Wielowiejskiej

CO PIS SZYKUJE NA WYBORY

Nowogrodzka spodziewa się wiele po kampanii pod hasłem „opozycja jest prorosyjska”

Dominika Wielowiejska



• Wrzesień, Jarosław Kaczyński, poseł Krzysztof Sobolewski, wicemarszałek Ryszard Terlecki i poseł Waldemar Andzel w Sejmie

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Maciej Świrski, członek zarządu Polskiej Fundacji Narodowej, zapewniał, że spółka Plakwicz i Matczuk dostanie 240 tys. zł z blisko 10 mln przeznaczonych na kampanię. Okazało się, że Solvere dostało pięć razy więcej: według Onetu prawie 1,2 mln zł.

Kampania składała się z kłamstw i manipulacji. Na stronie internetowej eksponowano przypadek sędziego, który ukradł kielbasę oraz jechał samochodem pod wpływem alkoholu. Wirtualna Polska pisała, że w chwili publikacji tych informacji sędzia nie żył od dwóch lat, a nie orzekł od 2006 r.

Kolejną wpadką dotyczyła sądu w Świdnicy, który miał wypuścić na wolność pedofila, a ten skrzywdził dziecko. Prezes Sądu Okręgowego w Świdnicy poinformował, że żaden z sądów świdnickich nie wydał tego rodzaju decyzji. Potem w kampanii nagłośniono sprawę sędzi, która ukradła spodnie.

– Ona sądziła w bardzo ciężkim wydziale najtrudniejsze sprawy karne, przechodziła załamanie nerwowe. Z tą chorobą boryka się do dzisiaj, a pokazuje się ją jako złodziejkę spodni. Nie patrząc na to, że od 12 lat nie pracuje czynnie. Obrzydliwe – prostował sędzia Waldemar Żurek. Kolejny pomysł tandemu: wyprodukowany w 2018 r. spot przeciwko przyjmowaniu uchodźców, który zbrydził nawet część polityków PiS.

Była to toporna, ksenofobiczna propaganda, grająca na stereotypach etnicznych i religijnych, a więc dyskryminująca, co jest w Polsce nielegalne. Sprawę do prokuratury wysłał rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar.

1 MLN ZŁ
• kosztowała konwencja wyborcza z lutego 2020, nazywana „Andrzej Duda Superstar”, prezentująca kandydata PiS jako Jamesa Bonda

Wirtualna Polska podała, że pomysłodawcami spotu byli Plakwicz i Matczuk. Oboje zarządzali wtedy komunikacją w kancelarii premiera. Anna Plakwicz zaprzeczyła, że była autorką spotu. Jednak według Onetu Plakwicz, Matczuk i kolejny spec od marketingu politycznego Michał Lorenc zażądali od podwładnych, by jako winnych wskazywali spółkę Level z Krakowa, która według wpisu w KRS zajmuje się wydawaniem książek. Przestraszyli się, gdy do gry weszła prokuratura. Ale kontrolowana przez Ziobrę instytucja najpierw nie chciała podjąć śledztwa, a gdy sąd nie pozwolił na unik, od razu umorzyła sprawę.

„Poznaliśmy dokumenty z Solvere. W jednym z nich Anna Plakwicz nie kryła dumy z pomysłu, na który wpadła ze współpracownikami. Spot określiła mianem »atomowego uderzenia«” – napisał Onet. Szef Porozumienia Jarosław Gowin – wówczas członek rządu PiS – przyznał w TVN 24, że po jego obejrzeniu poczuł wstyd. Nawet narodowiec Krzysztof Bosak ze skrajnie prawicowej Konfederacji napisał na Twitterze: „Ten spot jest tak odrażający, cyniczny, podły i głupi propagandą, że aż trudno uwierzyć, że naprawdę go wypuścili”.

Wątpliwości miał sam Morawiecki, obawiał się odpowiedzialności karnej autorów spotu – wynika z maili byłego szefa kancelarii premiera Michała Dworczyka. Premierowi miał odpowiedzieć ówczesny doradca, nieżyjący prof. Waldemar Paruch. Tłumaczył: „Musimy tematem uchodźców przykryć sprawę polexitu, a innego tak mocnego nie mamy”. Po emisji spotu Matczuk i Plakwicz odeszli z kancelarii premiera.

Tandem Plakwicz – Matczuk stał za konwencją PiS w 2018 r., gdy szef rządu przedstawił „piątkę Morawieckiego”. Rok później przygotował spektakularną konwencję, gdy po raz pierwszy pojawiła się słynna „piątka Kaczyńskiego” (w tym 500+ na pierwsze dziecko i 13. emerytura). Hasło kampanii do Parlamentu Europejskiego – „Polska sercem Europy” – to także zasługa m.in. Plakwicz i Matczuka. Oni współtworzyli scenariusz wystąpień najważniejszych polityków i tworzyli oprawę konwencji. Ale dziś rząd nie ma pieniędzy na prezenty socjalne, a sytuacja budżetu w przyszłym roku może być fatalna, więc proste triki nie są już dostępne.

W 2020 r. oboje brali udział w kampanii walczącego o reelekcję Dudy. Przygotowali konwencję z 15 lutego, która kosztowała 1 mln zł i miała szokować rozmachem. Ściągnięto na nią prawie 5 tys. osób. To miał być show „Andrzej Duda Superstar”. Kandydat PiS na tle wielkiej, polskiej flagi wyglądał niczym James Bond. – Zawsze się z nimi świetnie współpracowało – słyszymy w Pałacu Prezydenckim.

Kampania Dudy postawiła na ataki na środowiska LGBT+. W samej Zjednoczonej Prawicy krytycy podnosili, że wystąpienia są nadmiernie homofobiczne i to zaktywizuje młodzież przeciwko Dudzie. W sztabie zapanował strach. – Kampania wyborcza to stres i emocje. Z duetem Plakwicz – Matczuk dwukrotnie było tak, że opuścili sztab w trudnym momencie, gdy pojawił się zakręt sondażowy. Raz w kampanii do europarlamentu, drugi raz w kampanii prezydenckiej – mówi jeden z moich rozmówców z PiS.

„Wiosna 2020 roku. Trzaskowski i Duda idą łeb w łeb. Mówi człowiek, który pracował przy kampanii Dudy: »Na Nowogrodzkiej padło hasło: wszystkie ręce na pokład!«” – pisali reporterzy Jacek Harlukowicz, Sebastian Klauziński i Konrad Szczygiel. Pojawia się na Nowogrodzkiej agencja marketingowa z Wrocławia – hyperCREW. Rusza projekt „Jeden procent dla Andrzeja”. Chodziło o to, żeby tyle głosów wyrwać dla Dudy w internecie. HyperCREW w trzy tygodnie zarabia na jego kampanii 1,5 mln zł za „stworzenie i przeprowadzenie targetowanej kampanii marketingowej w kanałach digitalowych”.

W branżowym portalu znajdujemy analizę opublikowaną kilka dni przed pierwszą turą. Jej autorem jest Paweł Bobyk, szef hyperCREW. „Sztab urzędującego prezydenta opiera [kampanię] na bardzo precyzyjnych komunikatach targetowanych do grup docelowych, zdefiniowanych przez otoczenie PAD jako kluczowe w kontekście walki o reelekcję. Tych ostatnich współpracownicy Andrzeja Dudy wyodrębnili kilkanaście”. Bobyk zdradza, że potencjalnych wyborców targetuje się także pod względem geograficznym. Sztab wykorzystuje to, że Duda w pierwszej kadencji odwiedził wszystkie 380 powiatów. I tak np. mieszkańcom Kartuz wyświeśla się w mediach społecznościowych reklama, na której dziękuje za gościnność Kartuzom, mieszkańcom Karpacza – Karpaczowi itd.

Czy tak samo będzie wykorzystany trwający od miesiący objazd Kaczyńskiego po kraju? Teoretycznie takie instrumenty powinny być używane w obecnej ofensywie PiS. Partie wynajmują agencje, aby przeczyszczały sieć i identyfikowały przekazy, które cieszą się największym powodzeniem w wybranych grupach wyborców, wskazywały opinie, które mają jak najszerzy krąg oddziaływania. Następnie spin doktorzy przygotowują przekaz, który lider prezentuje na spotkaniach. Niewykluczone, że właśnie wyniki badań skłoniły Kaczyńskiego do ataku na lekarzy, bo w badaniach wyszło, że Polacy są krytyczni wobec tej grupy zawodowej.

Jednak występy prezesa są krytykowane w partii. Nikt nie odważy się atakować prezesa, zastrzeżenia są formułowane wobec duetu Plakwicz – Matczuk. Najpierw krytyka dotyczyła objazdu kraju przed wakacjami. Tournée zostało przerwane. Formalnie z powodu wakacji. Nieoficjalnie można usłyszeć, że prezes zaliczał wiele wpadek. Mylił miasta oraz nazwiska: Brejzę z Mejzą, Inowrocław z Włocławkiem. Sztabowcy się zorientowali, że obrazki są fatalne. Limuzyna prezesa otoczona kordonem policji, barierki, a po bokach wściekły, pomstujący na władzę tłum. Trudno nazwać to triumfalnym objazdem po kraju. Nastąpiła więc przerwa, by Nowogrodzka zebrała siły i przemyślała strategię.

Po wakacjach prezes kontynuuje podróże. Znów postawiono na taktykę z wyborów do PE. Współpracownik prezesa, europoseł PiS Tomasz Poręba chwalił się, że wtedy, wbrew radom, to Kaczyński był twarzą kampanii, nikt go nie chował za plecami bardziej lubianych polityków typu Duda i Szydło jak w kampanii 2015 r. – i proszę, wynik PiS był wtedy rekordowy!

PRAWIE

12

MLN ZŁ

• dostało Solvere, firma spin doktorów PiS, za kampanię „Sprawiedliwe sądy”

15

MLN

• zarobiła w trzy tygodnie firma za „stworzenie i przeprowadzenie targetowanej kampanii marketingowej w kanałach digitalowych”, czyli za ogarnięcie kampanii Dudy w internecie, by nadrobić straty wśród młodych wyborców

14

MLN ZŁ

• miał zarobić anglojęzyczny, mający przeszło 400 tys. obserwujących, serwis Visegrád, który promuje radykalną prorosyjską prawicę spod znaku Trumpa. Prowadzi go człowiek związany z TVP

Kaczyński więc jeździ. Jego celem jest mobilizacja aparatu, sprawdzenie, jak radzą sobie nowi pełnomocnicy po reformie struktur. Reforma polegała na stworzeniu funkcji 94 pełnomocników okręgowych zamiast dotychczasowych 41. Zamyśl prezesa był taki, aby odsunąć leniwe partyjne koty i oddać stery nowym działaczom, którzy będą chcieli się wykazać.

Ale dzień po wizycie na Śląsku było oczywiste, że zamiast umacniania struktur doszło do rozłamu. Szef katowickiego PiS Jakub Chelstowski oraz trzech radnych przeszli na stronę opozycji i partia rządząca straciła władzę w sejmiku śląskim. Ośmieszono prezesa, bo Kaczyński, przyjeżdżając na Śląsk, nie miał pojęcia, co się szykuje. To stawia pod znakiem zapytania sprawność Sobolewskiego jako sekretarza generalnego.

Problem z objazdem prezesa polega na tym, że większość wystąpień jest bliźniaczo podobna. Jest o złych Niemcach, którzy nie chcą nam wypłacić reperatury i chcą nas „wziąć pod but”, są beznadziejne, szczujące żarciki o osobach transpłciowych, które mogą się podobać twardemu elektoratowi, ale u innych wywołują zażenowanie.

– Nie było niczego nowego. Czy ktokolwiek po ośmiu latach rządów PiS złapie się na to? Twardy elektorat tak, ale jak pozyskać „normalsów”, którzy dają wygraną? – wskazuje rozmówca z PiS w Gazeta.pl. Prezes jednak myśli, że skoro Duda szczuł na środowiska LGBT, to znaczy, że to działa, a taktyka Plakwicz – Matczuk ma sens. Jednak Duda nie opowiadał zenujących żartów o tym, że Jadzia stanie się Piotrusiem albo na odwrót.

Sytuacji duetu PR-owców nie poprawił sondaż w „Rzeczpospolitej”. Prawie co drugi Polak uważa, że Kaczyński, spotykając się z wyborcami, szkodzi własnej partii – wynika z badania SW Research. Przeciwnego zdania jest tylko 15,5 proc. ankietowanych.

Obrońcy strategii Nowogrodzkiej podnoszą jednak, że prezes teraz utwardza wierny elektorat, ponieważ w tym momencie musi utrzymać partię w ryzach i przygotować ją na zwrot o 180 stopni w sprawie Unii Europejskiej. Oraz spacyfikować Ziobrę, który chce przejąć część twardego elektoratu, radykalizując przekaz i wykorzystując to, że rząd Morawieckiego zamierza w wielu sprawach ustąpić Komisji Europejskiej. Kaczyński nie chce na to pozwolić, więc buduje przekaz radykalny w innych obszarach: temu służy powrót „lex Czarnek”, powrót miesięcznik i ostra jazda na Niemcy.

Ale – jak zauważył publicysta „Rzeczpospolitej” Michał Szuldrzyński – sytuacja staje się lekko schizofreniczna: Kaczyński mówi wyborcom, że jak PiS straci władzę, to Polska straci suwerenność, a Ziobro twierdzi, że już tę suwerenność straciła z winy Morawieckiego. Zdezorientowany elektorat nie wie, komu wierzyć.

Krytyka wewnątrz partii – jeśli chodzi o strategię – dotyczy różnych aspektów. – Nasi wyborcy mogą się czuć pogubieni. Najpierw mówiliśmy im, że bez pieniędzy z Unii sobie poradzimy, bo pozyczymy na rynku poza Unią, a teraz im mówimy, że sobie nie poradzimy i ustąpimy Unii we wszystkim. Święty by tych wolt nie wytrzymał – mówi jeden z moich rozmówców z PiS.

Wątpliwości ają nawet najbliżsi współpracownicy. Wicemarszałek Sejmu i szef klubu parlamentarnego PiS Ryszard Terlecki w tygodniku „Sieci” mówił, że spotkania prezesa w terenie „są prezentowane w sposób zbyt statyczny, są zbyt podobne do siebie i mogą znużyć widzów”. W PiS odebrano to jako wyraźny przytyk do Plakwicz i Matczuka.

Plakwicz i Matczuk są oskarżani o to, że wykazują za mało inicjatywy, reagują na wydarzenia, zamiast je kreować. Czuli się niepewnie, bo zmarginalizowany był szef TVP Jacek Kurski walczył o powrót; mówiono o jego nominacji na szefa kampanii wyborczej, ostatecznie Kaczyński najpewniej postanowił nie przywracać go do polityki, bo Kurski właśnie dostał posadę dyrektora w Banku Światowym. W odwodzie jest też Bielan, z którego zdaniem prezes się liczy. W trakcie kampanii może więc dojść do roszad w sztabie. W PiS mówi się, że Bielan i Kurski krytycznie komentują działania duetu. Przy czym – według Radia ZET – Kurski obstaje, że skuteczną kampanię można prowadzić tylko wtedy, gdy wyrzuci się ze stanowiska Morawieckiego. A Kaczyński zapowiedział publicznie, że nie zamierza tego robić.

Krytyka dotyczy też korowodów z patriotami. Strona niemiecka zaoferowała nam zestawy Kantyrakietowe wraz z obsługą. Mariusz Błaszczak przyjął to z radością, po czym prezes PiS w PAP skrytykował pomysły Niemiec, a szef MON ogłosił, że jednak lepiej wysłać patrioty do Ukrainy. Z dwóch źró-

deł usłyszałam, że za zwrotem narracji stoją Plakwicz i Matczuk, bo uznali, że jeśli Polska weźmie pomoc od Niemców, prezesowi będzie trudno atakować naszego sąsiada – a taki ma plan na kampanię.

Wcześniej sztab wymyślił przecież, iż w związku z tym, że nie wiadomo jeszcze, czy dostaniemy pieśniadze z KPO, oraz w związku z tym, że Polacy są pro-unijni, PiS miał atakować tylko Niemcy, a Unię na razie zostawić w spokoju. A w sprawie patriotów spin doktorzy uważali, że są bardzo sprytni, bo przecież nie odrzucono oferty Niemiec, tylko poproszono, aby została złożona Ukrainie, a wyborcy nie zorientują się w niuansach takich, że Ukraina patriotów przejąć nie może, bo niemieccy żołnierze musieliby stacjonować na jej terytorium, co oznacza zaangażowanie NATO w konflikt.

PR-owcy doradzili Błaszczakowi zmianę zdania ku konsternacji Pałacu Prezydenckiego i sporej części PiS, szczególnie otoczenia Morawieckiego. Przy okazji zezłościł Dudę, że nikt tej wolt z nim nie skonsultował, choć jest zwierzchnikiem sił zbrojnych. Błaszczak wykonał polecenie Nowogrodzkiej, choć wiedział, że się ośmiesza, bo strona niemiecka wcześniej prowadziła nieformalne rozmowy z MON i MSZ i dopiero po pierwszej pozytywnej reakcji Warszawy ogłosiła ją publicznie.

W PiS można jednak usłyszeć, że duet Plakwicz – Matczuk jest bblisko Błaszczaka i szef MON słucha ich rad. Gdy na początku listopada Błaszczak ogłosił budowę zapory na granicy z obwodem kaliningradzkim, to za radą duetu. Wywołał wściekłość MSWiA, że nikt nie skonsultował wystąpienia z tym resortem, a przecież zaporą będzie budowana nie przez MON, ale przez Straż Graniczną. Dlatego duet Plakwicz – Matczuk jest oskarżany o kreowanie złych emocji wewnątrz obozu rządzącego, brak koordynacji i ustaleń na poziomie władz partii i rządu.

Ich krytycy wskazują na kolejny sondaż w „Rzeczpospolitej”, z którego wynika, że tylko ok. 12 proc. badanych popiera decyzję Błaszczaka. Szef MON nie przekonał nawet elektoratu PiS, bo jego połowa jest krytyczna wobec działań MON.

Jest jeszcze jeden fundamentalny problem z narracją antyniemiecką. Polska administracja jest w 100 proc. uzależniona od USA. Sprawa ukraińskiej rakiety, która spadła na Przewodów, pokazała, że w kwestii wojny w Ukrainie Warszawa nie robi nic bez zgody Amerykanów. A administracja Bidena poważnie niepokoi konflikt między Niemcami a Polską.

NATO i USA chcą dysponować sprawną maszyną szybkiego reagowania. W tej układance jedną z kluczowych spraw jest bezkolizyjna współpraca Niemiec i Polski, bo te dwa kraje to ważne ośrodki na logistycznej mapie NATO. Dopóki antyniemieckość wyrażała się prymitywnymi materiałami w „Wiadomościach” TVP albo oderwanymi od rzeczywistości opowieściami prezesa PiS, to

– z perspektywy Amerykanów – pół biedy. Gorzej, jeśli awantury mają wpływ na robocze kontakty. A tak stało się ze sprawą patriotów. Amerykanie – według naszych nieoficjalnych informacji – są tak poirytowani, że wysyłali swoich konkurentów Republikanów do dyscyplinowania szefa MON. Błaszczak został postawiony do pionu i we wtorek wieczorem ogłosił na Twitterze, że niemieckie patrioty znajdują się jednak na terytorium Polski.

– Jeśli tandem Plakwicz – Matczuk ma pracować na rzecz obozu Zjednoczonej Prawicy, to przy określeniu kierunków działania nie powinien kierować się swoimi sympatiami czy antypatiami wobec poszczególnych polityków, tylko patrzeć na interes całego obozu. A duet orientuje się tylko na Błaszczaka, nie konsultuje koncepcji z innymi politykami – słyszę w PiS.

Spin doktorzy opowiadają Kaczyńskiemu i Błaszczakowi, że trzeba dużo mówić o potrzebie zbrojeń i na tym koncentrować uwagę opinii publicznej. Nie bez powodu na powitanie koreańskich czołgów do Gdyni wybrała się we wtorek silna delegacja w składzie Duda oraz Błaszczak, a telewizje transmitowały ich przemówienia. W normalnych warunkach nie wita się z taką pompą sprzętu wojskowego. Chodzi o kreowanie zagrożenia, skupianie społeczeństwa wokół rządzących w obliczu wojny, pokazanie, jak władza dba o bezpieczeństwo, a zła opozycja to torpeduje. Stąd wrzutka ze zmianą konstytucji, która zakłada, że wydatki na armię będą wyłączone z limitu długu publicznego wyznaczonego przez ustawę zasadniczą.

PiS chce formułować przekaz: opozycja nie chce poprzeć zmiany konstytucji? Ano tak, nie chce, aby Polska się zbroiła, bo to nie są patrioci. I ten przekaz prezes ma potem ponieść w Polskę. Sprytny plan najpierw popsuł Niemcy, oferując patrioty, bo trudno będzie wytłumaczyć, dlaczego nie chcieliśmy wzmocnić naszego bezpieczeństwa. A na partyjnym poletku zrobiła to Anna Maria Siarkowska z Solidarnej Polski,

która złożyła wniosek o odroczenie posiedzenia komisji w sprawie zmiany konstytucji, co wywołało wściekłość na Nowogrodzkiej. Bo przekaz, że zła opozycja nie chce, by Polska się zbroiła, był potrzebny od zaraz, aby przykryć sprawę niemieckich patriotów.

Nowogrodzka spodziewa się wiele po kampanii pod hasłem „opozycja jest prorosyjska”.

Elementem tej ofensywy jest komisja weryfikacyjna, która będzie badać rzekome wpływy rosyjskie na politykę rządu PO-PSL. Ludzie PiS już rozpoczęli kwerendę w ministerstwach, jakie materiały można wykorzystać. Owoce swojej pracy pokazali w najnowszym spocie na temat rządu Tuska, który rzekomo chciał sprzedać srebra narodowe Rosjanom. Posługują się wyrwanymi z kontekstu zdaniami z wystąpień Tuska i z dokumentów. Przykład: w spocie Tusk mówi, że „nie ma żadnej ideologicznej przesłanki, by mówić kategorycznie »nie« inwestorom z jakiegokolwiek kraju, także z Rosji”. PiS wyciął jednak drugą część wypowiedzi: „ze względu na pozycję surowcową Rosji i na nasze częściowe uzależnienie od strony rosyjskiej, wskazana jest pewna ostrożność i powściągliwość”. PiS twierdzi, że Lotos nie został sprzedany Rosjanom tylko dzięki opozycji, co jest bzdurą: to decyzja rządu PO-PSL.

W strategii obozu rządzącego kluczowy jest nieustający atak na Tuska, który – zdaniem sztabu – działa mobilizująco na elektorat PiS i elektorat wahający się. Nowogrodzka liczy, że polaryzacja zmusi np. część wyborców Konfederacji do przerwania głosów na PiS. A po stronie opozycji efekt jednoczenia się wokół Tuska będzie – zdaniem PiS – o wiele mniejszy niż efekt jednoczenia się wokół Kaczyńskiego. I w tej sprawie panuje w Zjednoczonej Prawicy konsensus.

Komisja weryfikacyjna ma działać długie miesiące i dawać wrzutki do mediów co jakiś czas, przyciągając uwagę do opowieści, jak to rząd Tuska robił dobrze Rosjanom.

Ostatnio jednak na sztab padł błąd strach, że pewna sprawa może wprowadzić dezorientację wśród wyborców, kto tu jest prorosyjski. Chodzi o serwis Visegrád 24. Na Twitterze obserwuje go ponad 300 tys. użytkowników, na TikToku – 140 tys. Przez dłuższy czas nie było wiadomo, kto stoi za tym anglojęzycznym kontem podającym ekskluzywne informacje – czasem zwykłe fałszywki – bez wskazania źródła.

Serwis ma promować Grupę Wyszehradzką, jednak ewidentnie wysyła przekazy pisowskie, choć nie tylko. Anna Mierzyńska, ceniona analityczka, autorka książki „Efekt niszczący. Jak dezinformacja wpływa na nasze życie”, w OKO.press zauważyła, że jego twórcy promują Trumpa i Orbána, którzy są przeciwko Ukrainie. Duże poruszenie wywołał fakt, że Visegrád 24 błyskawicznie umieścił słynny filmik z imprezy premier Finlandii Sanny Marin. Filmik miał gigantyczną liczbę odsłon. Podejrzewano, że Visegrád 24 wrzuca film „kompromitujący” Marin, bo realizuje interesy rosyjskich służb. To przecież Rosja chce skompromitować premierkę, która zdecydowała o wejściu Finlandii do NATO.

Mierzyńska wskazała, kto może stać za tym serwisem. To Stefan Tompson, który od dawna kręci się wokół PiS. Oboz władzy był dla niego łaskawy: Tompson ma program w TVP i dostaje zlecenia od Polskiej Fundacji Narodowej. Promowali go Patryk Jaki oraz Dominik Tarczyński, a także służby MSZ.

Kilka osób z MSZ i kilku ministrów – minister ds. UE Szymon Szynkowski vel Sęk i szef Służby Zagranicznej Arkady Rzegocki – dość często podaje dalej wpisy tego serwisu.

Tompson przyznał, że to jego serwis, gdy zdekonspirowało go OKO.press. Tłumaczył „Rzeczpospolitej”, że sprawa była głośna w Finlandii, a on wziął filmik nie od służb rosyjskich, ale ze źródeł fińskich. Po co? Bo to ważna kwestia, „czy premier, która wprowadza państwo do NATO, powinna imprezować w takich warunkach”.

To typowa praktyka w PiS: ludzie pracujący na rzecz PR partii lub jakiejś jej frakcji zarabiają w spółkach skarbu państwa, dzięki temu Nowogrodzka oszczędza pieniądze

Dlaczego prowadził serwis anonimowo? „Nie jestem dziennikarzem. Prowadzę agencję, która się zajmuje marketingiem, reklamą i PR. Nie wypadało, żeby PR-owiec stał za medium” – mówił. Następnie Tompson chwali się, że Visegrád 24 to najbardziej wpływowe anglojęzyczne konto z Polski

Zaprzecza, że bierze pieniądze od rządu czy partii. Tymczasem użytkownik Twittera Dariusz Goliński znalazł w sieci zarządzenie premiera, który za pośrednictwem mało znanej fundacji Action Life 20 zdecydował o przekazaniu serwisowi z rezerwy budżetowej pieniędzy na „realizację zadania publicznego” – aż 1,4 mln zł. Niewykluczone, że w taki właśnie sposób – a więc za pośrednictwem innych fundacji – środki rządowe płyną do serwisu Visegrád 24.

Bianka Mikołajewska z WP.pl usiłowała dowiedzieć się od rządu i fundacji, na co poszły pieniądze. Otrzymała odpowiedź, że rząd w ostatnich dniach wycofał się z dotacji. Niewykluczone, że PiS przestraszył się, że będzie wiązany z prorosyjską propagandąpropaguje i treściami zgodnymi z interesami Kremla. Może dlatego Bochenek zapytany przez „Wyborczą” o współpracę z Tompsonem milczy, na podobne pytania nie odpowiada kancelaria premiera. Mierzyńska informowała bowiem, że Visegrád 24 na Facebooku udostępniał materiały z rosyjskiego Sputnika oraz nagranie ze strony białoruskiej straży granicznej, chociaż materiał z czasu kryzysu gra-

nicznego był oczywistą propagandą Łukaszenki. Teraz w serwisie jest dużo informacji z Ukrainy, tak jakby administratorzy chcieli zatrzeć pierwsze fatalne wrażenie.

A dlaczego Jaki i Tarczyński są tak promowani w tym serwisie? Bo radykalne wypowiedzi robią największe zasięgi i zdaniem Tompsona tu jest klucz do sukcesu politycznego. Chociaż ostatnio konto twitterowe intensywnie promuje także Bielana oraz jego Partię Republikańską, która współtworzy Zjednoczoną Prawicę.

Przypadek serwisu Visegrád 24 pokazuje, że PiS będzie się starał oddziaływać na opinię publiczną za pomocą kont, serwisów, które pozornie nie są z nim związane, ale tak naprawdę są finansowane pośrednio ze środków budżetowych i realizują cele wskazane przez rządzących.

Zapytaliśmy Tompsona, czy pomagał w kampanii brexitowej i doradzał ludziom Orbána. Nie odpowiedział. Z naszych informacji wynika, że teraz – w opozycji do duetu Plakwicz i Matczuk – sufluje Nowogrodzkiej za pośrednictwem Tarczyńskiego, że jeżeli Polska nie dostanie pieniędzy z UE, to PiS przegra wybory. Podpowiada, że telewizją powinien znów rządzić Kurski. Proponuje jak najostrzejszy kurs, zgodnie z zasadą, że jeśli obrzucisz przeciwnika totalnym błotem, to przeciwnik w tym trudniejszej znajdzie się sytuacji, bo nie będzie mógł odpowiedzieć tym samym. Liberalny i centrowy elektorat źle znosi brutalny przekaz. Tompson miał też doradzać, że trzeba znaleźć innego wroga niż Niemcy, bo badania pokazują, że PiS przegrał w sprawie tarczy antyrakietowej proponowanej przez Berlin i stracił na całej operacji.

Mimo napięć i kłótni są w obozie rządzącym politycy, którzy patrzą z nadzieją w przyszłość. Zakładają, że jeśli rząd ustąpi Komisji Europejskiej, pieniądze z KPO popłyną. W PiS mówi się, że Bruksela chce jednak realizować przelew. Wiosną zniknie strach przed zimnem i cenami energii, inflacja opadnie.

Wcześniej politycy suflowali mediom nieoficjalny przekaz:

„na tym węglu polegniemy”. Była to gra na obniżenie oczekiwań społecznych. Ostatecznie udało się w dystrybucję węgla zaangażować samorządy i powoli paliwo dociera do gospodarstw. Wtedy PiS powie wiosną: a widzicie? Było ciężko, ale jednak daliśmy radę.

Kalkulacja też jest taka: wojna zostanie w przyszłym roku rozstrzygnięta, a Morawiecki, Błaszczak i Duda razem z prezydentem Zelenskim na trybunie honorowej będą odbierać saluty na defiladzie, świętując zwycięstwo. Rząd PiS będzie przypominał, jak wiele sprzętu Polska wysłała Ukraińcom. I wtedy na fali entuzjazmu część wyborców powróci do tej partii.

Problem polega na tym, że w sondażach oboz rządzący stracił około 10 pkt proc., a trend jest dla niego niekorzystny. Zjednoczoną Prawicą wstrząsają awantury z Ziobrą i nie ma jasnej strategii, na jakich wyborców postawić. Tymczasem ludzie boleśnie odczuwają skutki drożyzny, a gospodarka zwalnia. I z zażenowaniem przyglądają się przepychankom w zajmującej się samą sobą Zjednoczonej Prawicy.

Odrobinie takich strat po ośmiu latach rządzenia jest bardzo trudne. ●

Jak działa rosyjska propaganda? Jak stworzyć teorię spiskową i zmienić w zaraźliwy wirus? Jak szczuć społeczeństwo przeciwko osobom LGBT? Książka **Anny Mierzyńskiej** to precyzyjna analiza internetowych manipulacji, które służą wywoływaniu i podsycaniu chaosu.

„Efekt niszczący. Jak dezinformacja wpływa na nasze życie” już na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl.

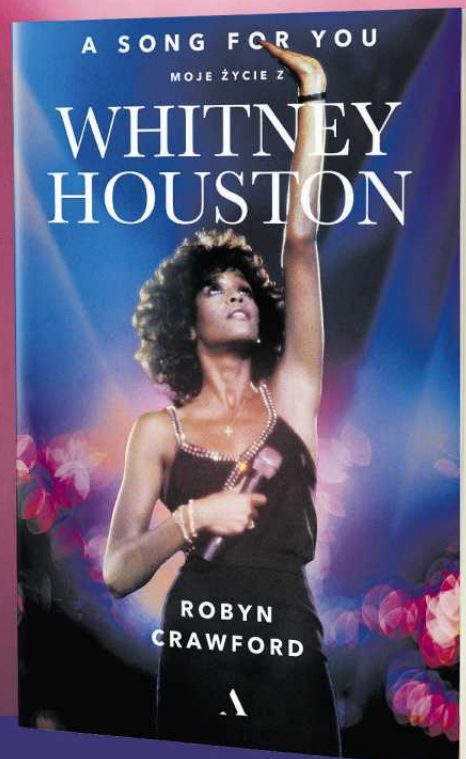




(C) MARC HOM

PORUSZAJĄCA
HISTORIA SAMOTNOŚCI
NA SZCZYCIE!

Whitney Houston i Robyn Crawford poznały się jako nastolatki i spędziły razem dwadzieścia dwa lata, podczas których Robyn towarzyszyła Whitney w drodze na szczyt. Ich relacja zaczęła się od fascynacji i przyjaźni, ale szybko przerodziła się w intymny związek. Ta historia to opowieść o lojalności i zaufaniu – o dwóch dziewczynach, które zawarły pakt, by nawzajem się chronić i wspierać. Ale to również opowieść o manipulacji, kontroli, głodzie władzy, kwestiach rasowych, uzależnieniu i presji, jaką przemysł rozrywkowy wywiera na kobiety.



TŁUM. KRZYSZTOF KUREK

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



„Othello” kontra „1989”

Czyli o zerowym znaczeniu polskiego teatru

Stanisław Skarżyński, Londyn



W poprzedni weekend poszliśmy do National Theatre na pierwszą od 2013 r. inscenizację „Othella”.

Mógłbym się tu rozpisać, że zespół kreatywny z Londynu tak porządnie wczytał się w czterystuletnią z okładem tragedię Szekspira, że nie naruszając tekstu i jego struktury wyczarował na scenie studium politycznego populizmu i jego zakorzenienia w toksycznej, kruchej męskości patriarchy. Efekt urywa głowę – gdy Emilia (Tanya Franks) w końcu wybucha przeciwko społeczeństwu, Bogu, a przede wszystkim mężowi i oprawcy Jago (Paul Hilton): „Ja, milczeć? O nigdy! O nigdy! Jak wiatr północny wolna mówić będę; Niechaj powstaną przeciw mnie niebiosa, Ziemia i piekło, i tak mówić będę!”*, słysząc w tym i #MeToo ofiar na całym świecie, i #wypierdalać Polek, skierowane do Trybunału Julii Przyłębskiej i partii rządzącej, które odebrały im jeden z ostatnich skrawków godności. Pięć na pięć gwiazdek. No ale po co recenzować w polskiej gazecie brytyjski teatr?

Ponieważ w Polsce prace dramaturgów i dramaturżek rżnie się jak, nie przymierzając, konstytucję przy Nowogrodzkiej, trochę mnie kusi, żeby wystąpić o zwrot wszystkich pieniędzy, które wydałem w Polsce na bilety do teatru, oraz dodatkowo o odszkodowanie za zmarnowany czas i miejsce w głowie, by uzyskane środki móc wydać tutaj na produkcje świeższe i wyższej jakości. Ale trudno, moja strata. Pewnym pocieszeniem jest to, że polski teatr pozostaje na świecie nieszkodliwą ciekawostką.

Gorzej by było, gdyby zamiast zajmować się reżyserią piłą spaliniową, postanowiliby ci wizjonerzy zostać równie natchnionymi kuratorami wystaw. Mielibyśmy skandal na cały świat. Zaczęliby na sprowadzonych z zagranicy dziełach domalowywać, co im się uwidziało, albo wycinać to, co ich zdaniem zbędne; tak mają przecież w zwyczaj traktować sztuki teatralne.

Szkoda jednak czasu na te zgryźliwości – albo dlatego, że o gustach się nie dyskutuje, albo dlatego, że nie kopie się leżącego, albo dlatego wreszcie, że jakie państwo, taki teatr; i szkoda sobie język strzepić.

Jedna sprawa nie daje mi jednak spokoju – bo założmy, że w którymś polskim teatrze powstanie coś świetnego, co by mogło zmienić bieg rzeczy. Co wtedy?

Tak się złożyło, że znaleźliśmy się na widowni w Londynie akurat tego dnia, kiedy w krakowskim Teatrze im. Słowackiego premierę miała sztuka „1989”. Zgromadziła się tam polska śmietanka towarzystwa demokratycznego, a prasa skrzętnie odnotowała, iż obecny był sam Donald Tusk.

Wedle informacji prasowych „1989” jest inspirowane „Hamiltonem” Lin-Manuela Mirandy – amerykańskim musicaliem, na punkcie którego mam łagodnego hopla. Ponieważ mam być kilka razy w Polsce, pomyślałem sobie, że raz kozie śmierć, wezmę miejsce blisko drzwi i najwyżej ucieknę – i zacząłem szukać biletu.

Tu czekała na mnie pewna niespodzianka. Teatr im. Słowackiego ma repertuar rozpisany do lutego włącznie – dalej programu po prostu nie ma, tak jakby przewidywana długość życia polskiego widza, aktora lub dyrektora teatru nie przekraczała kwartału.

Co jednak ciekawsze, od grudnia do lutego spektakl jest w programie dziesięć razy (wliczając premierę 2 grudnia), a pięć razy wystawiony zostanie jeszcze we współprodukującym przedstawienie Gdańskim Teatrze Szekspirowskim. Biorąc pod uwagę to, że widownia w Krakowie ma 540 miejsc, a ta w Gdańsku 600, nietrudno policzyć, że „1989” ma szansę zobaczyć dokładnie 8400 osób.

To nie jest wyjątek, to jest reguła – polskie teatry produkują, ale potem nie wystawiają spektakli. Ja zupełnie poważnie pytam: jak polski teatr ma mieć jakiegokolwiek znaczenie, jeśli głośny podobno spektakl przez trzy pierwsze miesiące po premierze może obejrzeć widownia, którą liczebnością przewyższa Kolbuszowa na Podkarpaciu?

Porównajmy to do „Othella” z National Theatre. Różnicę tworzy nie tyle wielkość audytorium – dramat Szekspira jest wystawiany w liczącym 890 miejsc Lyttelton Theatre – ile zagęszczenie spektakli: „Othella” grają przez dwa miesiące po osiem razy w tygodniu (od poniedziałku do soboty o 19.30 oraz w środy i soboty o 14, od 23 listopada 2022 do 23 stycznia 2023 r.).

Biorąc pod uwagę przerwy w Boże Narodzenie i sylwestra, zaokrąglić można to w dół do 60 spektakli. To ponad 55 tys. biletów w kilka tygodni, dzięki czemu teraz wszyscy rozmawiają o „Othellu”.

A to dopiero początek! Od końca lutego „Othello” w ramach programu National Theatre Live będzie wyświetlany w setkach kin w całym Zjednoczonym Królestwie, a później trafi do kin na całym świecie, również w Polsce. Na tym etapie widownia idzie w solidne setki tysięcy, jeśli nie miliony. A i to nie koniec, bo jeśli spektakl odniesie duży sukces, to najpierw transferowany jest na kilka miesięcy (znów: osiem spektakli w tygodniu) na londyński West End, a później jedzie do Nowego Jorku, Los Angeles i jeszcze robi tournée po Wielkiej Brytanii.

Szczytem wszystkiego było to, co się działo z obsypanym wszelkimi możliwymi nagrodami spektaklem „The Lehman Trilogy” w reżyserii Sama Mendesa. Przygotowywany był przez trzy lata (!), a zamyka w trzech aktorach i jednym pianinie niemal 150 lat historii – od przyjazdu trzech braci do Ameryki do upadku założonego przez nich banku Lehman Brothers, który zapoczątkował kryzys finansowy 2008 r.

„The Lehman Trilogy” miało premierę w październiku 2018 r. na tej samej scenie, na której teraz wystawiany jest „Othello”. Od tego czasu spektakl grany jest z przerwami tylko na epidemiczne zamknięcia i transfery z jednej sceny na inną. Od stycznia do maja 2023 r. znów będzie w Londynie, teraz już siedem razy w tygodniu, na scenie liczącego ciut ponad 1000 miejsc Gillian Lynne Theatre przy Drury Lane.

Raz, że publiczne pieniądze wyłożone na produkcję spektaklu Mendesa zwróciły się już wielokrotnie, pozwalając National Theatre finansować kolejne produkcje. Co ważniejsze jednak, widownia „The Lehman Trilogy” to są już grube miliony ludzi i dzięki temu brytyjski teatr rzeczywiście aktywnie i na wielu płaszczyznach bierze udział w debacie publicznej.

I takiego teatru Państwu życzę, bo na pewno szkoda czasu na taki, który w najlepszym razie uważa się za coś dla garstki wybranych, w wstydy się albo boi otworzyć drzwi, a w tym najgorszym wypadku jest wydmuszką i metodą na skubanie podatnika, więc widownia i sukces są mu od początku zupełnie zbędne. ●

*Fragment „Otella” Szekspira w przekładzie Leona Ulricha

PO PRAWDZIE

Flirt z panem Jarkiem

Będą promienne uśmiechy, patrzenie w oczy, trzepotanie rzęsami.

Agnieszka Kublik

Co zrobić, żeby rzeczywiście to pan wygrał?” – zapyta Danuta Holecka Jarosława Kaczyńskiego przed zbliżającymi się wyborami parlamentarnymi. Skąd to wiem? Bo o to pytała Dudę przed wyborami prezydenckimi.

O tak, wtedy TVP zrobiła rzeczywiście wiele, by Duda wygrał. I pokonał Rafała Trzaskowskiego, choć minimalnie (51,03 do 48,97 proc., różnica to jedynie 422 385 głosów).

Holecka, szefowa „Wiadomości” TVP i członkini komisji etyki TVP, przeprowadzała wywiad z Dudą tuż przed wyborami w 2020 r. Trudno to zresztą nazwać wywiadem, bo nie tyle zadawała Dudzie pytania, ile podrzucała mu odpowiedzi, a jak już pytała, to np. po to, by podkreślić ogrom jego ciężkiej pracy. Uśmiechającej się słodko Holeckiej Duda wyjaśnił, że „prowadzi polskie interesy, bo serce ma polskie”. To wtedy rzuciła: „Co zrobić, żeby rzeczywiście to pan wygrał?”.

Pytanie nieetyczne, ale i zdumiewające, bo przecież TVP robiła dla Dudy wiele, bardzo wiele. Cóż mogła więcej?!

Nawet ówczesny szef TVP Jacek Kurski, podsumowując kampanię, zazwyczaj, że gdyby nie wsparcie jego telewizji, Duda mógłby Trzaskowskiego nie pokonać.

Bo to była naprawdę wredna kampania, a Kurski sprawił, że była jeszcze wredniejsza.

I to nie jest tylko moja opinia. To ocena OBWE, która obserwowała w Polsce tamte wybory.

Po kampanii Thomas Boserup, szef specjalnej misji oceniającej wybory ODIHR, podczas konferencji prasowej obserwatorów z Biura Instytucji Demokratycznych i Praw Człowieka OBWE (OSCE/ODIHR) nie miał wątpliwości: – TVP nie spełniła swojego regulowanego prawem obowiązku informowania w sposób obiektywny i bezstronny w czasie kampanii. Funkcjonowała jako narzędzie prowadzenia kampanii urzędującego prezydenta.

Co gorsza, OBWE zgłaszała takie zastrzeżenia podczas wcześniejszych kampanii. PiS je całkowicie zlekceważył. I obserwatorzy to zauważyli.

– Cechą charakterystyczną kampanii była retoryka negatywna, pełna nietolerancji, która doprowadziła do jeszcze większej polaryzacji społeczeństwa już wcześniej nastawionego na konfrontację – komentował Boserup. – Głównego konkurenta przedstawiała wyłącznie negatywnie. Materiały pokazywane w TVP były ksenofobiczne i antysemickie.

Przykład? Każdy pamięta, jak Duda wrzeszczał na wiecu: „Próbuje się nam, proszę państwa, wmówić, że to ludzie, a to jest po prostu ideologia!”.

A może Holecka w wywiadzie z Kaczyńskim rzuciła jeszcze, że jest „architektem dobrej zmiany”? Może będzie patrzyła mu w oczy, uśmiechała się stale promiennie, trzepotała rzęsami? To będzie nie wywiad, ale partyjno-telewizyjny flirt z okazywaniem na ekranie Kaczyńskiemu zachwytu, szacunku, podziwu i uznania.



Skąd wiem? Bo tak właśnie całkiem niedawno Holecka rozmawiała przed kamerą z Kaczyńskim.

Z „Wiadomości” popłynie piosenka: „Jak Polska szeroka, długa/ Niechaj wygra Jarosław Kaczyński/ Żeby nie było, jak było/ Gdy w Polsce PO rządziło”.

Skąd wiem? Bo taką piosenkę, z melodią na ludową nutę, śpiewała w „Wiadomościach” stojąca pod krzyżem dziewczynka w regionalnym stroju przed wyborami prezydenckimi. Rzecz jasna, Dudę zamieniłam na Kaczyńskiego.

Będzie planowanie gotowców. Zamawianie wywiadów. Atakowanie opozycji na konkretne zamówienie rządu. Materiały podyktowane dziennikarzom przez władzę.

Skąd wiem? Bo tak właśnie jest. Przeciaki z maili Dworczyka to jak zagłądanie za propagandowe kulisy tej władzy. Brudno tam. A utyllani są nie tylko rządzący, ale też podlegli im dziennikarze. Ich nadgorliwość w tym, by „pięknie atakować” opozycję na zamówienie, na zawsze pogrzebała ich dziennikarską niezależność. Czy mogą teraz wymyślić coś gorszego? O tak.

W głównym wydaniu „Wiadomości” widzowie będą pojeni paskami: „Polacy cenią partię Jarosława Kaczyńskiego”, „Polska przykładem europejskiego sukcesu”, „Siła polskiej gospodarki budzi zazdrość”, „Polska to wyspa wolności i tolerancji”, „Prawo i Sprawiedliwość dotrzymuje słowa”, „Rząd konsekwentnie spełnia obietnice wyborcze”, „Polacy cenią reformy Prawa i Sprawiedliwości”, „Zjednoczona Prawica reformuje Polskę”, „Polacy zadowoleni z polityki rządu”.

I takimi jeszcze: „Sondaż: Polacy obawiają się wygranej opozycji”, „Nagroda dla Tuska za konfrontację z Polakami”, „Platforma broni komunistycznych relikwów”, „Bilans PO-PSL: setki miliardów strat”, „Kuliszy grabież 250 mld zł w czasach PO-PSL”, „Obłuda i hipokryzja Brukseli”, „Bruksela fałszuje polską historię”, „Polski rząd nie ulegnie szantażowi Brukseli”, „Bruksela chce zabrać Polakom przywileje”, „Silna Polska przeszkadza nie tylko Rosji”, „Niemcy nie chcą silnej Polski”, „Niemiecka polityka znów groźna dla Europy”, „Europa nie chce dyktatu Berlina i Brukseli”.

Skąd wiem? Bo to najprawdziwsze paski...

A potem napiszę felieton „A nie mówiłam/pisałam...?”.

W 2020 r. Sąd Najwyższy odrzucił wszystkie protesty wyborcze, które dotyczyły nierównego traktowania kandydatów przez TVP. Sędziowie uznali, że nie ma dowodów, iż TVP może wpływać na widzów (z uzasadnienia: autorzy protestów nie wykazali, „jaki związek miałby istnieć między niewłaściwą realizacją misji przez telewizję publiczną a naruszeniem wyborczych przepisów”).

No cóż, sędziwie SN powinni już teraz oglądać obowiązkowo TVP, by wiedzieli, ile ta telewizja robiła, robi i robi dla swojej partii. Inaczej po prostu nie będą mieli kompetencji do rozpatrywania skarg wyborczych. ●

JEDEN TERMOS NA 40 SPRAWIEDLIWYCH



FOT. XOSE BOUZAS / HANS LUCAS / AFP/EAST NEWS

Życie rosyjskiego uchodźcy w Paryżu: Nadieżda zaprasza mnie na kawę do Ikea.

Bartosz T. Wieliński, Paryż

Nadieżda Kutepowa opowiada, jak sprawdza, po której stronie są Rosjanie, którzy właśnie przybyli do Francji. – Mówię: „Sława Ukraini!”, i patrzę, jak zareagują. Wiele osób odpowiada: „Herojam sława”. Wtedy widzę, że będziemy mieli o czym rozmawiać.

A gdy zareagują inaczej? – Zdarza się, że słyszę bluzgi albo widzę niedowierzenie. Wtedy odchodzę. Bo po 24 lutego świat stał się czarno-biały. Albo jesteś przeciwko Putinowi, albo z nim.

Nadieżda wcale nie mówi po ukraińsku. W ogóle nie jest Ukrainką. Jest wychowaną w Rosji Rosjanką. A gdy myśli o tym, co w Ukrainie wyprawia jej kraj, czuje głęboki wstyd i zażenowanie.

Rosjanie we Francji uchodzą za krezusów. Wille, jachty, drogie samochody. Tak nad Sekwaną życiem cieszą się oligarchowie. Nadieżda jest jednak uchodźczynią, wychowuje trójkę dzieci, żyje bardzo skromnie. Dlatego na rozmowę zaprasza mnie do kawiarni w Ikea przy stacji Madeleine w centrum Paryża. Tam podają kawę za kilka euro.

Nadieżda pokazuje zdjęcia z wielkich antyrosyjskich demonstracji. Paryska ulica, piękna jesień. Morze ukraińskich flag i ona. W żółtej koszuli, z niebieską apaszką i z flagą w ręce. Flagą biało-niebiesko-białą. To flaga Rosjan, którzy są przeciwko Putinowi i wojnie. – Pod koniec lutego, zaraz po rosyjskim najeździe, przyszliśmy na demonstrację Ukraińców z flagami Rosji. Poprosili, byśmy je schowali. Trójkolorowa flaga była dla ludzi nie do zniesienia. Dlatego odcięliśmy czerwony pasek i zastąpiliśmy go białym.

– Ukraińcy to zaakceptowali? – pytam, mając w pamięci demonstracje w Polsce. W czerwcu biało-niebiesko-białych flag zakazano na warszawskiej Paradzie Równości. W październiku podczas demonstracji przed ambasadą Rosji w Warszawie z powodu obecności rosyjskich demonstrantów doszło do głośnej awantury.

– Nie ma żadnego problemu. Tylko raz poprosili, byśmy schowali flagę. Przed de-

monstracją w kwietniu, gdy świat dowiedział się o zbrodniach w Buczy – opowiada Nadieżda. Na antyputinowskich demonstracjach ładowała akumulatory dobrą energią, zbierała siły do walki. Po ujawnieniu masowych grobów na wyzwolonych terenach Ukrainy nie było o tym mowy, Nadieżda była zdruzgotana. – Rosja jest winna. A my wszyscy ponosimy odpowiedzialność.

Powtarza to regularnie podczas demonstracji. Jak reagują Ukraińcy?

– Najpierw krzyczeli, by mi odebrać głos, że nie chcą słuchać rosyjskiego, że nienawidzą Rosji. Organizatorzy wytłumaczyli, że my też jesteśmy uchodźcami i ofiarami reżimu – opowiada Nadieżda. Teraz do pięć dochodzi tylko z Ukraińcami, którzy dopiero co przybyli z kraju, mają świeże rany, kpią złością. Rozumie ich emocje. Gdy Ukraińcy z dłuższym stażem we Francji tłumaczą nowym, że uchodźcy z Rosji są w porządku, milczy. – To ich wewnętrzne rozmowy.

40 DZIAŁACZY I 1000 NAZWISK W MAILINGU

Szacuje się, że do Francji przybyło 120 tys. uchodźców z Ukrainy. Większość mieszka w Paryżu. Ilu jest Rosjan? Szacunki mówią nawet o półmilionowej diasporze. W 2021 r. azylu politycznego udzielono 769 przybyłym z Rosji. W tym roku ta liczba zapewne się zwiększy. Francja, w przeciwieństwie do Polski czy krajów bałtyckich, nie zamknęła granic dla mężczyzn uciekających przed poborem i wysłaniem na wojnę. W Paryżu schronienie znalazł m.in. Paweł Filiatiew, żołnierz wojsk spadochronowych, który brał udział w inwazji na Ukrainę, a potem opowiadał o popełnianych przez swoją armię zbrodniach.

Nadieżda działaczy ukraińskiej diaspory zna od 2014 r. Poznali się na demonstracjach przeciwko aneksji Krymu. Razem z przyjaciółmi krzyczała, że półwysep jest ukraiński, a Putin to wiadomo co.

Ukraińcy są świetnie zorganizowani, ich organizacje pamiętają lata 20., gdy do Pary-

ża zjeżdżali pokonani przez bolszewików biali. Tysiące zmobilizowanych ludzi, struktury, fundusze.

Antyputinowskie stowarzyszenie, w którym działa Nadieżda, nazywa się Russie-Libertés. Nie ma długich tradycji. Powstało, gdy do Francji dotarła fala uchodźców po protestach w 2011 i 2012 r. W Rosji wówczas zawrzało po sfałszowaniu wyborów parlamentarnych i prezydenckich, w wyniku których Putin wrócił na urząd. Policja

rozbiła demonstracje, aresztowała uczestników, prześladowała organizatorów.

Z roku na rok uchodźców z Rosji przybywało do Francji coraz więcej. W Russie-Libertés obecnie bardzo aktywnie działa około 40 osób, od czasu do czasu wspierają je prawie dwie setki. Na liście mailingowej jest ponad 1000 adresów. Siedziby nie mają. Organizacja spotyka się na piętrze kawiarni pod Montmartre'em. Zajmują stolik, kelner przynosi duży termos herbaty z cytryną i imbirem. Ich długie dyskusje giną w kawiarnianym gwarze.

Nikołaj Koblakow, pochodzący z Ufy przedsiębiorca i szef Russie-Libertés, ma plan, by stworzyć demokratyczny odpowiednik dla propagandowej Russia Today czy Sputnika. – Setki tysięcy Rosjan uciekły w ostatnich miesiącach. Dalej oglądają kremlowską telewizję, dalej są poddawani praniu mózgu. Trzeba temu przeciwdziałać – mówi Nikołaj. Z pomysłem utworzenia telewizyjnej odtrutki dla Rosjan chciałby dotrzeć do samego Macrona. Ale to bardzo daleka droga. A pilnej roboty jest tyle... Gdy organizacja powstawała w 2011 r., jej celem była walka o demokrację, praworządność i prawa człowieka w Rosji. O wolność dla rosyjskich więźniów politycznych, dla członków zespołu Pussy Riot.

– Po napaści na Ukrainę wszystko się zmieniło. Uznaliśmy, że zwycięstwo Ukrainy przysłuży się demokracji w Rosji. Dlatego musimy wspierać Ukrainę, jak tylko się da – mówi Koblakow.

Jego współpracowniczka Zalina Stewe, uchodźczyni z należącej do Rosji Kabard-Balkarii, organizuje zbiórkę na generatory prądu. Rosja uderza rakietami w ukraińską sieć energetyczną, by zimą całkowicie odłą-

czyć kraj od prądu i wymusić kapitulację. – Ceny generatorów rosną jak szalone. Niedawno były po 200 euro, teraz średnia cena wynosi powyżej 400. A niektórzy sprzedawcy chcą 600 – wylicza Zalina. Razem z kilkoma innymi organizacjami pozarządowymi szuka dostawców i negocjuje ceny. Kolejny problem: generatory trzeba wysłać do Polski, najlepiej, by sprzedawca miał w polskim magazynie. – Z Polski najprościej przerzucić sprzęt do Ukrainy – opowiada. No i kolejny problem: jakość. – Rynek zalewają tanie generatory z Chin. Trzymamy się od nich z daleka, to szmelc – mówi.

Rozmawiamy o sprzęcie, aż nagle jej komórka zaczyna brzęczeć. Przyszła wiadomość o kolejnej wpłacie. Zalina robi wielkie oczy. – Anonimowy darczyńca właśnie przełał nam 1470 euro – mówi zaskoczona. Będzie na trzy generatory. Kto je dostanie? Zalina tłumaczy, że pomoc jest skierowana do ukraińskich rodzin wielodzietnych albo do osób starszych, które nie są w stanie same sobie poradzić. – Wiemy, że w małych wsiach pod Odessą mieszkają Nikołaj i Ludmiła. Przyszli na świat podczas II wojny. Trudno im wiązać koniec z końcem, szczególnie teraz, gdy coraz częściej brakuje prądu – opowiada Zalina. Czy Ukraińcy nie mają nic przeciwko temu, że to Rosjanie zbierają dla nich pieniądze? – Nic z tych rzeczy. Jeśli chodzi o pomoc, jesteśmy razem – mówi Zalina.

LEKARZE MIŁSI DLA UKRAIŃCÓW NIŻ DLA FRANCUZÓW

Maria Stepanowa (zmieniłem imię i nazwisko ze względu na syna, który został w Rosji) uczy ukraińskich uchodźców francuskiego. Pochodzi z Moskwy, z wykształcenia jest romanistką i dyplomowaną nauczycielką języka. Lekcje prowadzi w swoim mieszkaniu w bloku we wschodniej dzielnicy Paryża. – Najtrudniej jest ze starszymi osobami. Przetłumaczyć ze słowiańskiego języka jest bardzo trudno. Dzieci łapią wszystko w lot – wyjaśnia. Gdy Ukraińcy wychodzą z lekcji, mijają się na klatce schodowej z uchodźcami z Rosji. Wśród uczniów Marii są też działacze zdelegalizowanego przez Putina stowarzyszenia Memoriał, którzy znaleźli we Francji schronienie.

Od końca lat 90. jej mąż pracował we Francji na kontrakcie, a ona kursowała między Moskwą a Paryżem. Gdy w 1999 r. zobaczyła po raz pierwszy w telewizji Putina, po-

czuła obrzydzenie, oceniła, że jest zdolnym do wszystkiego bezpieczniakiem. Czuła, że ten człowiek doprowadzi jej kraj do katastrofy. Później regularnie chodziła na antyrządowe demonstracje. W 2008 r., gdy Putin najechał Gruzję, postanowili z mężem, że we Francji zostaną na stałe. Gdy 24 lutego syn zadzwonił, że jest wojna, uznała, że musi coś zrobić. Domek letniskowy w Bretanii od razu udostępniła trzem Ukrainkom. Poza uczeniem francuskiego udziela się jako tłumaczka – pomaga Ukraińcom, którzy zachorowali i potrzebują pomocy francuskiej służby zdrowia.

Rosjanie zorganizowali system. Na stronie internetowej uchodźcy podają terminy wizyt u francuskich lekarzy. Tłumacze wybierają, komu będą pomagać. Idą razem z nim albo czekają pod telefonem. Wtedy w gabinecie lekarz włącza komórkę na głośnomówiący, a tłumacz przekłada na rosyjski lub ukraiński jego pytania i odpowiedzi. Maria najchętniej chodzi z Ukraińcami do francuskich okulistów. Jej córka jest lekarką tej specjalności, dzwoni do niej, gdy chce wyjaśnić jakieś kwestie medyczne. – Zdziwiłam się podczas pierwszych wizyty, że francuscy lekarze, widząc Ukraińców, są dla nich miłsi niż dla Francuzów – mówi.

Jej rola nie kończy się po wyjściu z gabinetu. – Ukraińcy zaczynają nam, tłumaczom, ufać, otwierają się. Często się okazuje, że problemy ze zdrowiem to niejedyna sprawa, w której trzeba im pomóc. Tłumacze zamieniają się w pracowników socjalnych. Cóż, takie życie.

Będą nas traktować jak kiedyś Niemców. Zasłużyliśmy – tłumaczy Nadieżda dzieciom, gdy wracają ze szkoły z płaczem

Czy ktoś się skarżył, że nie chce tłumaczki Rosjanki? Maria sobie nie przypomina.

TU MIESZKA AMERYKAŃSKA AGENTKA

Przeglądamy zdjęcia z demonstracji w mediach społecznościowych. Między postami przewijają się nagrania z rosyjskiej telewizji państwowej. Olga Skabiejewa, jedna z głównych propagandystek Kremla, nazywana „żelazną lalką Putina”, znowu grozi Zachodowi wojną jądrową, jeśli nie przestanie wspierać Ukrainy.

– Ja ją dobrze znam. To przez nią jestem na wygnaniu – opowiada Nadieżda Kutepowa.

Pochodzi z Czelabińska-65. Było to najtajniejsze miasto w całym Związku Radzieckim, budowano tu bomby atomowe. W 1957 r. w pobliskiej fabryce plutonu doszło do eksplozji zbiornika z materiałami promieniotwórczymi. Skażeniu uległ gigantyczny obszar, tysiące ludzi zmarło z powodu choroby popromiennej i wywołanych promieniowaniem nowotworów. Taki los przytrafił się ojcu i dziadkowi Nadieżdy. Po upadku ZSRR jako prawniczka i działaczka walczyła o odszkodowania dla ofiar i zaprzestanie produk-

cji plutonu. Z roku na rok władze coraz bardziej utrudniały jej pracę. W 2014 r. została uznana za agenta zagranicy. W 2015 r. pod jej domem pojawiła się Skabiejewa z kamerą. Wkrótce potem cała Rosja zobaczyła materiał demaskujący „amerykańską agentkę”, która szkodzi krajowi. – Mieszka w tym domu, oto okna jej mieszkania – pokazywała propagandystka. Nadieżda błyskawicznie spakowała dobytek do kilku walizek i z dziećmi wyjechała do Francji. Bez pieniędzy, bez zawodu musiała zacząć wszystko od nowa. – Teraz biorę na Skabiejewę odwet, zadaję kłam jej propagandzie – opowiada. Regularnie występuje we francuskiej telewizji, nazywa po imieniu zbrodnie Putina, mówi o winach Rosjan, wyzwa, by pomagać Ukraińcom. Takich występów przed kamerami zaliczyła już 136.

DOBRZY LUDZIE Z ROSYJSKIEJ AMBASADY

– Nie boicie się długich rąk Kremla? – pytam. Koblakow przytakuje. O tym, jak są długie, dowiedział się latem 2014 r. na lotnisku w Sofii, gdzie poleciał w interesach. Bułgarska policja aresztowała go na podstawie wystawionego przez rosyjską prokuraturę listu gończego. Zarzut: wyłudzenie 1,5 mln dol. Wyssany z palca. Bułgaria, wówczas mocno infiltrowana przez rosyjskie służby, pewnie wydałaby Koblakowa na pastwę Rosjan. Groziło mu 10 lat w łagrze.

Wolność odzyskał dzięki międzynarodowej presji. – Rosyjska ambasada w Paryżu nieustannie próbuje nas infiltrować. Podsyłają ludzi, którzy niby chcą pomagać, w rzeczywistości próbują nas rozpracować – tłumaczy.

Dlatego zawsze sprawdza, z kim będzie rozmawiać. Przed spotkaniem musiałem wysłać mu maila z linkami do tekstów. Nadieżda mówi, że jako wychowanka sowieckiego tajnego miasta nieufność ma we krwi. Jako dziecko przestrzegano ją przed szpiegami. – Pamiętam dwóch dryblasów, którzy przypatrywali się nam podczas demonstracji. Później twierdzili, że są deztererami z wojska. Strasznie chcieli się do nas przyłączyć, wręcz domagali się, by ich dołączyć do grupy na WhatsAppie. Nie zgodziłam się.

Rosjanie żyjący w Paryżu zasadniczo boją się ambasady. Nadieżda opowiada o znajomych, którzy nie chodzą na żadne demonstracje, bo boją się, że agenci będą filmować, a potem dobiorą się do ich rodzin w Rosji. Inni twierdzą, że ich protesty nic w Rosji nie zmieniają. Szczególnie trudno zachęcić do działania mężczyzn. Nadieżda ma szczególnie żal do celebrytów, którzy uciekli do Francji, takich jak znana aktorka Renata Litwinowa i jej partnerka Zemfira, piosenkarka. – Żyją na uchodźstwie, ale milczą. A ich głosu bardziej by słuchano niż naszego.

Z ambasadą walczą o dusze nowych uchodźców. Kolo Rosjan, którzy dopiero co przybyli do Francji, kręcą się dobrzy ludzie, którzy obiecują pomoc, mieszkanie, pracę. Potem się okazuje, że to ludzie reżimu próbują złowić nowo przybyłych, uzależnić, zastraszyć, uciszyć. – Zasadniczo jesteśmy zdania, że deztererom z armii Putina Zachód powinien pomagać. Oni też są ofiarami – mówi Nikołaj.

PARYŻANIN MÓWI, ŻE ZDRADZIŁAM OJCZYZNĘ

Czy we Francji panuje rusofobia? Nikołaj twierdzi, że o francuskiej rusofobii piszą w raportach do Moskwy jedynie rosyjscy dyplomaci. Marię przeraża, ilu zwykłych Francuzów dało się uwieść Putinowi.

– Na Facebooku rodowity paryżanin zelżył mnie, pytając, dlaczego zdradziłam ojczyznę. Jak to możliwe, by on wiedział więcej o mojej ojczyźnie niż ja? – pyta oburzona. Nadieżda opowiada, że wiosną jej dzieci wróciły ze szkoły i poskarżyły się, że wytykano je palcami jako Rosjan, jako tych złych. Przytuliła je i zaczęła tłumaczyć zawiłą historię XX i XXI wieku. – Tak już musi być, to naturalny proces. Będą nas traktować tak, jak kiedyś traktowali Niemców. Zasłużyliśmy. ●

Karkówka narodowa

Co Luter by powiedział Morawieckiemu.

Marcin Matczak*

Afera z premią dla naszej piłkarskiej reprezentacji jest ukoronowaniem procederu, który trwa od kilku lat. Ten proceder to handlowanie polskością – kupczenie nią na wszystkie sposoby, nabywanie i sprzedawanie przez ludzi, którym miłość do ojczyzny nie schodzi z ust jak opryszcza. „Patriotyzm sprzedam!” – wołają, „świeżutki, nieużywany!”, „za dobrą cenę, będzie pan zadowolony” – dodają.

Różne formy mają te patriotyczne transakcje, ale kupujący jest zawsze jeden – rząd. Dwa miliardy na telewizję, z której patriotyzm ma się wylewać, miliony na patriotyczne laweczki pokazujące Polskę pustą w środku. Flagi, pomniki, akademie – jeśliś tylko gotów być patriotą za godziwym wynagrodzeniem, rząd to kupi. To największy mecenas merkantylnego patriotyzmu, który kupuje pokazy miłości do ojczyzny, tak jak sponsor wykupuje reklamy. Cel jest jasny – napęłnić przestrzeń ojczyźnianymi uczuciami, żeby samemu na promotora polskości wyglądać. W tym wszystkim nieco umyka, jak zwykliśmy nazywać miłość za pieniądze i jakim określeniem nazywamy jej promotorów.

Jeśli tylko masz pomysł, jak przez promocję polskości promować PiS, zapłacą ci każdą kwotę. Na podaż polskości od razu odpowiada popyt. Ludzie mający smykałkę do biznesu rozumieją, że jeśli wystawisz na politycznym rynku odpowiedni towar, ktoś go chętnie kupi: dotacją, subwencją czy nagrodą.

Tak było z tymi potwornymi patriotycznymi ławkami – polskość w formie ławki z dykty została przez kogoś sprzedana, bo ktoś chce płacić za patriotyzm. Tak było z polskimi flagami, za które kancelaria premiera zapłaciła w hurcie więcej, niż płaci się w detalu. Patriotyzm jest bowiem wart każdej ceny, zwłaszcza nierynkowej. Nie ma on być już uczuciem, bezinteresownym odruchem serca. Patrioci wychowani przez PiS nie zastanawiają się, co mogą dać swojemu krajowi. Oni ciągle kombinują, co ich kraj może dać im.

Nie tylko pieniędzmi ten rząd płaci za patriotyzm, także posadami. Jak jakąś dośtales albo chcesz dostać, musisz swoje odrobić na odcinku patriotyzmu na pokaz. Dało się to zaobserwować w mediach społecznościowych kandydatów na neosędziów. Kiedyś nie obnosili się z patriotyzmem, nagle zaczęli się reklamować jako prawomyślni. Ci, którzy promowali małżeństwa jedнопłciowe, nagle wyrzekli się lewicowej herezji. Na Facebooku zaczęli umieszczać obrazy nawiązujące do powstań narodowych i świąt religijnych, przypomnieli sobie patriotyczne, góralskie korzenie. Inni pozwolali z biało-czerwonymi flagami na niepodległościowych marszach. Nominaci zasiadający w TK zmienili sąd konstytucyjny w IPN-bis. Już właściwie nie publikują na swoim twitterowym koncie treści prawnych, lecz tylko patriotyczne: rocznica Bitwy Warszawskiej, wybuch II wojny, powstanie Służby Zwycięstwu Polski. Patriotyzmu w bród, konstytucji nie uświadczyś.

A teraz piłkarze i ich premia. Tu też oferta płynie z rządu, któremu sukces piłkarski mógłby przykryć porażkę polityczną – jej objawem będzie ciężka zima i pusta kasa z powodu braku pieniędzy z KPO. PiS chce kupić patriotyczne uczucia piłkarzy i kibiców, ogrzać się w ich świetle jak Andrzej Duda w czerwono-białym szaliku na Narodowym.

Jak się jednak okazuje, tej premii nie będzie, tak przynajmniej napisał premier. Szkoda, że to znowu ludzie musieli podnieść krzyk, żeby nie dało się sprzedać za pieniądze czegoś, czego nie wolno redukować do zysku: dumy narodowej i służby Polsce. A chętni do transakcji, zdaje się, byli po obu stronach.

Czym tu się handluje? Jak na przykościelnym odpuscie redukuje się uczucia wysokie do niskich. Na odpuscie religijne uniesienia i rzeczywistą miłość do Boga sprowadza się do kiczowatego obrazka czy figurki – forma wielokrotnie przerasta treść. Podobnie prawdziwy patriotyzm redukuje się do chudej formy i grubej kasy: rozpadającej się patriotycznej laweczki, którą zbuduje się za miliony, biało-czerwonej flagi, którą można rządowi z dużym zyskiem sprzedać, pamięci po żołnierzach i powstaniach, którą można spieniężyć, czy sowitej wyceny jedynego rytuału wspólnotowego, jaki nam pozostał: wspierania reprezentacji narodowej.

Jest w tym patriotyzmie za pieniądze jeszcze jeden aspekt odpustu – bardziej tradycyjny i jeszcze gorszy moralnie. Chodzi o odpustowość, którą krytykował Luter: przekonanie, że nie musisz godnie żyć i się starać, wystarczy, że wykupisz sobie później odpuszczenie grzechów i sprawa załatwiona. Może to narwane kupowanie patriotyzmu ma coś z kupowania odpustów. Wiedzą, że grzeszą straszliwie przeciw polskości, że szkodzą Polsce, zatem kupują ten odpustowy patriotyzm dla ekspiaci – żeby nadrobić pieniędzmi to, czego nie są w stanie zrobić sercem.

Dlatego na promocję patriotyzmu za pieniądze kasa znajdzie się zawsze, bo jest on promocją PiS. Za to ten rząd zapłaci każdą cenę. „Dwa miliardy na TVP to za mało? Proszę bardzo, dołożymy 700 milionów!”. A Jacek Kurski, miłośnik Kaczmareckiego, usiądzie z gitarą i chętnie za dodatkową opłatą umili nam czas wykonaniem „Chrystusa i kupców”:

– Towaru! – krzyczy chciwy lud
My towar wszelki dzisiaj mamy
Zaspokoimy każdy głód
Co zechcą kupić, odsprzedamy

Tu polcie hasel, wiary kark
Zwoje idei, mięzsze snu
W świątyni sytość waszych warg
Róg obfitości tylko tu.

Bo największa u nas przetwórnia patriotyzmu to nie tylko szczujnia, ale także rzeźnia: polcie patriotycznych hasel sprzedają jak tłustą karkówkę, którą można pożyć przy patriotycznym grillu. A może nie rzeźnia, ale szwalnia: oferuje zwoje patriotycznych idei, szyte grubymi nićmi? Promuje niezłomnie kosztowny sen, za który przyjdzie boleśnie zapłacić jak za garnki kupione na pokazie – patriotyzm, który w środku nie ma nic, może oprócz nienawiści do innego.

Prawdziwy patriotyzm trzeba mieć w sercu, nie w portfelu. Udawany, paździerzowy można sprzedawać i kupować jak rozpadającą się laweczkę. Patriotyzm odpustowy, zredukowany do tego, na czym można zyskać. Patriotyzm, który zamiast polskość hołubić, chce polskość ubić. Jak interes. ●

***Marcin Matczak** – profesor nauk społecznych, zajmuje się filozofią prawa, teorią konwencji społecznych, filozofią języka i teorią interpretacji. Wykłada na UW

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”

Nowa książka Marcina Matczaka już w księgarniach



NASZA EUROPA

Wybitny brytyjski historyk Orlando Figes:

FATALNE SKUTKI
BRAKÓW W KREMILOWSKIEJ BIBLIOTECE

Putin w ostatnich latach rozwinął w sobie niezwykłą pasję do historii.
Czyta namiętnie, niestety, wyłącznie historiografię rosyjską



• Putin w towarzystwie patriarchy Cyryla na otwarciu wystawy „Pamięć pokoleń: wielkie wojny ojczyzniane” w moskiewskim Maneżu, Dzień Jedności 2019, obchodzony 4 listopada, w rocznicę wypędzenia Polaków z Kremla

FOT. ALEXEI NIKOLSKY/AP

Marc Reichwein

WELT

Brytyjczyk Orlando Figes to jeden z najlepszych sowietologów na świecie. Regularnie publikuje w najlepszych pismach, w tym w „The New York Review of Books”, jest członkiem Royal Society of Literature. Po polsku ukazały się m.in. jego „Taniec Nataszy. Z dziejów kultury rosyjskiej”, „Szepty. Życie w stalinowskiej Rosji” i „Tragedia narodu. Rewolucja rosyjska 1891–1924”. Wykłada historię Rosji w Birkbeck College w Londynie i dobrze zna pułapki niemieckiego określenia „Russlandverstehen”, rozumiejący Rosję. W nowej książce, „The Story of Russia”, przekonuje, że Kreml stosuje dziś te same idee, mity i metody, których Rosjanie od bardzo dawna używają do interpretacji swojej przeszłości i uzasadniania swojej po-

lityki. Ale co to oznacza dla obecnej wojny w Ukrainie?

...

Na początku swojej książki cytuje pan George’a Orwella: „Ten, kto kontroluje przeszłość, kontroluje przyszłość”. Słynne zdanie z dystopijnej przeciw powieści „Rok 1984” doskonale pasuje do trwającego od ponad 20 lat reżimu Władimira Putina. Dlaczego historia i jej interpretacja stanowi fundament polityki w Rosji, pełniąc w budowaniu tożsamości narodowej funkcję ważniejszą niż w jakimkolwiek innym kraju?

– Fakt, że historia odgrywa tak ważną rolę w rosyjskiej ideologii i w ludowym światopoglądzie, wynika z tego, że w Rosji nigdy nie rozwinął się normalny, wolny dyskurs polityczny. Nie ma publicznej dyskusji na temat tego, co mogą oznaczać wolność, demokracja czy bezpieczeństwo. Oznacza to, że opinia publiczna nie ma wiele do powiedzenia, a państwo i jego system, które były głównym motorem wszelkich zmian w całej historii Rosji, mają silną tendencję do powoływania się na wypręparowane narracje historyczne za każdym razem,

gdy forsują określoną politykę. Z tym że wszystkie te narracje oparte są na mitach dotyczących tego, jak wygląda lub powinien wyglądać rozwój Rosji.

Co to za mity?

– Często religijne, utopijne, zawsze imperialne. Weźmy sposób, w jaki Putin odwołuje się do postaci Piotra Wielkiego, gdy przemawia do młodych ludzi. Piotr Wielki stoi w jego ujęciu za ideą „rekonkwisty” ziem Zachodu, które niby historycznie należą do Rosji. W mitologii Putina np. republiki bałtyckie były pierwotnie słowiańskie.

W wystąpieniu, do którego pan nawiązuje, Putin wspomniał, że Piotr Wielki przez 20 lat toczył z poświęceniem wielką wojnę północną, w której chodziło o supremację w regionie Bałtyku. Skąd u Putina, byłego kagebisty, takie zainteresowanie historią XVIII w.? Od kiedy tak mocno postrzega i uzasadnia swoje działania w kategoriach historycznych?

– Putin oczywiście uważa się za historyka i faktycznie spędza dużo czasu na studiowaniu książek historycznych. Tylko że on czyta wyłącznie rosyjską historiografię.

A historiografia rosyjska to konsekwentnie historiografia imperialna. Zdekolonizowanie rosyjskiej historii, jak bym to ujął, mogło być konieczne już w latach 90., ale nigdy do tego nie doszło. To, co Putin zawarł w swoim głośnym esej o roli Rosji ogłoszonym w 2021 r., niewiele różni się od tego, co w XIX w. głosili Nikołaj Karamzin, pierwszy wielki historyk Rosji, czy Siergiej Solowjow, autor wielotomowej „Historii państwa rosyjskiego od najdawniejszych czasów”.

Dla Rosjan Rosja jest imperium i basta. To dogmat. Wielka Rosja, która ma serce swojej państwowości w Moskwie, ale swoje początki – w Kijowie, co oznacza, że Ukraina jest tylko regionem, a nie narodem z własnym terytorium. Pyta pan, kiedy Putin zainteresował się historią jako narzędziem uprawiania polityki i ideologii. Myślę, że od ok. 2006 r. wszelkie alternatywne wobec kremłowskiej doktryny interpretacje historyczne zostały wyraźnie zmarginalizowane. Głosy wolnych historyków były coraz bardziej tłumione, a oni sami – zagrożeni. Utrudniano im publikowanie, a ich dawniejsze prace były wykluczane z użytku w szkołach.

NASZA EUROPA

Wspomina pan również o kampaniach plakatowych Putina z postaciami historycznymi, na których już w 2003 r. rehabilitowano Stalina. I o popularnych parkach tematycznych dotyczących historii Rosji, które zostały otwarte w kraju.

– Odwiedziłem kilka z nich. Są potężnym narzędziem wewnętrznej propagandy Putina. Przy okazji pokazują, jak autorytarne państwo z wszechwładnym przywódcą, któremu pozostawiono jednoosobowo podejmowanie decyzji o tym, co jest najlepsze dla Rosji, wykorzystuje historię.

Ale przecież ta historia nie jest w ogóle jednoznaczna. Czy dawna Rosja nie była notorycznie niezdecydowana, czy chce się otworzyć na Zachód, czy też chronić przed zachodnimi wpływami?

– Są słowianofile, którzy zawsze twierdzili, że Rosja była inna niż Zachód i musiała chronić swój specyficzny charakter przed wpływami Zachodu. To pogląd obecny od czasu wojny krymskiej w XIX w. Już Nikołaj Danilewski, główny piewca pansławizmu i filozof, który miał wielki wpływ m.in. na Dostojewskiego, oświadczył, że Zachód należy uznawać za wiecznego wroga Rosji.

Putin lubi powoływać się na cara Mikołaja I, który podjął wysiłek neutralizacji wpływów Zachodu. To z jego punktu widzenia wygodny wzór do naśladowania?

– Jak najbardziej. Napisałem całą książkę o wojnie krymskiej, w której wyjaśniałem, dlaczego antyzachodni nacjonalizm, który reprezentuje Putin, czci Mikołaja I jako bohatera. Pasuje mu nie tylko ze względu na antydemokratyczną politykę w kraju w zakresie cenzury, utrzymywania zachodnich idei z dala oraz kreowania soft power Rosji wokół pansławistycznych idei. Pasuje też dlatego, że Mikołaj poszedł na starcie z całym Zachodem w obronie tego, co uważał za rosyjskie imperatywy, czyli m.in. świętego zobowiązania cara do obrony wszystkich prawosławnych na świecie. Putin to dziś powiela, choć wyraża to inaczej.

Nie jest też przypadkiem, że Mikołaj I jest jedną z czterech figur z rosyjskiej historii uhonorowanych pod postacią posągów w pokoju, gdzie Putin ma swój osławiony długi stół, przy którym podejmuje gości z Zachodu.

A pozostałe trzy?

– Są bardziej oczywiste: Piotr Wielki i Katarzyna Wielka, którzy dokonali ekspansji w Europie, oraz Aleksander I. Ten z kolei podbił terytoria na Kaukazie i zrobił rzecz najważniejszą: obronił Rosję przed Napoleonem i „uratował świat”. Ten świat, który sięga czasów Aleksandra Newskiego.

Newski w 1242 r. powstrzymał próby ekspansji zakonu krzyżackiego na Ruś. Car Mikołaj I uratował Rosję w 1848 r. od zgiełku rewolucji, który rozległ się w całej Europie.

– A panowanie rozpoczął od stłumienia powstania dekabrystów, pierwszego w Rosji buntu przeciwko feudalizmowi. Bał się rodzimych jakobinów, więc zbudował państwo policyjne, aby unieszkodliwić wszelkie zgubne nowinki z Zachodu. Paralele są więc oczywiste.

Bez Cerkwi prawosławnej trudno zrozumieć, jak Rosja postrzega siebie samą. Jak wielki jest wpływ patriarchy moskiewskiego na Putina?

– Dużo większy, niż przyjęło się sądzić, wychodząc z założenia, że religia jest dla Kremla zjawiskiem fasadowym. To nie pierwszy raz, kiedy Rosja za namową patriarchy najechała na tereny, które dziś stanowią Ukrainę. To patriarcha Nikon skłonił w połowie XVII w. cara do pomocy prawosławnym Kozakom, którzy prowadzili swoją wojnę z katolicką Polską. Za-

wsze można znaleźć jakieś paralele historyczne, ale to z reguły niesie ryzyko zwodniczego anachronizmu. Uważam jednak, że obecny patriarcha Cyryl – który, nawiasem mówiąc, według mnie jest człowiekiem na wskroś złym – chce powrotu do „duchowości świata rosyjskiego”, która została złamana przez Związek Radziecki. Nie można tego interpretować inaczej niż jako kolejny projekt imperialny.

Tylko że mit Wielkiej Rosji nawiązuje do Rusi Kijowskiej...

– Również dlatego moja nowa książka zaczyna się od moskiewskiego pomnika wielkiego księcia Włodzimierza, władcy Rusi Kijowskiej w latach 980-1015. Putin odsłonił ten pomnik w 2016 r. Już wtedy zauważyłem rosnącą rozbieżność między sposobem, w jaki ja i inni na Zachodzie uczuliśmy się i myśleliśmy o Rosji, a sposobem, w jaki putinowska machina propagandowa reaktywowała różne mitologie i włączyła je do eklektycznej wizji historii i jej specyficznego rozumienia.

Ale skąd w Rosji ta namiętność do mitów historycznych?

– Po upadku Związku Radzieckiego budowanie narodu było znacznie łatwiejsze dla Białych czy Gruzinów niż dla Rosjan. W Estonii czy Gruzji dziedzictwo ery radzieckiej jest traktowane jako „okupacyjne”. Związana z tym narracja brzmi tak: „Stalinizm i komunizm przyszyły z Rosji, nie miały nic wspólnego z nami, zostały nam narzucone”. Wypieranie się wszystkiego, co radzieckie lub rosyjskie, stało się podstawą do budowy nowego narodu dla wielu byłych republik radzieckich, natomiast dla Rosji upadek ZSRR miał drugoczące skutki, jest postrzegany jako regres, a nie okazja do postępu, a do tego Zachód był gotów wtedy pomóc wszystkim oprócz Rosji. Choćby dlatego, że Rosja i Związek Radziecki były notorycznie ze sobą mylone.

Czyli po 1991 r. Zachód poniósł historyczną porażkę w swojej polityce wobec Rosji?

– Można było pokusić się o coś w rodzaju planu Marshalla dla Rosji, który pomógłby temu krajowi stanąć na nogi i rozwinąć instytucje, które, jak wiemy, są podstawą wszelkiej demokracji. Ale Zachód w 1991 r. wyłącznie prawil Rosji, jaka ma być. Demokratyczna. I w jakiś sposób pomniejszona. Sposób traktowania rządu rosyjskiego w latach 90. bywał karygodny, bo stworzył zestaw resentymentów, które były następnie powszechnie podzielane. Nie chodzi tylko o Putina. Zachód musi zrozumieć, że poczucie, że Rosja została przez niego źle potraktowana i że to Zachód był bezwzględny zwycięzcą zimnej wojny, było powszechne wśród klasy politycznej w Rosji.

Nie wspominając o zwykłych ludziach, pozostawionych samym sobie wobec bolesnej transformacji z komunizmu do kapitalizmu.

– W ramach swojej terapii szokowej narzucano Rosji szereg nieprzemyślanych polityk. A efektem było to, że wielu ludzi straciło poczucie bezpieczeństwa, szansę na dobrobyt i oczywiście system wierzeń. Świetłana Aleksiejewicz opisała to dobrze w książce „Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka”: wiele osób, które nie radziły sobie z systemem rynkowym, przeżywało lata 90. jako głęboką traumę, także z powodu skokowego wzrostu przestępczości, korupcji, ogólnego i totalnego braku bezpieczeństwa.

To stąd popularność Putina, który po chaosie transformacji wydawał się przynosić nową stabilność?

– Wielu ludzi, także na Zachodzie, uważało na początku rządów Putina, że ko-

nieczne jest odrodzenie sprawczej struktury państwowej. W przeciwnym razie Rosji miało grozić ryzyko rozpadu na oligarchiczne lenna. A wiadomo, że nie tylko oligarchowie kontrolowali majątek dawnego imperium, ale także bezwzględna przestępczość zorganizowana. Kraj faktycznie się rozpadał. Myślę więc, że wielu postrzegało ponowne wzmocnienie państwa jako potencjalnie pozytywną zmianę. Tyle że oczywiście wszystko poszło nie tak.

Jakie były błędy Zachodu w tej wczesnej fazie ery putinowskiej?

– Po 11 września 2001 r. Bush i Putin byli dość blisko. Rosja miała coś do zaoferowania w wojnie z terroryzmem. I to był ten moment, kiedy Putin w nieformalnej rozmowie z Bushem powiedział: „No, to kiedy Rosja przystąpi do NATO?”. Został zbity, odrzucony – przynajmniej tak sam to odczuł. I od tego momentu Putin, który wtedy był jeszcze dość niepewny co do kierunku, jaki ma obrać, zdał sobie sprawę, że NATO pozostało sojuszem de facto antyrosyjskim.



FOT. CSTADLER/BWAG

Nie możemy zakładać, że Rosja po prostu upadnie. Ma determinację i zasoby siły represyjnej, ma środki finansowe i zapewne wystarczająco wielu sojuszników, by działać tak długo, jak trzeba. Musimy być przygotowani na długą wojnę

Ale Polacy i Białowie są dziś bardzo zadowoleni, że jako członkowie NATO są chronieni przed agresywną Moskwą.

– Oczywiście. Wszystkie państwa mają suwerenne prawo do decydowania o swoich sojuszach. Ale błędem było proste założenie, że te decyzje nie mają nic wspólnego z Rosją i nic jej do tego. George F. Kennan zawsze to podkreślał.

Ten amerykański historyk, ekspert od Rosji i wpływowy dyplomata, określił ekspansję NATO na wschód jako najbardziej katastrofalny błąd w amerykańskiej polityce po zakończeniu zimnej wojny. Czy z punktu widzenia Rosji NATO naprawdę było takim samym zagrożeniem politycznym, jak militarnym? Przecież strefa demokracji i zachodnich wartości się przybliżała...

– Z pewnością. Ale autorytarne elity Rosji już były przerażone organizacjami zarządzanymi takimi jak Memoriał, zachodnimi mediami czy nawet Rosjanami, którzy coraz częściej wyjeżdżali na Zachód i doświadczali innego świata. A jednocześnie dla wspomnianych państw „frontowych”, czyli republik bałtyckich, Polski i Ukrainy, która co najmniej od 2014 r. desperacko pragnęła być częścią Zachodu, kolosalne znaczenie miało to, że mogły po-

wiedzieć: „My też jesteśmy Zachodem”. Z drugiej strony oznaczało to, że została wyznaczona linia, bardzo czerwona: „My jesteśmy Europą, wy, Rosjanie, jesteście barbarzyńcami. Rosja oznacza ciemność, oznacza dziką Azję i upadek cywilizacji”. Te postawy się utrwaliły. Są one do pewnego stopnia zrozumiałe, ale jednocześnie szalenie skomplikowały obecną sytuację. Jest to bowiem przecież rodzaj rasizmu, który jeśli zostanie użyty jako broń, może być niebezpieczny, bo jest obosieczny. Myślę, że musimy utrzymać mosty dla potencjalnej nowej rosyjskiej klasy politycznej, z którą możemy się dogadać.

Niemcy biją się dziś w piersi za rosnące przez lata uzależnienie od surowców z Rosji. A jak Brytyjczycy patrzą na wojnę w Ukrainie i jak mówią o swoich relacjach z Rosją? Pan sam także nazywa Londyn, centrum finansowe kluczowe dla fortun rosyjskich oligarchów, „Londongradem”.

– To jest problem. Wśród liberalnej, wykształconej części społeczeństwa panuje silne poczucie, że Zachód, a Londyn zwłaszcza, zbyt długo uczestniczył w budowaniu putinowskiego systemu. Tym bardziej wydaje mi się to hipokryzją, gdy Niemcy są tak mocno krytykowane za „rozumienie Rosji”. Owszem, zapewne trzeba było już dawno szukać źródeł energii gdzie indziej. Polityka kupowania wszystkiego od Rosji była jednak wygodna, opierała się też na założeniu, że dzięki niej Rosja stanie się wiarygodnym partnerem. Cóż, to skończyło się fiaskiem. Ale Londyn ponosi taką samą winę jak każda inna stolica. Trzeba też zauważyć, że Niemcy jednak zrobiły wielką wolę: zrezygnowały z Nord Stream 2 i mocno wspierają Ukrainę.

Jak długo potrwa wojna? Pisz pan na końcu swojej książki: „Rosyjskie zwycięstwo w jakiejś formie jest najbardziej prawdopodobnym wynikiem tej wojny”.

– Miałem przez to na myśli: Putin może sprzedać jako zwycięstwo nawet porażkę. To on zdefiniuje, czym jest zwycięstwo. Myślę, że wojna będzie trwała jeszcze długo. Przez lata. Ostatecznie prowadzi ją Kreml przy założeniu, że Ukraina znaczy dla Rosji więcej niż dla Zachodu. Kreml zakłada, że Zachód nie będzie chciał wiecznie wspierać Ukrainy. I moja obawa jest taka, że to prawda.

Dlaczego?

– Rosja zafunduje Ukrainie i Zachodowi dwie długie kolejne zimy. Rozpęta wojny energetyczne. Wojny finansowe. Cyberwojny. A kryzys uchodźczy to też narzędzie działań wojennych, którego Kreml szybko się uczy. Tylko tej zimy możemy się spodziewać, że na zachód ruszy od 5 do 10 mln kolejnych ukraińskich uchodźców. Nie da się przeżyć zimy w Ukrainie bez prądu i wody.

Wszystko będzie zależało od gotowości Zachodu, by pójść na całość. Oraz od wyborów prezydenckich w USA za dwa lata. Jeśli wygra Trump lub ktoś podobny do niego, to będzie fatalna wiadomość dla Ukrainy.

Ale najważniejsze, że nie możemy zakładać, że Rosja po prostu upadnie. Ma determinację i zasoby siły represyjnej, ma środki finansowe i zapewne wystarczająco wielu sojuszników, by działać tak długo, jak trzeba. Musimy być przygotowani na długą wojnę.

Oznacza to, że to rządy państw zachodnich powinny wytłumaczyć swoim obywatelom, dlaczego musimy toczyć tę wojnę – bo w tej chwili nie sądzę, żeby tłumaczyły to wystarczająco. ●

TAJEMNICA ZŁOTEGO MAGNESU

„Jedźmy do Ameryki! Kupimy tam farmę, będziemy żyć z jej dochodów, a resztę czasu poświęcimy literaturze i sztuce!” – zawołał Sienkiewicz.

Maciej Jarkowicz

Ołchopak ma 17 lat. W jego wsi nic się nie zmieniło od stuleci. Kilkanaście domów przy piaszczystej drodze. Na miedzach sady. Do kościoła idą w dół drogą, nie dalej niż kilometr; kobiety siadają w prawej, mężczyźni w lewej nawie. Jest rok 1912, gdy chłopak postanawia wyjechać. Kilka miesięcy później mieszka już w Detroit. Wszystko – fakt, że sto lat później piszę o Ameryce, że mieszka w niej połowa mojej rodziny, że spędziłem w niej kawał życia, że jestem tożsamościowo i geograficznie rozkraczony – wszystko zaczyna się od jego decyzji.

Albo John White, gubernator kolonii Roanoke, pierwsze go angielskiego osiedla w Ameryce. Była druga połowa XVI wieku. W Londynie zawód malarza i ilustratora przynosił mu dochód i uznanie. Jakim cudem przekonał siebie i kilkudziesięciu majątnych obywateli – rzemieślników, kupców, lekarza, prawnika, jubilera – aby opuścili wygodne życie i wyruszyli w morderczą podróż? Piractwo, kaperstwo i sztormy zabijały wtedy na Atlantyku setki ludzi, o czym w Londynie wiedziانو. Po co ryzykować? Po co rozpoczynać budowę miasta w nieznanym dziczy, z której nie da się łatwo zawrócić?

A 2,8 mln imigrantów z Ameryki Łacińskiej, którzy w mijającym roku nielegalnie, z narażeniem zdrowia przekraczali południową granicę USA? Wielu z nich zostawiło za sobą wszystko. Na jedną kartę postavili cały majątek, całe życie.

Jedna z książek, która próbuje wytłumaczyć wielowiekowy fenomen uchodźstwa do Ameryki, nosi tytuł „Distant Magnets” („Dalekie magnesy”, autorzy Dirk Hoerder i Horst Rössler, podtytuł: „Oczekiwanie a rzeczywistość w doświadczeniu imigrantów 1840-1930”). W 1876 roku magnes przyciągnął Henryka Sienkiewicza i Helenę Modrzejewską. Zbrzydło im „to najgłupsze i najbardziej plotkarskie, i najbardziej zasrane wewnętrznie, a pogiębione zewnętrznie miasto Warszawa”

(Sienkiewicz). On był zakochanym w niej 30-letnim średnio znanym dziennikarzem. Ona 36-letnią słynną aktorką zamężną z samowolnym hrabią Karolem Bożentą Chłapowskim. Pomysł narodził się w jej domu, w czasie jednego z „wtorków u pani Heleny”, na których bywała intelektualna śmietanka zasranego miasta. „Jedźmy do Ameryki! Kupimy tam farmę, będziemy żyć z jej dochodów, a resztę czasu poświęcimy literaturze i sztuce!” – zawołał Sienkiewicz. Oprócz Chłapowskiego i Modrzejewskiej pomysły podchwycili między innymi malarze Albert Chmielowski i Stanisław Witkiewicz, rysownik Lucjan Paprocki czy wielkopolski ziemianin Juliusz Sypniewski.

Sienkiewicz załatwił kontrakt w „Gazecie Polskiej” na cykl korespondencji z Ameryki. Sypniewski dał kapitał początkowy. Popłynęli parowcem z Liverpoolu. Kupili kawał ziemi w południowej Kalifornii pod założoną przez niemieckich imigrantów miściną Anaheim. Rozpoczęli życie w komunie. O tym, co się tam wydarzyło, opowiada wydana niedawno debiutancka powieść Jakuba Nowaka „To przez ten wiatr”.

Tradycja utopijnych społeczności jest w USA tak stara jak sam kraj. A nawet starsza: czym innym, jeśli nie religijnymi komunami, były pierwsze purytańskie osady w Nowej Anglii? Do istnienia powołała je utopijna wizja: zamknąć się w grupie podobnie myślących ludzi z nadzieją na wypracowanie nowego, idealnego sposobu współżycia. XIX wiek, kiedy Sienkiewicz, Modrzejewska i spółka dekują się w na farmie w Anaheim, to złota era amerykańskich utopii. W połowie stulecia protestanci szejkersi prowadzili około 20 wspólnot, w których łącznie mogło mieszkać nawet 200 tys. ludzi. Ekonomicznie radzili sobie nieźle, ale wykończył ich celibat. W 1848 roku chrześcijański socjalista John Humphrey Noyes założył komunę w Oneidzie w Stanie Nowy Jork. Tam z kolei panowała wolna miłość. Skończyło się jak u szejkersów. Niemieccy pietyści powołali do życia Harmonię w Indianie. Transcendentaliści gospodarowali na Brook Farm w Massachusetts. W następnym stuleciu tradycję będą kontynuowały między innymi wszelkiej maści utopie hipisowskie, których ostatecznym wynaturzeniem okazała się komuna Charlesa Mansona. Jedna utopia religijna przetrwała do dziś i ma się dobrze, co każe zapytać, czy rzeczywiście jest utopią: amisz.

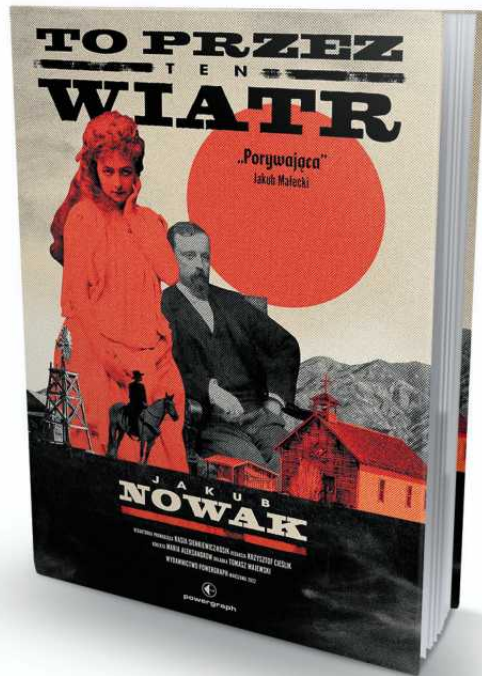
Polska artystyczna wspólnota w Kalifornii, jak większość podobnych, nie przeżyła długo. Pogiębły ją typowe dolegliwo-

ści: napięcia seksualne, lenistwo, brak know-how, złudna wiara w agrarną samowystarczalność i w to, że można uciec od samego siebie.

Jean Baudrillard, francuski socjolog i filozof proponuje: Ameryka jest przestrzenią, w której amerykańskie marzenie nie musi się spełniać, bo jest spełnione z racji swej natury. Tak jak łaska wiary pozwala chrześcijaninowi żyć w przekonaniu,

re stanowiłyby śmiertelne zagrożenie dla tak młodej i kruchej demokracji.

Technologia zmieniła wszystko. Rozwój silników parowych skrócił podróż przez Atlantyk z kilku miesięcy do kilkunastu dni. Podróż stała się bezpieczna. Stocznie wypuszczały setki nowych parowców, wyrastające jak grzyby po deszczu kompanie przewozowe konkurowały między sobą, obniżając ceny. Jednocześnie para napędzała pra-



„To przez ten wiatr” Jakuba Nowaka

już w księgarniach, na stronie wydawnictwa Powergraph i w formie e-booka na Publio.pl

że dziewica poczęła Syna Bożego, który wyzwolił świat od grzechu, tak wiara w Amerykę jako ideę sprawia, że znika granica między fikcją a rzeczywistością. W świecie fikcji, która jest tożsama z codziennością, niemożliwe staje się możliwe. Paradoks Ameryki jako utopii w permanentnej realizacji dostrzegali też Umberto Eco. Odwiedzając popkulturowe atrakcje turystyczne USA, takie jak Disneyland, wymyślił termin fałszu absolutnego (absolute fake). Tak jak w wierze religijnej opowieść (dla wierzących: Pismo) staje się najważniejszym źródłem życiowej satysfakcji i spełnienia. Mit pochłania real.

Sto lat przed popkulturą taki stan rzeczy utrwalali imigranci. Ojcowie założyciele nie byli zwolennikami imigracji. W ich wizji Stany Zjednoczone miały być państwem, zamkniętą, utopijną komuną. Przestrzeganie praw stworzonych na bazie rewolucyjnych dokumentów założycielskich – Deklaracji Niepodległości i konstytucji – wymagało od nowej wspólnoty żelaznej dyscypliny. Napływ ludności z zewnątrz mógł przynieść elementy monarchistyczne i wszelkie inne, któ-

sy drukarskie. Jedna po drugiej otwierały się gazety i agencje reklamowe. Tsunami wieści z Ameryki zalewało Europę. Dziennikarze przysyłali korespondencje. Znamienne: Henryk Sienkiewicz, pierwszy w historii polskiej prasy wysłannik do USA, niemal wszystkie swoje artykuły ujęte później w tom „Listy z podróży do Ameryki” po prostu zmyślił. Na zbieranie materiału w terenie nie miał pieniędzy ani czasu. Zajęty był nieznaną mu wcześniej sztuką uprawy winorośli i próbami uwiedzenia Modrzejewskiej pod okiem jej zabójczo zazdrosnego męża.

Transatlantyccy przewoźnicy mieli swoje biura nawet w małych miścinach wszystkich zakątków Starego Kontynentu. Ich broszury przedstawiały Amerykę jako kraj, gdzie – dosłownie – ulice brukuje się złotem. Foldery docierały do wiejskich karczm i sklepików. Czy jeden z nich wpadł w ręce mojego stryjcznego dziadka Jana, 17-latka we wsi na Wileńszczyźnie?

Wyobraźmy sobie taką scenę: wielki parowiec na środku Atlantyku. Pod pokładem ciemne,

kilkudziesięcioosobowe kajuty z wielopiętrowymi kojami, szczury, drewniane wiadra z fekaliami, kałuże wymiocin, smród. Na pokładzie wiatr i bezkres. Przez dwa tygodnie na tej zamkniętej przestrzeni żyje tysiąc ludzi albo więcej. Pochodzą z różnych stron Europy, ale łączy ich najważniejsze: opuścili dotychczasowe życie, żeby zacząć nowe w Ameryce. Dwa tygodnie wspólnego oczekiwania pełnego nie tylko nadziei i ekscytacji, ale też wątpliwości i strachu. Aż wreszcie na horyzoncie wylania się Statua Wolności. Złote Wrota (Golden Door) – tak nazywano ten punkt na planecie.

Gdy już przeszli przez nie na Ellis Island, gdy już sprawdzono, czy nie noszą zarazy, zajrzano im we włosy, uszy i tyłki, ci ludzie pisali listy. Co może napisać ktoś, kto postawił wszystko na jedną kartę? Kto nie ma do czego wrócić? Czy narzeka na ciężkie warunki: chłód, upał, biedę, bezrobocie, głód, przemoc, korupcję, nienawiść, dyskryminację? Czy przyznaje, że być może popełnił błąd? Że umiera z tęsknoty?

Miliony listów z Ameryki: Piśmo, Dobra Nowina. Utwierdzają mit ulic brukowanych złotem. Jednocześnie przyciągają nowych imigrantów. Oni też piszą listy. Dziad Jan pisał do mojej ciotki Frani. Wyjechała. Pisała do mojego ojca...

Co można zrobić, kiedy Nowy Świat okazuje się fikcją, a do Starego nie ma powrotu? Nie zastanawiać się wiele, tylko pracować tak ciężko, żeby fikcję zamienić w rzeczywistość. Jedyna skuteczna strategia przetrwania tworzy utopię w permanentnej realizacji. Nową ojczyznę.

John White i pierwsi koloniści z Roanoke zaginęli bez śladu. Historycy do dziś próbują odtworzyć ich los. Moje siostry, potomkinie stryjcznego dziadka Jana, mieszkają w Teksasie i Kalifornii. Mają amerykańskich mężów i amerykańskie dzieci, nieźle im się powodzi. Imigranci z Południa nieprzerwanie przedzierają się przez pustynię.

Polska komuna w Anaheim wytrzymała dwa lata. Jej sąsiedzi długo jeszcze wspominali dziwnych Polaków, którzy przesiadywali na ganku i recytowali poezję, gdy plony spalało słońce. Sienkiewicz należał do nielicznych przybyszów, którzy mieli otwartą drogę powrotu do Starego Kraju. Modrzejewska została, żeby harować i fikcję zamieniać w rzeczywistość.

Pod koniec „To przez ten wiatr”, stojąc u progu wielkiej scenicznej kariery w USA, aktor ka mówi:

– Przestałam śnić o miejscach, do których nigdy nie wrócę.

– Właśnie po to jest Ameryka – odpowiada amerykański przyjaciel. ●

Od kilku dni media emocjonują się akwarelą Wasyla Kandinskiego z 1928 r. sprzedaną w berlińskim domu aukcyjnym. MKiDN próbowało powstrzymać licytację, bo akwarela kupiona przez Muzeum Narodowe w Warszawie w 1982 r. została ukradzioną dwa lata później podczas zorganizowanej w nim wystawy. MKiDN zakwestionowało więc możliwość zakupu dzieła w dobrej wierze, choć było ono już dwukrotnie przedmiotem sprzedaży aukcyjnej przez nikogo niekwestionowanym, a na międzynarodowe listy ukradzionych dzieł sztuki (Interpolu i Lost Art Register) MKiDN zgłosiło je dopiero teraz. Ciekawe, że w pełnych oburzenia opiniach ministra Glińskiego i wtórujących mu muzealników i publicystów odwołujących się – a jakże – do polskich strat wojennych nikt się nie zająknął o historii akwareli do chwili nabycia jej przez MNW. Tymczasem MNW nie dochowało wystarczającej staranności w zbadaniu jej pochodzenia. Tym samym nabyło ją w złej wierze. Akwarela Kandinskiego była bowiem prezentem urodzinowym artysty dla zaprzyjaźnionego z nim marszanda z Brunszwiku Ottona Ralfsa. W 1940 r., zapewne z przyczyn bytowych, rozstał się z nią. Nawet jeśli ją sprzedał, to pokątnie – w III Rzeszy legalna sprzedaż dzieł określanych przez nazistów jako „sztuka zdegenerowana” była zabroniona. Swoją galerię oferującą sztukę nowoczesną Ralfs zmuszony był zamknąć niemal natychmiast po dojściu Hitlera do władzy w 1933 r. Niezależnie od tego, jak wyglądały losy akwareli od 1940 do 1982 r., znalazła się ona w Polsce w niejasnych okolicznościach i dyrektor MNW mógłby poinformować opinię publiczną, jaką proveniencję dzieła przyjęto za wiarygodną w chwili jego zakupu. Jedno jest pewne – nie była to polska strata wojenna, lecz najprawdopodobniej „późna zdobycz” pochodząca z szabru na ziemiach zachodnich, gdzie w drugiej połowie wojny wzięto z całej Rzeszy i ukryto wiele kolekcji, także te skonfiskowane.

Warto przypomnieć też niedawny casus, w którym MKiDN wykazało się zbliżonym refleksem. W końcu października wielu zelektryzowała wiadomość, że prezydent Macron podarował papieżowi dzieło Immanuela Kanta „Projet de paix perpétuelle”, które na stronie tytułowej miało stempel Czytelnia Akademickiej we Lwowie, bo może książka pochodziła z grabieży wojennej. Skądinąd służby prezydenta Francji mogły wybrać mniej kłopotliwy prezent niż myśli o pokoju mędrca z Królewca, jeśli chciały skłonić Franciszka do moralnego wsparcia Ukrainy.

Emocje szybko opadły, bo minister Gliński oświadczył na Twitterze, że ów lwowski egzemplarz Kanta „nie jest polską stratą wojenną”, jako że „wszystko wskazuje na to, że książka już na przełomie XIX i XX w. znajdowała się we Francji”. Przy okazji dorzucił: „Ale inne dzieło sztuki – »Holenderski brzeg rzeki« Jana van Goyena, które zostało zrabowane w czasie II wojny światowej ze zbiorów wrocławskich, nadal znajduje się we Francji w Musée Louvre”, i dodał, że to muzeum „do dziś nie odpowiedziało na wniosek restytucyjny MKiDN”.

Zagadka zawarta w oświadczeniu Glińskiego, czy i co nazywać polską stratą wojenną – obiekt ze Lwowa czy obiekt z Wrocławia – jest tym ciekawsza, że w świetle raportu Mularczyka stanowiącego podstawę pisowskich żądań reparacji od RFN ani obiekty ze Lwowa, ani obiekty z Wrocławia nie są zaliczane do polskich strat wojennych. Raport ów nie uwzględnia bowiem ziem wschodnich II Rzeczypospolitej, a Wrocław do konferencji poczdamskiej w 1945 r. nazywał się Breslau i leżał jako żywo w historycznych granicach Rzeszy Niemieckiej. Więc wspomniany przez Glińskiego van Goyen z Luwru na logikę wydaje się niemiecką stratą wojenną, nawet jeśli „zasłużoną”, skoro to Niemcy wywołali



MĘTNY OBRAZ

Według raportu Mularczyka wartość artystyczna i materialna zagrabionych nam przez Niemców dzieł sztuki przybliżyła nas coraz bardziej do Luwru!

Nawojka Cieślińska-Lobkowicz

wojnę i ją przegrali. I nawet jeśli dzisiaj Polska z racji powojennej zmiany granic ma tytuł do ubiegania się o przekazanie płótna van Goyena z Luwru do Wrocławia, jako że obraz należał do państwowych zbiorów muzealnych przedwojennego Breslau. Tytuł że podobny tytuł ma Lwów do dóbr kultury, które do wybuchu wojny należały do jego zbiorów, w szczególności gdy były to zbiory państwowe lub miejskie. Że jednak rzecz nie jest oczywista, przekonuje przypadek tzw. Velum biskupa Anselma, czyli XIII-wiecznego rękopisu z pruskiego archiwum Breslau. Zabytek przeszmuglowany po wojnie do USA trafił do Biblioteki Kongresu w Waszyngtonie i Departament Stanu od początku lat 90. ubiegłego wieku po dzień bieżący, komu zgodnie z prawem międzynarodowym go przekazać: RFN czy Polsce.

Prawo międzynarodowe nie pozostawia natomiast wątpliwości, że osławiona Berlinka, czyli niezwykle cenne zbiory cymeliów berlińskiej Biblioteki Pruskiej, wśród nich manuskrypty Bacha, Mozarta, Beethovena i innych wielkich kompozytorów, znalezione tuż po wojnie przez polskich bibliotekarzy w niemieckiej składnicy w Krzeszowie na Dolnym Śląsku i przechowywane w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie, winny zostać zwrócone do Berlina, co strona polska konsekwentnie kwestionuje, powołując się na krajowy dekret o majątkach opuszczonych i poniemieckich z marca 1946 r.

At teraz, żeby rzecz dodatkowo skomplikować, przywołajmy inne dzieło van Goyena. Oto w Muzeum Narodowym w Gdańsku wisi namalowany przez tego holenderskiego pejzażystę w 1638 r. obraz znany jako „Chałupy nad kanałem”.

Do zajęcia Holandii przez Wehrmacht w maju 1940 r. płótno należało do wybitnego marszanda Jacques’a Goudstikka (1897-1940). Wobec groźących mu jako Żydowi prześladowań opuścił w pośpiechu kraj, popłynął do USA zmuszony do pozostawienia w Amsterdamie całego majątku, w tym sławnej galerii z grubo ponad tysiącem dzieł sztuki. Goudstikker zmarł nagle podczas tego rejsu, ale jego rodzina zachowała oprawny w skórę notes zawierający szczegółowy spis jego zbiorów, który sporządził tuż przed ucieczką. Pod numerem 1692 widnieją w nim „Chałupy nad kanałem” jako „Pejzaż z zagrodą”. Marszand nabył ten obraz w 1924 r. w Hadze i zamieścił jego reprodukcję w wydany w 1926 r. katalogu swojej kolekcji pod jeszcze innym tytułem: „Świniopas” („Le Porcher”). Już w czerwcu 1940 r. całe zbiory Goudstikka zostały przejęte w wyniku fikcyjnej transakcji przez marszałka Rzeszy Hermann’a Göringa, bez wątpienia największego grabieżcę wśród nazistowskich bonzów. Holenderskim współnikiem Göringa został mieszkający w Niderlandach niemiecki bankier Alois Miedl, z którym razem dokonali tej grabieży, będącej modelem przykładem tzw. aryżacji. Göring zachował ok. 300 dzieł z galerii Goudstikka,

• „Holenderski brzeg rzeki”

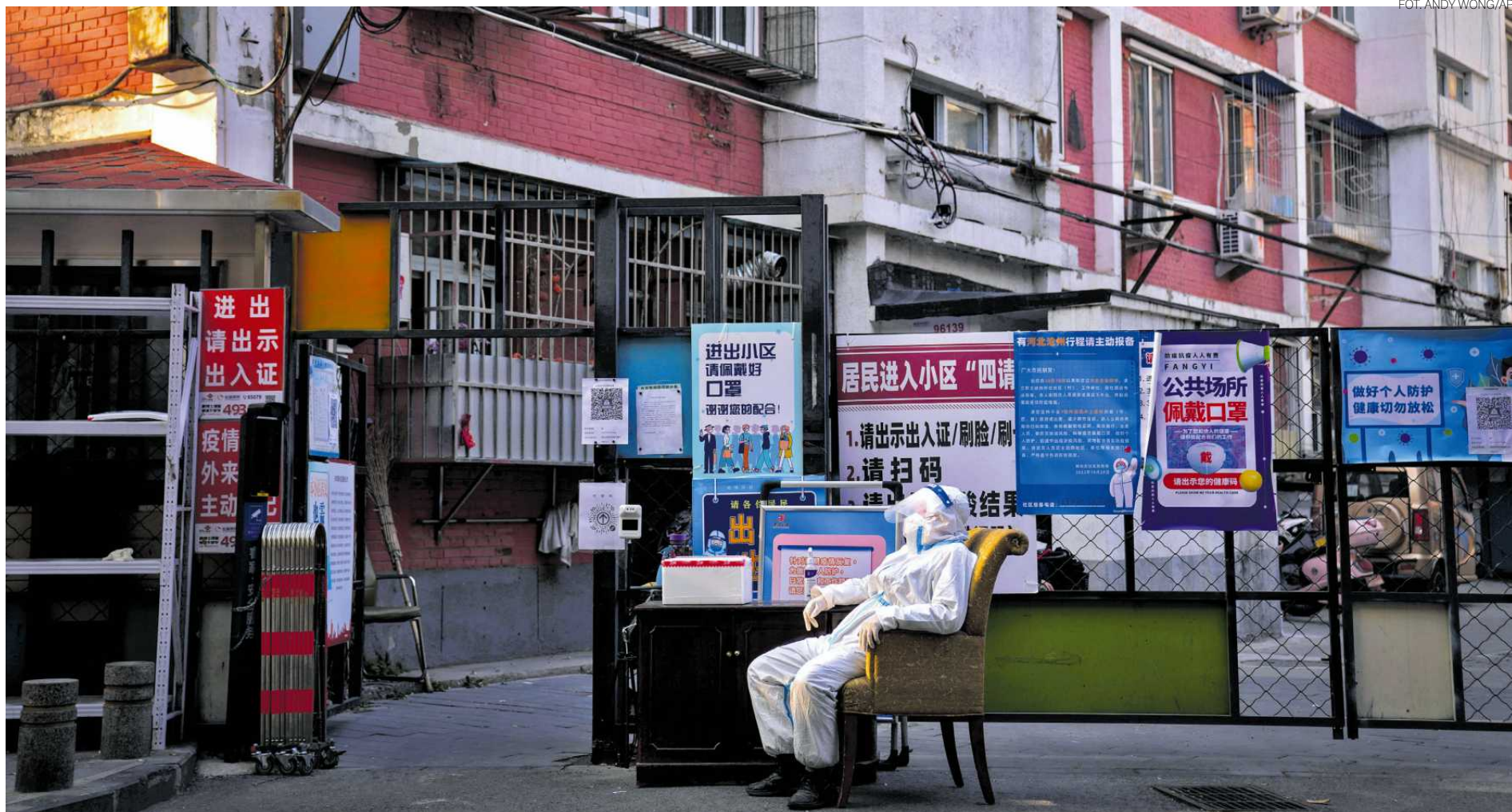
Jana van Goyena FOT. MUSÉE DU LOUVRE

pozostałe – wśród nich także van Goyena – wprowadził z pomocą Miedla na kwitujący w okupowanej Europie rynek sztuki. W grudniu 1941 r. obraz kupił namiestnik Rzeszy w Gdańsku-Prusach Zachodnich Albert Forster, który następnie przekazał go Gdańskiej Galerii Obrazów (Danziger Gemäldegalerie). W publikacji z 1943 r. poświęconej nowym nabytkom gdańskiej galerii van Goyen Goudstikka zreprodukowany został pod tytułem „Hütten am Kanal” i ze skorygowaną datą powstania: 1630. Te w tłumaczeniu na polski „Chałupy nad kanałem” zostały wraz z innymi dziełami wywiezione przez Armię Czerwoną do Rosji i rewindykowane stamtąd w 1956 r. Dodam, że Muzeum Narodowe w Gdańsku posiada jeszcze drugi obraz zagrabiony z galerii Goudstikka – „Pejzaż włoski” Willema van Nieulandta (numer 1082 w notesie holenderskiego marszanda).

W 2006 r. MKiDN stwierdziło kategorycznie, że gdańskie płótno van Goyena jest własnością państwa polskiego. I jedynie prawomocny wyrok polskiego sądu mógłby wpłynąć na decyzję o zwrocie obrazu spadkobiercom Goudstikka. Dzisiaj w Polsce rządzonej przez PiS nie tylko trudniej o prawomocny wyrok, ale też liczba polskich strat wojennych pęcznieje z roku na rok dzięki zaginionym dziełom z niemieckich zbiorów muzealnych z terenów ziem zachodnich. Zaś wspomniany raport Mularczyka dotyczący wszystkich szkód i strat poniesionych w kraju podczas okupacji hitlerowskiej szacuje straty ruchomych dóbr kultury i dzieł sztuki na wziętą z sfitu sumę 19 mld 313 mln zł. Słowem, wartość artystyczna i materialna zagrabionych przez Niemców na terenie Polski dzieł sztuki przybliżyła nas coraz bardziej do Luwru!

I tylko jak niezrozumiałe memento brzmi w tym kontekście uwaga paryskiego antykwariusza Hatuchela, który mówiąc o książce Kanta sprzedanej przezeń kancelarii francuskiego prezydenta, wykluczył jej pochodzenie z grabieży hitlerowskiej i podkreślił, że „będąc wyznania mojżeszowego, jest na to wyczulony”. Znajdujące się w polskich zbiorach dzieła zrabowane w okresie panowania nazistów polskim, niemieckim czy holenderskim Żydom przynajmniej oficjalnie nie budzą żadnych wątpliwości – są nasze i basta. ●

ZAMORSKIM DIABŁŁOM DZIĘKUJEMY



FOT. ANDY WONG/AP

Korei Południowej skasowały turystów, Norwegom łososie, Australii kasze, mięso i wino, Kanadyjczyków po prostu aresztowały.

Z **ORVILLE'EM SCHELLEM*** ROZMAWIA
IRENA GRUDZIŃSKA-GROSS

Coś niezwykłego zdarzyło się w Chinach w ostatni weekend listopada.

– I prawie niewyobrażalnego dla tych, którzy się Chinami zajmują. Po tylu latach przywództwa Xi Jinpinga, który skutecznie odnowił aparat Komunistycznej Partii Chin jako wszechobecnej siły i sieci w całym kraju, wszelka opozycja została zniszczona. Dodatkowa kontrola wyrosła ze strachu, jaki w Xi Jinpingu wzbudził COVID, stąd jego drakońska polityka „zero COVID-u”. Przy najmniejszym nawet ognisku infekcji zamyka się całe miasta, wsie, fabryki. Ludzie zaczęli się temu przeciwstawiać.

Czy to strach przed COVID-em spowodował reakcję Xi, czy też był to pretekst do zwiększenia kontroli nad społeczeństwem?

– Xi jest wśród chińskich przywódców dość nietypową postacią. Jego ojciec i rodzina byli prześladowani podczas rewolucji kulturalnej. On sam został wtedy zesłany do bardzo biednej części Chin. Mimo to właśnie ideologia Mao całkowicie go uformowała. To wtedy przyswoił sobie polityczne sposoby zachowania, nauczył się, jak się poruszać w świecie, jak przeżyć, a nawet zwyciężyć.

A teraz, po dekadach otwarcia i reform zaczętych przez Deng Xiaopinga, kiedy świat żył nadzieją, że Chiny będą uczestni-

czyć na poważnie w globalnej wspólnocie, Xi cofa ten proces. Widzi Chiny w konflikcie z USA, z amerykańską demokracją i Zachodem, cofa je do stanu maoistowskiej autarkii.

Do tego wybuchła pandemia.

– I początkowo wydawało się, że Xi dobrze ją zwalcza. Polityka „zero COVID-u” wyglądała na bardziej skuteczną, niż to, co robił Zachód. Fabryki były odcięte, otoczone kordonem, tak że robotnicy nie mogli wracać do domu. To sprawiało, że nadal funkcjonowały. Łańcuchy dostaw działały.

A Zachód był jakby w rozpaczce, bo nie mieliśmy tak spójnej i zorganizowanej polityki. Ale teraz widzimy, że zachodnia dezorganizacja wytworzyła zbiorową odporność i pozwoliła na powrót do regularnego życia w mniej uciążliwy sposób.

Ale czy w Chinach nie umarło proporcjonalnie mniej ludzi niż na Zachodzie?

– Tak, ale teraz widzimy coraz większe ogniska choroby. To podważa opowieść o skutecznym zarządzaniu pandemią i klęsce Zachodu, gdzie miało być mało szpilek i dużo śmierci.

W Chinach nie szczepiono ludzi, szczególnie starych, jeśli tego nie chcieli. A chińskie szczepionki były mniej skuteczne przeciw przyszłym odmianom wirusa. Zarządzanie pandemią polegało głównie na kontroli. Chiny mają teraz ludność bez zbiorowej odporności. A ponieważ rząd ciągle jeszcze usiłuje zamykać fabryki, całe rejony czy miasta, ludzie doszli do granic wytrzymałości.

Czy to znaczy, że w obliczu możliwej katastrofy zdrowotnej izolacja stała się teraz niezbędna?

– Tak. Opowieść o sukcesie przemieniła się w polityczną klęskę. Ludzie w białych kombinazonach, ci, którzy robią testy na COVID

i szczepią, kojarzą się teraz z policją i przemocowym państwem. To oni biją tych, którzy chcą się wyrwać z fabryk albo wyjść z domu.

Ten gniew zaczął się łączyć z ogromną liczbą innych problemów. Xi coraz to zwiększał kontrolę nad uniwersytetami, środkami przekazu, podróżami, kulturą. Ludzie są odcięci od pracy, od rodziny, nie mogą pójść do sklepu, zaczynają więc protestować przeciw państwu.

Pandemia pozwoliła Xi na rozwinięcie systemu kontroli, jakiego jeszcze nie było w historii świata. I system ten nie skończy się z końcem pandemii. Ale zantagonizował ludność i wybuchy gniewu są związane i z pandemią, i z sytuacją polityczną.

Jakie mogą być skutki tego kryzysu, jeśli chodzi o współpracę między Chinami a USA i Europą?

– Przez wiele dekad gospodarka globalna zdawała się sprzyjać wszystkim stronom. Dopóki działało „zaangażowanie” z Chinami, dopóty myśleliśmy, że zleją się ze światowym rynkiem i innymi systemami politycznymi. Wiedzieliśmy, że nie zmienią się z dnia na dzień i całkowicie, ale jeśli chodziło o rozwój globalny, kierunek i szybkość zmian były wystarczające. Wiedzieliśmy także, że oznaczało to wzrost naszego uzależnienia od Chin, ale dopóki były na stawione przyjacielsko, nie uważaliśmy tego za groźne.

Globalizacja nas nawzajem uzależniła. Stany uzależniły się od Chin, zwłaszcza w sektorze produkcyjnym i w niektórych dziedzinach technologii, takich jak sztuczna inteligencja, 5G czy mikroczipy.

Kiedyś wszystko to było projektowane i produkowane w USA. Ale produkcja jest tańsza gdzie indziej, a firmy nie chcą trzymać drogich zapasów. Teraz zależymy od Chin w łańcuchach dostaw czegoś tak ważnego, jak metale ziem rzadkich, substan-

cje składowe leków, niektóre rodzaje mikroprocesorów, paneli słonecznych.

Ale polityka zagraniczna, którą zaczął prowadzić Xi, antagonizowała kraj po kraju. Zaczęło się za prezydentury Trumpa, gdy USA dostarczyły Korei Południowej system pocisków THAAD, by mogła się bronić przed pociskami Korei Północnej. Chiny się sprzeciwiły, bo chroniło to Koreę Południową także przed pociskami chińskimi. Pekin ją ukarał. Wielkie koreańskie sklepy w Chinach zamknął, skasował całą wymianę kulturalną, ogromny ruch turystyczny z Chin do Korei został przerwany.

Chińska polityka stała się konfrontacyjna i odwetowa. Teraz, gdy Chiny są silne i bogate, każda zniewaga, nawet najdrobniejsza, musi zostać ukarana.

Po Korei poszło uderzenie w Kanadę, gdy została tam aresztowana Meng Wanzhou, córka właściciela Huawei. W odwecie Chiny aresztowały dwóch Kanadyjczyków, którzy wrócili dopiero po prawie dwóch latach. Potem przyszła kolej na Norwegów. Gdy Liu Xiaobo [czołowy dysydent] dostał pokojowego Nobla w 2010 r., zatrzymano import łososia z Norwegii. Następnie dostało się Australii, która chciała śledztwa w sprawie pochodzenia wirusa z Wuhanu. Chiny uderzyły rezygnacją z importu kasz, ryb, mięs i wina. Ukarane zostały także Czechy, Litwa. Chiny zakazały wstępu niektórym członkom europarlamentu.

Tego raczej nie można nazwać dyplomacją.

– Skutki były przeciwne do zamierzonych. Chiny zaczęły się też zachowywać wojowniczo w rejonie Morza Południowochińskiego i Wschodniocińskiego. To miało początek jeszcze przed erą Xi, ale on zaostrzył tę politykę, zawłaszczając całe Morze Południowochińskie, a to wtedy biegną najczęściej używane morskie trasy przewozowe. Na-

stępny atak skierowano na Hongkong. Chi-ny przejęły go i zdusiły wolne media, wolne wybory i prawa człowieka.

Teraz Xi zaostrzył i tak wojownicze sta-nowisko Chin wobec Tajwanu deklaracja-mi, że „raczej wcześniej niż później” musi wrócić do Chin.

Ten huragan żądań terytorialnych do-tyczy dużej liczby krajów, od Wietnamu po Malezję, Brunei i Filipiny. Chiny stały się tak agresywne, że Waszyngton, a teraz i Europa zrozumiały, że może dojść do konfliktu mi-litarnego.

Kiedy to napięcie się zaczęło?

– Początki sięgają okresu przed dojściem Xi do władzy, ale napięcie wokół Morza Połu-dniowochińskiego wzrasta od 2012-13 r. Mi-mo obietnic złożonych Obamie, że wyspy na tym morzu nie zostaną zmilitaryzowa-ne, Xi tego dokonał.

Agresywność Xi i wzmożenie „technoau-tokracji” zmusiło Amerykę, ale też inne rzą-dy – Kanady, Australii, krajów Europy, Ko-

Xi obchodzi, jak Chiny są widziane w świecie?

– Xi chce samodzielności Chin, ale też pra-cuje nad uzależnieniem zagranicznych firm, przez które będzie miał wpływ na rzą-dy ich krajów. Wydaje majątek na Inicjaty-wę Pasa i Szlaku, która ma związać z China-mi kraje globalnego Południa. Chodzi o po-parcie Chin w ONZ i w tysiącach sporów z państwami demokratycznymi.

Ostatnio Xi zajmuje się także świato-wymi bankami. Potężnym bankom przy-znaje specjalne prawa w Chinach, pozwa-la na założenie osobnych jednostek finanso-wych, administrowanie pieniędzmi i inwe-stowanie.

Jednak nawet w przypadku Elona Mu-ska, który zbil fortunę w Chinach na fabry-kach Tesli, trudno sobie wyobrazić kolej-ne sukcesy. Bo Chiny chcą rozwinąć wła-sną produkcję samochodów elektrycznych i Muska już nie potrzebują. Nie widzą te-go tylko niektóre firmy, np. niemiecki prze-mysł samochodowy.

I Xi Jinping, i Putin czują się niepoważani, zmarginalizowani i upokarzani przez Zachód. Obaj łakną szacunku

Jeśli światowe firmy będą czekały, aż Chiny napadną na Tajwan, tak jak Putin na Ukrainę, będzie już za późno

rei, Japonii, Indii – do pytań, czy chcemy za-leżeć od Chin w dostawach surowców mi-neralnych, litu, kobaltu i niektórych mikro-czipów.

Dlatego Stany mają teraz CHIPS and Science Act, prawo, które zakazuje osobom z paszportem amerykańskim albo zieloną kartą pracować w niektórych chińskich fir-mach technologicznych. Boimy się, że tą drogą trafi do Chin nasza własność intelek-tualna.

Xi zaczyna właśnie trzecią kadencję.

– Mao był „przewodniczącym” aż do śmier-ci. Kiedy Deng doszedł do władzy, porzu-cił ten tytuł i zarządził, że funkcję przewod-niczącego partii można sprawować tyl-ko przez dwie pięcioletnie kadencje. Ale Xi zmienił tę zasadę i teraz można być I sekre-tarzem partii i przewodniczącym ChRL, choć ten drugi tytuł jest tylko dekoracyjny, przez więcej niż dwie kadencje.

Na początku pierwszej kadencji Xi, w la-tach 2012-13, wiele osób, ja także, myślało, że ponieważ jego ojciec był prześladowa-nym rewolucjonistą. Xi okaże się reforma-torem takim jak Deng. Tak się nie stało.

Czy chińska „technoautokracja” może być nazwana systemem komunistycz-nym?

– Mao był komunistą, bo wierzył w walkę klas i dążył do obalenia burżuazji. Xi jest le-ninistą. Jego celem jest wyrównanie nie-równości w Chinach, ale głównie obchodzi go państwo, jego bogactwo i siła. Partia jest dla niego podporą państwa.

Gdy w latach 80. Deng doszedł do wła-dzy, stopniowo obniżała się rola KPCh. Par-tia została wycofana z przedsiębiorstw pań-stwowych. Xi ogłosił: „Partia prowadzi we wszystkim”. Znow wprowadził ją do insty-tucji zarówno państwowych, jak i prywat-nych.

Wysoce zdyscyplinowana, nie tylko rzą-dzi w kraju i kontroluje wszystko, ale też dzięki Zjednoczonemu Fontowi wpływa na to, co się dzieje w świecie. Wsparty wiel-kimi funduszami i pomocą instytucjonal-ną Zjednoczony Front używa zagranicz-nych mediów, Instytutów Konfucjusza, wy-miany kulturalnej, uniwersytetów, filantro-pii, organizacji pozarządowych, by wpływać na to, jak Chiny są postrzegane z zewnątrz. Jedno z jego hasel brzmi: „Historia Chin ma być dobrze opowiedziana”.

Z powodu apetytów terytorialnych Putin napadł na Ukrainę. To powinno wystarczyć wszystkim liderom przemysłu. Jeśli świato-we firmy będą czekały, aż Chiny napadną na Tajwan, będzie za późno i mogą wszystko stracić. Niektórzy korporacyjni szefowie nie mogą uwierzyć, że era „zaangażowania” już się skończyła i że Chiny mogą znaleźć się w konflikcie z USA.

Co wiemy o postawie Chin wobec wojny w Ukrainie?

– Gdy w lutym odbywała się olimpiada zi-mowa w Pekinie, Putin pojechał do Chin i spotkał się z Xi, było tych spotkań w sumie już ponad 30! Powiedział wtedy, że ich przy-mierze nie ma granic. I prawdopodobnie także, że planuje wejście do Ukrainy, ale to potrwa tydzień i skończy się dobrze.

Xi prawdopodobnie pomyślał: „Decyzja należy do ciebie”. Ale Chiny to kraj mocno oddany idei suwerenności narodowej, a Pu-tin najechał na suwerenne państwo, w któ-rym Chiny mają ambasadę. Myślę, że Xi nie był zadowolony, ale nic nie mógł zrobić.

Xi ma wiele wspólnego z Putinem. Obaj zanurzeni są w polityce resentymentu wo-bec Zachodu. Obaj uważają, że ich autokra-cje są zagrożone przez demokratyczny so-jusz zachodni, który tworzą także Japonia, Korea Południowa czy Australia. Obaj czu-ją się nieszanowani, niepoważani i zmargi-nalizowani.

Obaj łakną szacunku, ale robią wszystko, by ich nie szanować. Ponieważ obaj czują się upokorzeni, nie mogą zaakceptować na-wet najmniejszej oznaki słabości. A to czyni zmianę kursu właściwie niemożliwą.

To źle wróży Ukrainie.

– Putin jest niezdolny do przyznania się do błędu ani do jakiegokolwiek ustępstwa. Boi się okazać słabość albo sprawić wrażenie, że nie doprowadził sprawy do końca. Wojna będzie prawdopodobnie trwała, dopóki on żyje. Xi myśli i postępuje podobnie. ●

***Orville Schell** – ur. w 1940 r., amerykański pisarz i akademik. Specjalista od Chin, autor licznych książek na ich temat. Był dziekanem szkoły dziennikarskiej na Uniwersytecie Kali-fornijskim w Berkeley
Cały wywiad: [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)



***Bertolt Brecht**
– 1898-1956, nie-miecki dramatopi-sarz, poeta, reżyser. W latach 1924-26 działał w Deutsches Theater w Berlinie, w latach 1933-47 na emigracji (m.in. Dania, ZSRR, USA). W 1949 r. założył w NRD, wraz z żoną Heleną Weigel, teatr Berliner Ensem-ble. Jego sztuki to m.in.: „Opera za trzy grosze”, „Życie Galileusza”, „Matka Courage i jej dzieci” i „Kariera Artura Ui”. Utwór za: Brecht, „Elegie bukowski e i inne wiersze”, wybór i tłumaczenie Ryszard Krynicki, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5 pod jego redakcją, tom 116, Kraków 2022

WERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Bertolt Brecht*

Niezbędność propagandy

1
Być może nie wszystko w naszym kraju idzie tak, jak powinno. Ale nikt nie wątpi, że propaganda jest dobra. Nawet głodni muszą przyznać, Że minister aprowizacji dobrze mówi.

2
Tego samego dnia, w którym z nakazu reżymu Zabito tysiące ludzi bez śledztwa i wyroku sądu, Minister propagandy w przemówieniu z takim mistrzostwem Wychwalał niezmierną cierpliwość führera, Który jakże długo odkładał rzeż I na domiar obsypywał tych łajdaków dobrami i zaszczytami, Że płakali nie tylko krewni ofiar Ale i sami oprawcy.

3
A kiedy największy sterowiec Rzeszy Spłonął, bo wypełniono go gazem palnym Niepalne oszczędzając na cele wojenne Minister żeglugi powietrznej przyrzekł nad trumnami, Że nic nie potrafi go zrazić, co wywołało Głośny pokłask. Podobno nawet z trumien Dochodziło klaskanie.

4
A jak mistrzowska jest propaganda Zbierania makulatury i książek führera. Każdy doprowadzony został do tego, że zbiera książki führera Gdziekolwiek je znajdzie. Nawet straszliwy Göring, by rozpropagować zbieranie szmat Ogłosił się największym szmaciarzem wszech czasów, I, żeby się pomieściły, kazał w środku stolicy Rzeszy Zbudować pałac Tak wielki jak miasto.

5
Dobry propagandysta Z kupy gnoju robi letnisko. Jeśli zabraknie masła udowodni Że smukła talia każdego upieksza. Przemawiając o autostradach Sprawí tyle radości tysiącom, jakby sami mieli już auta. Na grobach poległych i umarłych z głodu Posadzi krzaczki wawrzynu. Póki się da Będzie mówił o pokoju, choćby tuż obok przeciagano armaty.

6
Tylko dzięki znakomitej propagandzie udało się Przekonać miliony, Że rozbudowa sił zbrojnych jest dziełem pokoju Każdy nowy czołg to gołąbek pokoju A każdy nowy pułk to nowy dowód Umiłowania pokoju.

7
Lecz chociaż dobre przemówienia potrafią tak wiele To nie potrafią wszystkiego. Daje się już Słyszeć, jak niektórzy mówią: szkoda, Że samo słowo mięso jeszcze nie syci, i szkoda, Że samo słowo ubranie tak niewiele daje ciepła. Kiedy minister planowania wychwala nową szlachetną przedzę Nie powinno padać, bo Jego słuchacze stoją w samych koszulach.

8
I jeszcze jedno, co wzbudza nieco wątpliwości W sens propagandy: im więcej w naszym kraju jest propagandy Tym mniej jest wszystkiego innego.

NIE BADASZ SIĘ, NIE IDE Z TOBĄ DO ŁÓŻKA



• Rok 1987, pierwszy Marsz AIDS w Waszyngtonie
FOT. ALAMY/BE&W

Dziś osoba zakażona HIV, która przyjmuje leki, może żyć tyle, ile żyłaby, gdyby nie była zakażona. I uprawiać seks. Ale Polacy nie robią testów i przychodzą do nas już z pełnoobjawowym AIDS.

Z DR N. MED. **JOANNA KUBICKA**, LEKARKA, KTÓRA OD PRAWIE 30 LAT OPIEKUJE SIĘ PACJENTAMI ZAKAŻONYMI HIV, ROZMAWIA **DAMIAN MALISZEWSKI**

Pamięta pani listopad 1991 r., śmierć Freddiego Mercury’ego i szum medialny związany z tym, że zmarł na AIDS?

– Pamiętam, kończyłam wtedy studia medyczne. Od pierwszego roku uczyłam się o AIDS i HIV, temat nie był dla mnie nowy. Już wtedy, pod koniec lat 80., wiedziałam, że osobom zakażonym HIV podaje się pierwsze leki antyretrowirusowe.

Myślałam, że terapia antyretrowirusowa (ARV) została wynaleziona w 1996 r. Dlaczego w takim razie Mercury zmarł?

– Produkcję azydotymidyny, pierwszego leku na HIV, rozpoczęto w 1987 r., ale okazało się, że samodzielnie stosowana jest nieskuteczna przez szybko rozwijającą się lekooporność. Dopiero dziewięć lat później zastosowano kombinację trzech leków, HAART (highly active antiretroviral therapy), i ta terapia okazała się wystarczająca.

Przypomina sobie pani pierwszego pacjenta, którego leczyła na HIV?

– W 1995 r. pracowałam na oddziale obserwacyjno-zakaźnym w kieleckim szpitalu i równolegle w kieleckim areszcie śledczym. Tam miałam kilku pacjentów zakażonych HIV i to właśnie im pierwszym wdrażałam leki antyretrowirusowe.

Ale skuteczna terapia pojawiła się później. Czy przygotowywała pani wtedy pacjentów na śmierć?

– Każda rozmowa z pacjentem musi mu dawać nadzieję, więc dawałam ją nawet wtedy, gdy rokowania nie były najlepsze. Teraz mamy zupełnie inną sytuację. Wtedy bezradnie patrzyliśmy, jak ludzie cierpią i umierają, teraz patrzymy, jak cieszą się życiem, tworzą szczęśliwe związki, podróżują, płodzą i rodzą dzieci. Od 26 lat możemy ich skutecznie leczyć. Te zmiany są spektakularne, bo na początku lat 90. próbowaliśmy ratować ludzkie życie, w związku z czym na działania uboczne leków przyrządzaliśmy oko. Teraz mamy leki, które nawet jeśli dają jakieś powikłania, to nad nimi panujemy. Wedle najnowszych badań szacuje się, że osoba zakażona HIV, która przyjmuje leki, może żyć tyle samo, ile żyłaby, gdyby nie była zakażona.

Ale statystyki pokazują, że ludzie wciąż umierają na AIDS.

– W Polsce wynika to przede wszystkim z zaniedbań. Polacy się nie badają, nie robią testów na HIV i bywa, że przychodzą do nas już z pełnoobjawowym AIDS. Są też tacy, którzy wiedzą, że są zakażeni HIV, ale nie chcą się leczyć. I takie osoby również prędzej czy później zachorują na AIDS.

To, że w 2022 r. HIV nie zabija, bo można go skutecznie uśpić w organizmie człowieka, nie oznacza, że nie jest groźny. Należy pamiętać, że nadal to wirus, na który nie ma leku, który by go unicestwił.

Mimo skutecznych terapii i zminimalizowanych skutków ubocznych leczenia odkrywamy, że osoby zakażone i leczone ARV są bardziej narażone na choroby układu sercowo-naczyniowego, takie jak zawały czy udary. Częściej też chorują na nerki. Musimy się dowiedzieć, dlaczego tak jest, by ryzyko wystąpienia zawału lub udaru było minimalne. Wirus mutuje. Gdyby go zantropomorfizować, to w latach 80. i 90., gdy nie było skutecznego leczenia, wirusowi zależało na tym, żeby pacjent żył jak najdłużej i zakażał kolejne osoby. Teraz, kiedy się zorientował, że istnieją walczące z nim leki, zaczął mutować. Obserwujemy, że tuż po zakażeniu, a jeszcze przed wdrożeniem leczenia wirusa we krwi pacjenta jest dużo więcej niż u pacjentów z lat 90. Każdemu żywemu organizmowi zależy, żeby przetrwać. HIV też o to walczy, a my walczymy z HIV. To trudna walka, ale myślę, że niebawem wygramy.

Kiedy?

– Dziesięć lat temu na konferencjach o HIV i AIDS zadawaliśmy sobie pytanie, czy jest możliwe wyeliminowanie HIV z organizmu. Teraz już pytamy, kiedy to nastąpi. I pojawiły się obiecujące badania. Polegają na wycinaniu wirusowego DNA z komórek. Badania przeprowadzono na myszach i dały dobre rezultaty. W 2020 r. miały się rozpocząć testy kliniczne na ludziach, ale plany pokrzyżowała pandemia koronawirusa. Pierwsze doświadczenia odbywają się już w amerykańskich laboratoriach. To trudne, bo gdy dokonujemy ingerencji w nasz genotyp, musimy mieć dłuższe obserwacje, żeby wiedzieć, że poza wycięciem z DNA materiału genetycznego przypisanego do wirusa HIV nie uszkodziliśmy czegoś innego.

A gdyby jednak miała się pani pokusić o wskazanie daty wynalezienia leku?

– Intuicyjnie szacuję, że za pięć do dziesięciu lat będziemy mieli taki lek albo metodę leczenia. Niewykluczone, że ta metoda już istnieje, o czym wspominałam przed chwilą, ale potrzebne są badania kliniczne i wnikliwa obserwacja pacjentów.

W latach 80. i na początku lat 90. osobom zakażonym nie chciano podawać rąk. Lekarze zamykali chorych na AIDS w izolatkach. Wchodzili tam w maseczkach, gumowych rękawiczkach. Pacjentom dawano jednorazowe sztućce i talerze, które później palono w piecu. Pani też się tak wtedy bała?

– Dorastałam medycznie z HIV i było mi łatwiej. To jest trochę jak z COVID. Każdy lekarz słyszał i wie, że istnieje, ale nie każdy jest na bieżąco z aktualnymi badaniami. I mamy postawy od skrajnej nieodpowiedzialności, w stylu „nic mi nie będzie”, po paraliżujący, irracjonalny strach. Pamiętam ginekolożkę, która nie chciała zbadać pacjentki z WZW typu C i wytarła kławkę, gdy pacjentka wyszła z gabinetu. Podobnie było wtedy z HIV. Brak wiedzy, brak chęci aktualizowania wiedzy. To odbijało się na pacjentach, którzy czuli się jak trędowaci.

Ale jednak lata 80. zdemonizowały HIV, co pokutuje do teraz, a przecież nie tylko HIV można się zakażać podczas seksu.

– Otóż to. Podejmując aktywność seksualną z kimś, kogo nie znamy, powinniśmy wiedzieć, że może nas zakażać nie tylko HIV, ale też WZW B, WZW C, chłamydią, rzeżączką, kiłą czy wirusem brodawczaka ludzkiego. Może na nas przenieść swoje lekooporne bakterie, np. *Escherichia coli* ESBL, która wydaje się zwykłą bakterią, ale daje przewlekłe zapalenia dróg moczowych. W tej chwili jest tak lekooporna, że nie da się jej wyleczyć. Dlatego przed podjęciem jakiej-

kolwiek aktywności seksualnej powinniśmy się zastanowić, czy zrobiliśmy wszystko dla zdrowia swojego i naszego partnera.

Co możemy zrobić?

– Zaszczepić się na WZW A i B, przeciw HPV, czyli wirusowi brodawczaka ludzkiego. Jego rakotwórcze typy odpowiadają za rozwój raka szyjki macicy, raka głowy, szyi, odbytnicy czy narządów płciowych. Wreszcie możemy zabezpieczyć się przed HIV, przyjmując PrEP (przedekspozycyjną profilaktykę zakażenia HIV), szczepionkę w tabletkach, i to jest wielki sukces medycyny...

Rok temu zaszczepiłem się na HPV i wydałem ponad 1500 zł na trzy dawki, przyzna pani, że to spory wydatek.

– Uważam, że i tak mało pan zapłacił. Te szczepionki bywają dużo droższe. Gdyby zachorował pan np. na raka narządów płciowych wywołanego brodawczakiem, koszty leczenia zwiększyłyby się nieporównywalnie, nie mówiąc o skutkach dla pańskiego zdrowia.

Ale jak przekonać ludzi, którzy nie mają pieniędzy, że profilaktyka im się opłaca?

– Kupujemy na raty telewizory, samochody – może powinniśmy ratalnie inwestować w szczepienia i kontrolne badania? Finałnie chorowanie przecież wychodzi drożej.

Co jeszcze możemy zrobić dla siebie i partnera?

– Drugim etapem przy podejmowaniu decyzji o rozpoczęciu współżycia jest rozmowa z osobą, z którą planujemy to zrobić. Zbudowanie zaufania, pokazanie sobie wzajemnie wyników testów na choroby przenoszone drogą płciową i ustalenie, co będziemy w ramach gry seksualnej robić.

A gdzie miejsce na spontaniczność? Brzmi okropnie, jak kontrakt.

– Spontaniczność często kończy się zakażeniami. Na spontaniczność można sobie pozwalać ze stałym partnerem/partnerką. Jeśli jest to nowo poznana osoba, dobrze jest ustalić przed seksem, czy będzie to tylko wzajemna masturbacja, czy już penetracja, bo jeśli penetracja, to pojawia się kwestia zabezpieczenia. Nieuszkodzona prezerwatywa zabezpiecza przed HIV, WZW C, kiłą i z dużym prawdopodobieństwem wirusem brodawczaka, ale już gorzej z zabezpieczeniem przed bakteriami: rzeżączką, chłamydią, ureaplasma, mykoplasma czy *Escherichia coli*.

Jak pani słucham, odnoszę wrażenie, że człowiek to tykająca bomba, której lepiej nie dotykać.

– No trochę tak jest. Życie seksualne związane jest z bliskim kontaktem z drugim człowiekiem, który ma w sobie bakterie, wirusy, grzyby, pasożyty i każdy kontakt seksualny, poczynając od erotycznego pocałunku, jest wymianą mikroflory.

Czy to znaczy, że ludzie w trakcie seksu mają myśleć o chorobach wenerycznych? To zabija radość i romantyzm.

– Dlatego sugeruję, żeby wszelkie kwestie, o których rozmawiamy, wyjaśnić przed współżyciem. To się opłaca obu stronom.

Znalazłem pierwszy plakat edukacyjny na temat HIV i AIDS w Polsce opublikowany w 1988 r. w tygodniu „Na Przelaj”. Na jednym z obrazków autor plakatu ostrzeża, żeby z osobą zakażoną HIV się nie całować. Wie pani, kto jest autorem?

– Nie mam pojęcia...

Mariusz Szczygiel, reporter. Pamięta pani tamte czasy, gdy ostrzegano przed pocałunkami z osobą zakażoną HIV?

– Oczywiście. Pan Mariusz Szczygiel napisał to, co wiedzieli wtedy lekarze, a wiedzieliśmy niewiele. To i tak niezwykle, że w tamtych czasach miał odwagę taki plakat zaprojektować. AIDS było strasznie stygmatyzowane. Sama w szkołach na spotkaniach z młodymi ludźmi w 1991 r. mówiłam, że

erotyczne pocałunki są niebezpieczne. Dziś ślina nie jest traktowana jako materiał zakaźny, podobnie jak pot, kał i łzy. Istnieje oczywiście pewne ryzyko, jeśli stosujemy praktyki sado-masochistyczne i dopuszczamy do sytuacji ekstremalnych, gdzie pojawiają się głębokie rany w jamie ustnej i dochodzi do wymiany krwi partnerów, ale ta krew musiałaby się pojawić w sporych ilościach.

To może inaczej: czy zna pani przypadek zakażenia HIV przez pocałunek?

– Nie znam żadnego zarejestrowanego. Podkreślam stanowczo, ślina nie jest materiałem zakaźnym.

Wspomniała pani o PrEP. W swojej klinice ma pani wielu pacjentów, którzy chcą się zabezpieczyć w ten sposób przed HIV?

– Coraz więcej. PrEP w Polsce wprowadzaliśmy pod koniec 2018 r. Wtedy miałam kilku nowych pacjentów miesięcznie, teraz jest ich kilkudziesięciu.

Może wyjaśnijmy, czym jest PrEP.

– To kombinacja emtrycytabiny i tenofowiru zawartych w jednej tabletkce. Substancje te nie dopuszczają do zakażenia się HIV, nawet w przypadku kontaktu seksualnego z osobą zakażoną, która się nie leczy i ma w organizmie sporo wirusa. Jeśli preparat przyjmowany jest regularnie, ryzyko zakażenia zmniejsza się niemalże do zera.

Ile kosztuje miesięczna kuracja?

– Miesięcznie od 130 do 150 zł.

Mówi się, że osoby przyjmujące PrEP przestały korzystać z prezerwatyw, bo nie boją się HIV, ale w związku z tym zwiększyła się w Polsce liczba zakażeń rzeżączką, kiłą i chłamydią.

– Statystyki jasno pokazują, że tych zakażeń jest rzeczywiście więcej, natomiast trudno ocenić, czy coś się zwiększyło, bo badamy to częściej, czy może odpowiedzialny jest PrEP, bo wysłał stosującym go osobom mylny sygnał, że teraz już im nic nie grozi. W moim odczuciu to kwestia diagnostyki.

Czym grozi zakażenie się rzeżączką i chłamydią? Pytałem kilku moich znajomych, wszyscy w okolicach pięćdziesiątki, nigdy nie słyszeli o chłamydii...

– Rzeżączka daje niepłodność u mężczyzn, przewlekłe zapalenia dróg moczowo-płciowych, niedrożność jajowodów u kobiet. Zapalenia jąder, najdrzy, prostaty, wreszcie może dawać zapalenia stawów. Chłamydia u kobiet często jest bezobjawowa, a daje poronienia we wczesnych fazach ciąży. Kobiety, które planują prokreację, powinny być badane w kierunku zakażeń chłamydią. Może też dawać niespecyficzne zapalenia jelit, reaktywne zapalenia stawów. Ostatnio miałam kilku pacjentów, którzy z powodu powikłań po zakażeniu chłamydią, jakim było reaktywne zapalenie stawów, nie mogli chodzić przez kilka miesięcy. Dopiero długotrwała antybiotykoterapia i leki wspomagające pozwalały na przywrócenie tych ludzi do normalnego funkcjonowania. A byli to osoby bardzo młode.

To może celibat nie jest takim złym rozwiązaniem?

– Ciepło, dotyk, przytulenie drugiego człowieka i wreszcie seks powodują, że ludzie są zdrowsi. Osoby, które mają regularne życie seksualne, żyją dłużej. Potwierdzają to badania. Seksem należy się cieszyć, ale z głową. Myślę, że te rzeżączki, chłamydie i kiły, które wykrywamy w ostatnim czasie masowo, wynikają z tego, że wraz z wprowadzeniem PrEP pojawiły się miejsca, gdzie można zrobić badania. Czyli badają już nie tylko oddziały wenerologiczne, gdy ktoś trafia tam z objawami, ale inne kliniki też oferują pełną diagnostykę infekcji przenoszonych drogą płciową. A nierzadko jest tak, że przychodzi do mnie pacjent, mówi, że chciałby zacząć stosować PrEP, nie ma żadnych objawów, twierdzi, że jest zdrowy, ba-

damy go i okazuje się, że ma bezobjawową rzeżączkę, kiłę albo chłamydię. Może stąd to zwiększenie statystyk?

Wygrała pani w plebiscycie Lekarz na Plus. Internauci zdecydowali, że jest pani lekarką wyjątkowo przyjazną osobom żyjącym z HIV. Była pani zaskoczona?

– Bardzo! Lekarzy pracujących i przyjaznych osobom żyjącym z HIV jest przecież wielu, choćby w szpitalu przy Wolskiej w Warszawie, gdzie pracuję. Mamy tam świetnych specjalistów. Niemniej to miłe wyróżnienie. Lubię ludzi, swój zawód i nigdy nie dzieliłam pacjentów ze względu na płeć, kolor skóry, wyznanie czy orientację seksualną.

Jednak większość pani pacjentów to geje.

– Tak było do kwietnia tego roku – wśród mężczyzn mających kontakty z mężczyznami tych zakażeń było najwięcej. Zakażone nasienie mające kontakt ze służówką odbytu stanowi większe zagrożenie niż to samo nasienie mające kontakt ze służówką pochwy. Mówiąc o mężczyznach mających kontakty seksualne z mężczyznami, trzeba pamiętać, że są w tej grupie również mężczyźni biseksualni. Po wybuchu wojny pojawiło się sporo pacjentek i pacjentów z Ukrainy, w której główną drogą rozprzestrzeniania HIV są kontakty heteroseksualne. Zatem obecnie mam coraz więcej pacjentek.

Kupujemy na raty telewizory, pralki, samochody – może powinniśmy ratalnie inwestować w szczepienia i badania kontrolne?
Finalnie chorowanie przecież wychodzi drożej

A co z mitem, że HIV zakażają się geje?

– W krajach afrykańskich, gdzie zakażonych HIV jest najwięcej na świecie, a główną drogą zakażenia są kontakty heteroseksualne, zakażonych kobiet jest tyle samo, ilu mężczyzn. W Afryce Wschodniej i Południowej już ponad jedna trzecia dziewcząt jest zakażona HIV... To jedno, a drugie: w społeczności LGBT+ świadomość dotycząca infekcji przenoszonych drogą płciową jest wyższa. Osoby LGBT+ regularnie się testują, więc czasami wykrywamy zakażenia. Wśród osób heteroseksualnych odsetek wykonujących testy jest mniejszy, więc wiele osób nie ma świadomości, że są zakażone, a jak się nie wie o zakażeniu, to zakaża się swoich partnerów seksualnych.

Czy osoba z HIV, która przyjmuje leki, zakaża?

– Jeżeli przyjmuje leki regularnie, czyli ponad 95 proc. dawek, i namnażanie się HIV w jej organizmie jest zahamowane, co możemy potwierdzić badaniami krwi, taka osoba nie może zakazić HIV nikogo w kontaktach seksualnych. Jest to potwierdzone dwoma dużymi badaniami, PARTNER1 i PARTNER2, przeprowadzonymi w 14 krajach europejskich. Na ponad 130 tys. stosunków seksualnych w parach, gdzie jeden partner był dodatni, drugi ujemny i nie stosowano prezerwatyw, nie ma ani jednego przypadku zakażenia się wirusem. Niewykrywalny równa się niezakaźny.

Co to znaczy niewykrywalny?

– Celem terapii jest obniżenie poziomu wirusa z nawet milionów kopii na centymetr sześcienny krwi pacjenta do wartości poniżej 40 sztuk. O takiej osobie mówimy, że ma niewykrywalną wiramię, i taka osoba nie zakaża w kontaktach seksualnych.

Ale kodeks karny przewiduje karę więzienia za narażenie drugiej osoby na

zakażenie wirusem HIV. Mówi o tym art. 161 kk.

– Kodeks karny mówi o świadomym narażeniu, więc pytanie, czy leczony pacjent, który z medycznego punktu widzenia nikogo nie może zakazić, kogokolwiek naraża. Jednoznacznie zostało to określone w Kanadzie, gdzie sąd najwyższy orzekł, że ujawnienie statusu HIV przed aktywnością seksualną, nie jest wymagane, jeśli poziom wirēmii jest niski i użyto prezerwatywy. W Polsce nie mamy jeszcze takiego wyroku, więc nie wiem, jak konkretny przypadek oceniłby sąd. W takich sytuacjach zwykle sięga się po opinie biegłych. Sama jestem w gronie ekspertów, którzy tworzą rekomendacje, i myślę, że wszyscy jesteśmy zgodni, że niewykrywalny równa się niezakaźny. Uważam jednak, że powinno się mówić o zakażeniu nie dlatego, że tak stanowi prawo, ale dlatego, żeby osoba, z którą chcemy podjąć życie seksualne, się przetestowała.

Na czym taki test miałby polegać?

– W zależności od tego, jak ta osoba zareaguje, będziemy wiedzieli, co wie na temat zdrowia seksualnego. Może się okazać, że w ogóle nie myśli o konsekwencjach. W tej sytuacji odrzuca też wszystko, o czym nie wie. Taka osoba jest zatem groźna dla partnera, bo może mieć kiłę, rzeżączkę, chłamydię, wirusowe zapalenia wątroby A, B i C. Mało tego, jeśli ktoś myśli o dłuższym związku i powie na początku o swoim zakażeniu, a druga osoba go odrzuca, bo nie chce się niczego o HIV dowiedzieć, nie chce pójść do lekarza, to znaczy, że taki człowiek ucieknie przy pojawieniu się jakiegokolwiek życiowego problemu. Gdy słyszymy, że nasz potencjalny partner ma HIV, a nie mamy wiedzy, powinniśmy zadać pytanie, z czym to się dla nas wiąże. I rozmawiać, pytać, nie oceniać.

Bywa, że kogoś poznajemy, ta osoba mówi nam, że jest zdrowa, bo się niedawno badała. Później okazuje się, że czymś się zakażiliśmy.

– Wtedy trzeba pójść do lekarza.

Wie pani, że nie o to pytam.

– Często ludzie mają fałszywe przekonanie, że są zdrowi, a czasem po prostu oszukują, dlatego trzeba mieć ograniczone zaufanie.

Z mojego punktu widzenia osoba z niewykrywalną wiramię HIV jest jednym z najbardziej bezpiecznych partnerów seksualnych, bo nikogo nie zakazi HIV, jest pod stałą kontrolą lekarską, gruntownie przebadana. Mniej bezpieczna jest osoba, która mówi nam, że na pewno jest zdrowa. Samo pokazanie aktualnych badań partnerowi też nie daje gwarancji, bo testy zrobione dziś oznaczają, że taki człowiek nie był zakażony HIV sześć tygodni temu. Zatem musielibymy mieć stuprocentową pewność, że przez sześć ostatnich tygodni partner był wstrzeźmliwy seksualnie. Dlatego mówię, że pacjenci pozytywni z niewykrywalną wiramię są bezpieczniejsi, bo HIV nas nie zakażą.

Czy świadomość dotycząca bezpieczeństwa seksualnego u nas rośnie?

– Coraz częściej ludzie po otrzymaniu wyników badań proszą o kopię dla partnera albo przychodzą do mnie razem. Praktyka pokazuje, że jeśli ktoś raz zdecyduje się na taki krok, później już zawsze przychodzi przed wejściem w nową relację. Moim zdaniem jeśli ktoś proponuje partnerowi/partnerce, żeby się wspólnie przebadać, a on/ona nie chce, to wystarczający sygnał, żeby nie podejmować z takim człowiekiem życia seksualnego. A naprawdę duży problem to brak rzetelnej edukacji dla młodzieży.

Co mogłaby pani powiedzieć tym, którzy nadal boją się osób zakażonych HIV?

– Zakażonym HIV może być każdy, kto przebywa w naszym otoczeniu. Taki człowiek nam nie zagraża. Nie musimy się obawiać i wszystkich bez wyjątku powinniśmy traktować z szacunkiem, a jeśli myślimy o świadomym życiu seksualnym, przygotowujmy się do niego i rozmawiajmy. ●

KILKA SPOSOBÓW NA WYŁĄCZENIE MUSKA (I ZUCKERBERGA)



PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYKJUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

To jednocześnie fascynujące i przerażające, z jaką łatwością prawicowe trolle rozgrywają Muska.

Z **MICHAŁEM „RYŚKIEM” WOŹNIAKIEM***, SPECJALISTĄ DS. BEZPIECZEŃSTWA INFORMACJI, BYŁYM CZŁONKIEM RADY DS. CYFRYZACJI, ROZMAWIA **JAKUB KIBITLEWSKI**

Ptaszki ćwierkają, że Twitter ma kłopoty. Już nawet sam „naczelný ćwierkacz” – jak mówi o sobie Elon Musk, nowy właściciel – otwarcie przyznaje, że w ciągu roku firma może zbankrutować. A stery w niej przejął zaledwie miesiąc temu.

– Wiele zależy od tego, czy najpierw pójdą w diabły sprawy finansowe, prawne czy infrastrukturalne.

Z platformy masowo wycofuje się reklamodawcy. Firmy, takie jak Eli Lilly czy Lockheed Martin, straciły miliony w cenie akcji, bo kosztująca 8 dol. „weryfikacja” wiarygodności użytkowników, którą wprowadził Musk, otwo-

rzyła pole dla trolli podszywających się pod ich oficjalne konta. Dowcipy w stylu „darmowa insulina” sieją chaos i realnie uderzają w ich finanse, więc zaraz posypią się pozwy. Studia filmowe też za chwilę wezmą Twittera na tapet, bo system ochrony praw autorskich platformy najwyraźniej się załamał i ludzie udostępniali na Twitterze całe filmy. Pozwy wytoczyły już osoby dotknięte masowymi zwolnieniami, a po tym, jak Musk postawił pozostałym pracownikom ultimatum, każąc im przygotować się na „ekstremalnie hardcore’ową” pracę lub odejść, setki ludzi, łącznie z całym działem plac, wybrały opcję numer dwa.

Twitter jest też na cenzurowanym w amerykańskiej Federalnej Komisji Handlu (FTC). W 2020 r. włamano się na konta prominentnych osób, np. Obamy, i wykorzystano je do promocji bitcoinowych oszustw. Ruchy Muska, zwalnianie ludzi na lewo i prawo, często z pogwałceniem prawa pracy, odejście zespołu zajmującego się prawami człowieka – to wszystko ponownie zapaliło lampki alarmowe w FTC. Europejskie instytucje także zdążyły zauważyć, że źle się dzieje. Wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej i komisarz ds. konkurencji

Margrethe Vestager oceniła platformę system weryfikacji Muska jako „fundamentalnie wadliwy”.

Co się tyczy infrastruktury Twittera, jeśli wierzyć dokumentom, które wypuścił były szef bezpieczeństwa informacji Peiter „Mudge” Zatko, jest ona w bardzo złym miejscu. Wystarczy jedna większa awaria i całe usługi może się już nie dać przywrócić do stanu używalności.

To wydaje się wręcz nieprawdopodobne.

– Każda firma i organizacja mają problem z wiedzą instytucjonalną. Choćby procedury były najlepsze pod słońcem, jakaś istotna wiedza zawsze pozostaje tylko w głowach konkretnych osób.

Z informacji Mudge’a nie wylania się obraz firmy, która ma sprawne procedury. Wręcz prze-

ciwnie. A im gorsze procedury, im gorsza dokumentacja, tym więcej wiedzy instytucjonalnej, w tym tej dotyczącej infrastruktury, jest tylko w głowach osób, które pracują na danych systemach i bezpośrednio nimi zarządzają.

Cała saga z muskowym „wyłączaniem niepotrzebnych mikroserwisów”, którego wynik był taki, że nagle SMS-y dwustopniowego uwierzytelniania przestały być wysyłane, a więc ludzie nie mogli się zalogować na swoje konta, zdaje się to potwierdzać: gdyby rola i zadania poszczególnych mikroserwisów były dobrze udokumentowane, takich błędów dałoby się uniknąć.

A skoro ogromna część wiedzy jest tylko w głowach poszczególnych osób, kiedy zostają zwolnione, znika też know-how. I nagle nie wiadomo, do czego dana usługa wewnętrzna służy, kto za nią odpowiada i co zrobić, gdy coś pójdzie nie tak.

Co wyłoży się najpierw?

– Obstawiałbym właśnie infrastrukturę. Choćby ze względu na zwiększony ruch przy okazji mundialu w Katarze. To będzie trywialne: na jakimś serwerze zapelni się np. dysk, bo nikt nie czyścił katalogu z logami, bo osoba, która to robiła, została zwolniona

• **Są alternatywy dla Facebooka, Twittera, Instagrama itp. – i to kompatybilne ze sobą, w przeciwieństwie do social mediów gigantów z Doliny Krzemowej – czyli aplikacje ekosystemu Fediversum** ILUSTRACJA KRZYSZTOF PIETRASIK

lub sama odeszła. Dokumentacji brak, nie wiadomo, kogo nawet pytać o to, jak ustalić, co się stało, i jak zacząć problem naprawiać. A potem pójdzie kaskadowo.

Musk jutro tweetuje, że to koniec, i Twitter faktycznie imploduje. Katastrofa, bo... No właśnie, bo co? Jak to realnie wpłynie na nasze życie?

– Zaczniemy od tego, że to już być może się dzieje. Ogromne korporacje nie upadają z dnia na dzień. Całkiem możliwe, że za dekadę Twitter nadal będzie istniał w jakiejś zapomnianej niszy, tak jak wciąż istnieje Yahoo!

Wprawdzie Musk próbuje jeszcze desperacko udowodniać, że wszystko OK, zarzekając się, że Twitter ma „najwięcej aktywnych i nowych założonych kont w historii”, ale nie wiemy, jak ta liczba jest mierzona. Przecież te konta mogą być od dawna nieaktyw-

ne, a właściciele postanowili je teraz zamknąć, pobierając historię i usuwając treści, zanim będzie za późno. Czy to też się liczy jako „aktywność”? Zagadką pozostaje również to, ile z tych nowych kont to boty albo ludzie przyciągnięci tym, że Twitter skręca bardzo mocno w prawo.

To z kolei powoduje, że jeszcze więcej osób, które nie identyfikują się ze środowiskami Trumpa czy Jordana Petersona, będzie odpływało, a platforma powoli stanie się towarzystwem wzajemnej alt-prawicowej adoracji. To w sumie fascynujące i jednocześnie przerażające, z jaką łatwością prawicowe trolle rozgrywa ją Muska.

Reklamodawcy nie chcą być z takimi środowiskami kojarzeni, więc też masowo się ewakuują. Stąd desperackie ruchy Muska typu „weryfikacja konta za 8 dol.” i próby cienia kosztów przez masowe zwolnienia, które w końcu doprowadzą do tego, że zabraknie rąk do naprawiania awarii. Różne części Twittera przecież już przestają działać – czasem nie można dostać SMS-a autoryzującego logowanie, czasem obrazki nie ładują się poprawnie...

Jeśli reklamodawcy uciekną z Twittera, nadal pozostaną tam ogromne ilości naszych danych, które platforma zbiera i analizuje.

– Dane, które Twitter kontroluje – kto, co, do kogo i kiedy tweetnęła, a wszystko z dość dokładną lokalizacją fizyczną – są bardzo wrażliwe. A nie można wykluczyć potężnych wycieków. W grudniu zeszłego roku już do jednego doszło, wykradziono dane 5,4 mln osób, a to było przecież jeszcze przed rządami Muska. W tak ogromnym systemie jest z pewnością sporo innych luk, a zwalnianie osób mogących je załatać nie pomaga.

Osoby z kontami na Twitterze już dziś padają ofiarą ataków wykorzystujących np. chaos związany z systemem weryfikacji. A ze psucie usługi SMS-ów potwierdzających logowanie spowoduje, że sporo osób wyłączy uwierzytelnianie wielostopniowe i stanie się łatwym łupem dla cyberprzestępców.

No i sam Musk może dojść do wniosku, że sprzedając dane, odzyska chociaż część ogromnych pieniędzy, które wpompował w Twittera. Zainteresowany taką transakcją byłby np. reżim Arabii Saudyjskiej...

...który w 2018 r. zlecił brutalne morderstwo dziennikarza „Washington Post” Jamala Khashoggiego, a przedtem inwigilował jego bliskich.

– Ten sam reżim parę lat wcześniej wykorzystał informacje wykradzione przez byłych pracowników Twittera do namierzenia i ukarania swoich krytyków, a teraz pomógł Muskowi sfinansować przejęcie Twittera, inwestując w niego 1,9 mld dol. Oddanie Sandom dostępu do baz Twittera stwarzałoby też zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego samych Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników. Sprawie przyglądają się już w Kapitolu.

A jak to wszystko wpłynie na nasze życie? Debata publiczna będzie musiała się gdzieś przenieść. Konta mediów, instytu-

cji publicznych, całe społeczności budowane przez lata rozprzysię się w poszukiwaniu nowego domu. Spodziewam się też coraz większej liczby botów i kont sięających dezinformację.

Chciałbym wierzyć, że wyciągniemy z tego lekcję i przestaniemy ufać zamkniętym, scentralizowanym cyfrowym silosom.

Seria tak skrajnie nietrafiionych decyzji Muska zupełnie nie pasuje do jego image’u genialnego przedsiębiorcy, a trudno mi uwierzyć, że cały ten fortel z przejściem platformy miał jedynie na celu przywrócenie rzekomo utraconej wolności słowa, na którą Musk tak chętnie się powołuje. Co on chce osiągnąć?

– Moim zdaniem Musk sam do końca nie wie, co z Twitterem zrobić. Szukanie w jego działaniach jakiejś myśli przewodniej to jak dopatrywanie się kształtów zwierząt w chmurach: jeśli będziemy uparci, to je tam oczywiście znajdziemy.

To, czy Musk jest libertari-ninem, scjentologiem, czy może głęboko wierzącym katolikiem, nie ma najmniejszego znaczenia. Filozofia Doliny Krzemowej

śniejsze, największe, najbardziej opresyjne grupy zmonopolizują dyskusje.

Problem zrównoważenia wolności wypowiedzi z koniecznością moderacji toksycznych treści – i tak już trudny – staje się w zasadzie niemożliwy do rozwiązania, jeśli upieramy się, że chcemy mieć jedną, spójną, centralnie kontrolowaną sieć z zestawem zasad dla milionów użytkowników. A operatorzy zamkniętych cyfrowych ogródków właśnie przy tym się upierają, bo na tym opiera się ich model biznesowy.

Zaczyna do nas docierać, że budowanie cyfrowego świata zgodnie z wizją Zuckerbergów i Musków prowadzi do katastrofy. Twitter doskonale to ilustruje. Oto rozkapryszony Janusz cyfrowego biznesu własnoręcznie doprowadza monopolistę społecznościowego do szybkiej ruiny, a konsekwencje odczuwają nie tylko setki milionów użytkowników i użytkowników, ale też ludzie, którzy nigdy z platformy nie korzystali.

Co masz na myśli, mówiąc o zamkniętych ogródkach? Przecież social media to globalne zasięgi i globalna komunikacja.



Mastodon zamiast Twittera, PeerTube zamiast YouTube’a, Pixelfed zamiast Instagrama i Lemmy zamiast Reddita. Taka alternatywna sieć niezależnych, ale kompatybilnych usług społecznościowych nie ma jednego punktu, gdzie ten czy inny regulator albo reżim może przyłożyć dźwignię

to „deregulacja i robienie kasy”, zwłaszcza jeśli da się coś zmonopolizować albo przejąć konkurencję.

Sam siebie nazywa „absolutystą wolności słowa”.

– Bardzo naiwnie i mechanistycznie pojmowanej. Musk i internetowi giganci w ogóle wolność słowa rozumieją jako brak technicznej ingerencji w treść i zasięg postów. Co oczywiście ignoruje fakt, że nękanie i prześladowanie, online i offline, również prowadzi do naruszenia wolności słowa, bo wywołuje efekt mrozący. Osoby nękanie i prześladowane przestają się wypowiadać, a taki często jest przecież cel tych działań. Żeby coś z tym zrobić, niestety trzeba jakoś moderować, ingerować technicznie w proces postowania i w zasięg postów. Inaczej najgło-

– Tak, ale z naszego konta na Twitterze nie porozmawiamy chociażby ze znajomymi z Facebooka. Takie serwisy pozwalają nam się komunikować tylko w ramach jednej platformy, jednego usługodawcy. To tak, jakby z T-Mobile nie dało się dzwonić do abonentów Orange. Absurd, ale z punktu widzenia usługodawców świetna sprawa, bo trudniej klientom odpłynąć do konkurencji. To nie jest uwarunkowane technicznie, to decyzja biznesowa, którą możemy kwestionować.

W przypadku sieci społecznościowych ma to jednak ten plus, że większość naszych znajomych już tam jest. Działa efekt skali.

– Ten efekt skali działa podobnie w sieciach, które nie są scentralizowane i kontrolowane przez

jedną firmę czy organizację, np. w sieciach telefonii komórkowej czy w przypadku poczty elektronicznej. Przecież więcej ludzi używa e-maila niż Twittera czy Facebooka! Nikt nie rodzi się z kontami na tych portalach. Do założenia profilu potrzebny jest adres e-mailowy, a są osoby korzystające z e-maila, które nie mają kont na tych platformach. Choćby ja. Można więc zbudować sieć społecznościową, która nie jest centralnie sterowanym silosem.

Głośno zrobiło się ostatnio o Mastodonie. Serio mógłby zastąpić Twittera? Słyszę od znajomych, że wysoki próg wejścia trochę odstrasza.

– Miesiąc temu byłoby trudno wyobrazić sobie, że będziemy dziś rozmawiać o potencjalnym końcu Twittera. A jednak.

Próg wejścia jest podobny do e-maila. Wystarczy spojrzeć na statystyki. W ciągu ostatnich trzech tygodni jakieś 3 mln osób poradziło sobie z dołączeniem do Fediwersum, czyli zdecentralizowanej sieci serwisów, w której skład wchodzi serwery Mastodona. Nowe konta zakładane są po kilka na sekundę! Może nie doceniamy osób korzystających z in-

ternetu, jeśli twierdzimy, że wybranie serwera ludzi przerasta.

Ale przyznasz, że to może brzmieć trochę onieśmielająco dla kogoś, kto korzystał z przyjaznych w obsłudze portali. Zastanawiam się po prostu, czy np. w przypadku moich rodziców te wszystkie korzyści zdecentralizowanej sieci nie przegrają jednak z siłą przyzwyczajenia. Jak byś ich przekonał?

– Wyobraźmy sobie internet, w którym z naszego konta na Twitterze możemy bezpośrednio komentować posty wujka na Facebooku, przeglądać zdjęcia znajomych na Instagramie czy śledzić ulubiony kanał na YouTube. Takie jest właśnie Fediwersum.

Mówimy o sieci, która jest fundamentalnie inaczej zaprojektowana, bo działa na zasadzie niezależnych, ale mogących się komunikować usług społecznościowych. Mastodon to tylko jeden z wielu projektów. W tej samej sieci kompatybilnych serwisów są PeerTube, a więc otwarta alternatywa dla YouTube’a, Owncast do podcastów, instagrapopodobny Pixelfed, redditopodobne Lemmy i KBin, a za pomocą odpowiednich pluginów nawet WordPress.

Taka sieć nie ma jednego punktu kontroli, nie ma więc jednego punktu, gdzie ten czy inny regulator albo autorytarny reżim może przyłożyć dźwignię. Takie rozproszenie jest siłą, z którą reżimy nie bardzo sobie radzą. Okazuje się, że nawet Chiny mają problem z cenzurowaniem całego Fediwersum.

Co więcej, globalna awaria, taka jak ta rok temu na Facebooku, nie bardzo ma się jak wydarzyć. To, że w Indiach czy USA jakaś instancja chwilowo nie działa, ma dokładnie tyle samo znaczenia co fakt, że w USA czy Indiach chwilowo nie działa jakiś serwer mailowy – dopóki to nie jest mój czy twój serwer, dopóty możemy się ze sobą komunikować. A więc jest to system znacznie bardziej odporny na problemy nie tylko polityczne, ale także techniczne.

Sieć, którą proponują wielkie cyfrowe platformy, służy przede wszystkim im samym. Tym kończy się traktowanie prywatnej, scentralizowanej usługi jako publicznej infrastruktury.

Piszę do ciebie z @hackerspace.pl, ty mi odpowiadasz z @agora.pl – decentralizacja jakoś nie stanowi problemu w przypadku e-maila, bo nikt się nie upiera, żeby miliony czy wręcz miliardy osób korzystały z tego samego dostawcy. Tak samo jest z usługami na Fediwersum. To nie jest pojedynczy serwis prowadzony przez jedną organizację, jak np. polska prawnicowa Albicla, ale rozproszona sieć niezależnych, kompatybilnych instancji.

Praca „tradycyjnych” mediów bez korzystania z Twittera czy Facebooka też wydaje się praktycznie niemożliwa. Kole-dzy i koleżanki z redakcji potwierdza.

– Wbudowaliśmy platformy cyfrowe w nasz medialny ekosystem na własne życzenie. Znam małe organizacje zajmujące się dziennikarstwem śledczym, które czują, że muszą płacić Facebookowi za zasięgi! A doświadczenie moje i innych osób na Fediwersum jest takie, że przy znacznie mniejszej liczbie śledzących w porównaniu z Twitterem mamy znacznie więcej interakcji.

Dlatego coraz więcej organizacji medialnych ponownie odkrywają newslettery czy kanały RSS dające możliwość śledzenia nowości na danej stronie bez pośrednictwa monopolistycznych korporacji i konieczności podawania maila. Nie rozumiem, dlaczego takie media jak „Wyborcza” bardziej nie promują swoich kanałów RSS, a pomagają platformom społecznościowym zmonopolizować możliwość dotarcia do ich czytelników i czytelników. ●

***Michał „Rysiek” Woźniak**

• Specjalista ds. bezpieczeństwa informacji i administrator systemów komputerowych. Były członek Rady ds. Cyfryzacji, były współzałożyciel warszawskiego Hackerspace’a. Pracował jako dyrektor ds. bezpieczeństwa informacji w OCCRP, międzynarodowym konsorcjum ośrodków śledczych, mediów i dziennikarzy, zaangażowanym m.in. w ujawnienie afery podatkowej „Panama Papers”. Współpracuje z wieloma organizacjami pozarządowymi zajmującymi się prawami cyfrowymi w kraju i za granicą

FOT. KRZYSZTOF MILLER / AGENCIA WYBORCZA.PL

Odyby istniało życie po śmierci, Jerzy Urban doskonale by się bawił w zaświatach, obserwując kontrowersje, jakie nadal wzbudza. Co charakterystyczne, nie wpasowują się one w linię sporu dzielącego Polskę na radykalną prawicę i całą resztę.

O ile bowiem nikt z rządzącego obozu Urbana nie broni – a większość czuje się w obowiązku na wszelki wypadek potępić – o tyle także obóz demokratyczny jest głęboko podzielony. Jedni wspominają go jako genialnego błazna, wybitnego felietonistę, mistrza pióra; drudzy – jako twarz reżimu Jaruzelskiego firmującą i współtworzącą jego najbardziej podłą politykę.

Problem w tym, że obie te opinie są prawdziwe. I właśnie ze względu na wszystkie sprzeczności i zakręty życiorysu Urbana jest tak fascynujący – ze wszystkich biografii wielkich dziennikarzy polskich drugiej połowy XX wieku chyba najbardziej, po Michniku, ale przed Kapuścińskim.

Urban pozostawał aktywny jako publicysta przez ponad 60 lat. Debiutował w 1951 r. w „Nowej Wsi”. Jego biografii nie da się sprowadzić ani do lat 80., ani do lat 90., gdy budził największe kontrowersje najpierw jako rzecznik stanu wojennego, a następnie jako naczelny „Nie” u szczytu jego potęgi. Wszystkie biograficzne wcielenia Urbana łączy jedno: działał zawsze w kontrze.

PIERWSZY TROLL PRL-U

Choć nikt wtedy tak tego nie nazywał, już w PRL-u Urbana można by określić mianem trolla. Kogoś, kto za pomocą analogicznych jeszcze mediów wrzuca granat w sferę publiczną i z satysfakcją przygląda się, jak bardzo przekroczył granicę i czy wszystko płonie, czy trzeba jeszcze dorzucić do pieca.

Jako dziennikarz „Nowej Wsi” pisze na siebie samego donos do naczelnej. Półpiśmienny, niegramatyczny list donosi, że na delegacji w terenie Urban się upił, zdemolował pokój hotelowy, zgwałcił pokojówkę i pobił kierowniczkę hotelu. Naczelna zapewniała, że potrafi rozpoznać pismo prawdziwego prostego człowieka, i uwierzyła w list. Urban nie był w stanie jej przekonać, że to żart.

Nie tylko w prywatnej korespondencji Urban w PRL-u sprzed lat 80. przesunął granice tego, co w sferze publicznej można powiedzieć. W okresie destalinizacji jest szefem działu krajowego i jednym z pierwszych piór „Po Prostu”, pisma państwowej inteligencji pragnącej reformy systemu.

Urban wyraża emocje tego pokolenia w „Wyznaniach nawróconego cynika”, gdzie mówi o doświadczeniu dziennikarza, który chce służyć budowie socjalizmu piórem, ale odbija się od głupoty nowego ustroju, mechanizmów cenzury, politykierstwa.

W odpowiedzi na to wszystko dawny ideowy zapal zmienia się w cynizm. „Pamiętam, było to w okresie pionierskiego zaciągu do przemysłu i górnictwa. Pod Warszawą znajdował się ośrodek, w którym mieszkały dziewczęta z zaciągu pracującego w tamtejszej fabryce. Działy się tam rzeczy straszne – brud, głód, nędza, choroby, prostytutka, brak opieki, zbiorowe ataki hysterii, próby samobójstwa. Napisać mi o tym nie pozwolono w imię »celów wyższych«. (Zniechęci się młodzież do zaciągu)”.

Urban zatytułował tekst po prostu „Wyznania cynika”, redakcja dopisała mu „nawróconego”, by osłabić jego wymowę. Po Październiku Urban jest autorem, który atakuje „partyjną konserwę”. Nostalgikom twardej stalinowskich rozwiązań zarzuca błędne rozumienie socjalizmu.

Późniejszy naczelny „Nie” wprowadza też do PRL-u nowe formaty dziennikarskie, np. reportaż uczestniczący. Daje ogłoszenia w krakowskiej prasie, że w Hotelu Francuskim będzie działało biuro matrymonialne pomagające znaleźć Polkom męża za



Adam Michnik poleca

ZAWSZE W KONTRZE

Dlaczego młodzi ludzie tak polubili Urbana?

Jakub Majmurek

granicą, a pracownik przesłucha kandydatki w określonym dniu. Tym pracownikiem był oczywiście Urban, na podstawie rozmów z kobietami powstał jego reportaż „Pamiętnik swata”.

Widzimy w nim Polki w wieku od 50 do 70 lat, marzące o tym, by wyrwać się z PRL-u i znaleźć męża, najlepiej we Francji lub Australii. Najchętniej bogatego, ale wystarczyłoby względnie zamożny i uczciwy. Kobiety są nawet gotowe wyjechać do Izraela, ale pytane o męża Żyda okazują nadal idącą rezerwę, a nawet otwarty opór.

Z jednej strony Urban pokazuje w „Pamiętniku”, jak drobnomieszczańskie są pragnienia społeczeństwa PRL-u i jak niewielki wpływ na realne życiowe aspiracje mieszkanki ma głoszona oficjalnie przez system ideologia wtłaczana w głowy w codziennej propagandzie, z drugiej – trudno oprzeć się

wrażeniu, że Urban jest okrutny wobec swoich bohaterów, że używa swojej inteligencji, by się nad nimi pastwić.

Dziś pewnie pojawiłyby się zarzuty, że reportaż jest przykładem „klasowego safari” – i ten zarzut można wystosować wobec wielu reportaży i felietonów Urbana pisanych przed rokiem 1980.

Urban ma genialne oko do szczegółów i kolorytu Polski powiatowej, zbiera plotki opowiadane w jej maglu, szuka tego, co najbardziej kuriozalne i prząśno-bizarne, by zrobić z tego błyskotliwą, diabelnie śmieszoną literaturę. Felietony Urbana z „Kulis” opisujące szczególnie absurdalne sprawy sądowe zostały przeniesione na ekran w filmie „Obrazki z życia” (1975). Swoje nowelki mają tam m.in. Agnieszka Holland, Feliks Falk (twórcy kolarzeni z kinem moralnego niepokoju) czy Barbara Sass-Zdort.

Humor Urbana zawsze był bezwzględny: gdyby urodził się w Stanach i robił karierę jako stand-uper, w sztuce roastu i obraźliwego, krawędziowego żartu mogliby się z nim równać tylko Jeff Ross i Gottfried Gilbert. Działło to doskonale, gdy Urban bierze na warsztat osoby publiczne – „Alfabet Urbana” (1990) jest arcydziełem genialnych złośliwości.

O Stefanie Kisielewskim pisze: „Kiepski kompozytor, średni krytyk muzyczny, drugorzędny powieściopisarz, nudny felietonista, dobry publicysta, naiwny i niewytrwały polityk. Talentów ma wiele, ale wszystkie marne. Marks twierdzi jednak, że ilość przechodzi w jakość. Wbrew swoim interesom Kisiel zwalcza marksizm”.

O ks. Henryku Jankowskim: „Jako rzecznik rządu zwalczałem ks. Jankowskiego zawzięcie i z powagą polemizowałem z jego mowami wiecowymi. Pewnego pięknego dnia byłem na przyjęciu w ambasadzie amerykańskiej. Ks. Jankowski wkroczył wystrojony w czarny smoking z londyńskimi orderami na piersi. Szedł nadęty jak afrykański królik, a z nim kroczyły dwa goryle, też w czerni. Na ten widok wpierw gruchnąłem śmiechem, a potem zrobiło mi się wstyd, że byłem niby lotnik, który z powagą i zawziętością usiłuje zrzucić bombę atomową na lunaparczną budę”.

O Bronisławie Geremku: „Należy do trzech-czterech ludzi, którzy rządzą Polską. Zabawne, że mając taką wiedzę i taki leś, dba o to, aby tę swoją rolę akcentować i uzewnętrzniać każdym słowem i gestem. Mówi, podkreślając intonacją, że cokolwiek wypowie, ma wartość i wagę złota. Nosi się jak monarcha. Takie przedstawienia urządzają na ogół ludzie, którzy władzy nie mają, lecz obnoszą jej pozór. Tymczasem to polityk poważny i rozważny, a władzę ma rzeczywiście. Jednym słowem, facet jakby wyjęty z prowincjonalnego teatryku, który nieudolnie i mozolnie udaje kogoś, kim jest”.

URBAN I JUNTA

Oczywiście zupełnie inaczej wyglądało, gdy Urban tę genialnie złośliwą inteligencję obracał przeciw zwykłym ludziom, a inaczej gdy używał jej jako rzecznik rządów Jaruzelskiego. Co prowadzi nas do najbardziej trudnej moralnie kwestii: związków Urbana i junty Jaruzelskiego.

Zanim stał się twarzą rządów stanu wojennego, nigdy nie był dziennikarzem bliskim władzy. Przeciwnie, za trolling płacił wymierną polityczną i zawodową cenę. Dwukrotnie został objęty zakazem druku, przez prawie siedem lat nie mógł pracować pod nazwiskiem.

Po raz pierwszy władza wzięła go na celownik w 1957 r. Październikowe okno wolności szybko się zamyka, a wraz z nim „Po Prostu”. Urban zostaje objęty zakazem druku jako jedno z najbardziej „niesłusznych” piór. Żyje z chałtur, pisze pod pseudonimem, utrzymując go rodzice. Po trzech latach wraca do „Polityki”, do pisma wciągającego Mieczysław F. Rakowski.

Po dwóch latach dostaje kolejny zakaz druku. Tym razem za tekst wyśmiewający fanatycznego działacza antyalkoholowego z Krakowa, dr. Marcinkowskiego, który objężdża kraj z pogadankami przeciw pijaństwu, w których wzywa do organizowania obozów pracy dla pijaków, a nawet ich sterylizacji. Marcinkowski atakuje też inteligentów, którzy kierowani złe pojętym humanitaryzmem nie rozumieją sensu takich działań.

Urban wyśmiał Marcinkowskiego i jego retorykę głoszącą, że droga do narodowej pomyślności wiedzie przez „abstynencję, więzienia, kastrację, a tu i ówdzie strycek. Pijak bowiem, przestępca i zgnili intelektualista – to jedno. Hydrę zetrze się z powierzchni ziemi represją. A za pieniądze wydawane na wódkę naród automatycznie kupi sobie dobrobyt”. Do pisania pod nazwiskiem mógł wrócić dopiero w 1968 r.

Także w czasach Gierka Urban zachowywał duży dystans wobec władzy. Tym większym szokiem dla środowiska było to, że stał się twarzą junty Jaruzelskiego. Urban mógł postrzegać tę decyzję jako kolejny akt sprzeciwu i nonkonformizmu: wobec postaw środowiska, które w większości sympatyzowało z „Solidarnością”, wobec społecznych nastrojów. W „S” odstraszał go przyczepiony do niej dewocyjny, reakcyjny katolicyzm, pojawiający się w jej retoryce nacjonalizm, kompletnie nierealistyczne – jak oceniał – żądania gospodarcze. Uważał, że to kolejny niebezpieczny zryw, który przyniesie Polsce wyłącznie nieszczęście.

Można zrozumieć racje i emocje Urbana, ale trudno się zgodzić z jego decyzją. Jakiekolwiek byłyby solidarnościowe msze za ojczyznę, to przez „Solidarność” przemawiała wtedy „chytrość rozumu”, to opozycja wyrażała słuszne narodowe i wolnościowe aspiracje. System PRL-u w latach 80. znajdował się w stanie skrajnego rozkładu, trudno było go reformować od wewnątrz, Polsce Ludowej zostało niewiele poza przemocą.

Urban świadomie dał jej twarz. Nie tylko uzasadniał działania reżimu, ale też pomagał w PR-owej osłonie jego siepaczy w konstruowaniu strategii komunikacyjnych nastawianych na niszczenie demokratycznej opozycji, co dobrze widać choćby w książce „Żeby nie było śladów”.

Nie będę bronił tych decyzji, bo bronić ich się nie da. Choć pamiętam też o historycznym kontekście, o tym, że ostatecznie ekipa Jaruzelskiego – gdy geopolitycznie było to bezpieczne – rozpoczęła proces prowadzący do demokratycznych przemian. A oburze-

nie na Urbana za lata 80. zawsze wydawało mi się zbyt moralnie łatwe. Miałem wrażenie, że Urbanowi dostawało się nie tyle za lata 80., ile za jego antyklerykalizm, wolnomysłicielstwo, postawy po 1989 r., kiedy z kolei często miewał rację.

DLACZEGO MŁODZIEŻ POLUBIŁA „JURKA”

W latach 90. Urban zakłada „Nie”. Jestem na tyle późno urodzony, że pamiętam czasy, gdy pismo to czytali wszyscy, a zarazem wszyscy zarzekali się, że takiego „plugastwa” w życiu nie biorą do rąk. „Nie” było – czy może bywało – ważnym wentylem wolności w początkach polskiej transformacji. Jedynym wielkonakładowym pismem, w którym tak silnie obecny był język antyklerykalny, które pozwalało czytelnikom odreagować wielką ideologiczną ofensywę Kościoła wystawiającego Polskę po 1989 r. słony rachunek za wsparcie dla demokratycznej opozycji w poprzednim ustroju.

„Nie” nie bało się wyśmiać pretensji biskupów, pisać o kościelnej korupcji, upominało się o prawa reprodukcyjne kobiet, potrafiło pisać o aborcji świeckim, niekonfesyjnym językiem, co w latach 90. było rzadkością.

■
Być może byłoby lepiej dla Polski, gdyby sztandar oświecania podniósł nie Urban, ale ktoś z piękną opozycyjną kartą. Chętnych jednak nie było

Owszem, język i estetyka „Nie” były przy tym grubo ciosane, wulgarne, często na granicy dobrego smaku. Ale taka też była oświeceniowa satyra. Taki był język karykatur Thomasa Rowlandsona, Jamesa Sayersa. „Skromnej propozycji” Jonathana Swifta, w której autor „Podróży Guliwera” proponuje, by rozwiązać problem biedy Irlandii, zachęcając ubogich Irlandczyków, by zaczęli sprzedawać swoje dzieci angielskim dżentelmenom jako źródło wykwinтного mięsa, czy „Podróży do Ciemnogrodu” Stanisława Kostki Potockiego.

Być może byłoby lepiej dla Polski, gdyby sztandar takiego oświecania podniósł nie Urban, ale ktoś z piękną opozycyjną kartą. Chętnych jednak nie było. Gwiazdy dziennikarstwa ze słuszniejszymi biografiami przekonywały do konkludatu, „kompromisu aborcyjnego” i zachwycały się „papieskim nauczaniem”. Urban wszedł z radością w rolę kieszonkowego diabła III RP, króla chaosu i karnawału, osobistego wroga pana Boga, Lecha Wałęsy i Marka Jurka. Zachowywał się też, jakby odgrywał karykaturę wstrętne-go kapitalisty z cygarem, jakby mówił wyrzuconym za burtę dawnym działaczom „Solidarności”: nie podobало się wam w PRL-u, walczyliście o kapitalizm, to macie, patrzcie, kto najbardziej na tym zyskał!

Cokolwiek by mówić o „Nie”, okazało się, że w wielu kwestiach – wpływów Kościoła, aborcji – miało rację. Stawało też kilkakrotnie na froncie sądowych sporów definiujących zakres praktycznej wolności słowa w Polsce. W trakcie sporu o aborcję z początku lat 90. „Nie” na ostatniej stronie okładki umieściło zdjęcie wycięte z dostępnego w każdym kiosku „Penthouse’a” przedstawiające kochającą się parę

i podpisane: „Dziewczyna »Nie«. Cena: 18 lat alimentów albo dwa lata więzienia”. Chodziło o przekaz: jak zakażą aborcji, to skończy się swobodny seks, bo wpadka będzie oznaczać konieczność płacenia za niechciane dziecko lub więzienie.

Urbanowi postawiono zarzut „rozpowszechniania pornografii”, ale proces okazał się kompromitacją prokuratury. Powołani przez nią biegli ostatecznie przed sądem zmienili ocenę publikacji: jeden z nich stwierdził, że o ile samo zdjęcie jest pornograficzne, o tyle zdjęcie z podpisem już nie. Prokuratura wystąpiła o umorzenie sprawy, sąd na to przystał. Urban się odwołał, gdyż chciał zostać prawomocnie niewinny. Proces okazał się jego triumfem.

Choć polskie prawo nie ma charakteru precedensowego, to ta sprawa poszerzyła zakres wolności słowa w Polsce, wylała kubel zimnej wody na ludzi pragnących użyć prawa i narzędzi państwa, by narzuci dorosłym obywatelom swoją moralność.

Drugi swój najgłośniejszy proces Urban przegrał. Poszło o felieton z 2002 r. „Obwoźne sado-maso”, w którym wyśmiał wizytę schorowanego papieża w kraju. Tekst był nieprzyjemny, okrutny wobec papieża, ale też na tle tego, co elity intelektualne wypisywały wtedy o Janie Pawle II przy okazji „papieskich pielgrzymek”, stanowił potrzebny kontrapunkt. Choć Urban został prawomocnie skazany za „obrazę głowy państwa Watykan”, to tekst można traktować jako założycielski dla gatunku cen-zopapy – nurtu karykaturalnych tekstów kultury, memów, piosenek, internetowych past biorących na celownik postać Jana Pawła II, odreagowujących urzędowo narzuca-ny kult tej postaci.

Ten ostatni tłumaczy, dlaczego młodzi ludzie tak polubili Urbana, nad czym załamują ręce liderzy opinii z różnych stron dzisiejszych sporów. Nie jest to efekt, jak często przekonują, „nie-dostatków edukacji historycznej w III RP”. To reakcja na narzucaną politykę historyczną, wciskanie młodym ludziom papieża i jego „nauczania”, na krzyże w klasach i inne elementy specyficznego dla III RP modelu relacji między państwem i Kościołem, który zaczyna tracić właśnie swoją legitymację.

POŻYTEK Z URBANA

Urban był z temperamentu i przekonania kontrarianinem, zachowywał się wielokrotnie tak, jakby zależało mu na tym, by obrazić i zrazić do siebie jak najwięcej ludzi. Często był kontrarianinem z dość wygodnych pozycji – łatwo jest pokazać całej Polsce wielkiego fucka z willi w Konstancinie i z milionami na koncie. Kontrarianizm niejednokrotnie prowadził go na moralne i intelektualne manowce, nie-raz, jak podrapało się głębiej, okazało się, że myślowo kryje się pod nim bardzo niewiele. Miał też swoją brzydką stronę – elitarystyczną, przepelnioną niechęcią do klas ludowych.

Przy wszystkich zastrzeżeniach pozostaje on jednak czymś potrzebnym w polskiej kulturze, w której obserwujemy potężny nacisk położony na konformizm (choć dziś podzielony na polityczno-towarzystwie bańki), dostosowanie się do większościowych poglądów i afektów; która wszelkie idiosynkrazje traktuje z subtelnością kaprała Ludowego Wojska Polskiego „przycierającego” nieradzącego sobie z reżimem na kompanii rekruta. ●

Tekst ukazał się na stronie „Krytyki Politycznej”: Krytykapolityczna.pl

W PONIEDZIAŁEK
W „WYBORCZEJ”



POKAŻCIE TO PUTINOWI

DOWODY
ZBRODNI

Fotoreportaż

Evgeniya Maloletki,

laureata Nagrody

im. Krzysztofa Millera

JAKI HIT?

Co dają młodym

lekcje historii

i teraźniejszości?

BRONIUS I JEGO
ZWIERZYNIEC

Postanowił oddać

światu tyle wilków,

ilu wcześniej

pozbawił życia



Za sprawą trwającego w Katarze mundialu (ciekawe, za kogo teraz trzymają Państwo kciuki?) czasy mamy takie, że gdy słyszymy: „Niebiesko-Czarni”, myślimi wędrujemy raczej na Stadio Giuseppe Meazza w Mediolanie, a nie na estradę czy sale koncertowe, ale dziś w „Weekendówce” nie będzie o piłce nożnej, ale o muzyce, ze szczególnym uwzględnieniem polskiego bigbitu.

A to za sprawą Czerwonych Gitar, które 10 grudnia 1966 roku wydały swoją pierwszą płytę długogrającą „To właśnie my”.

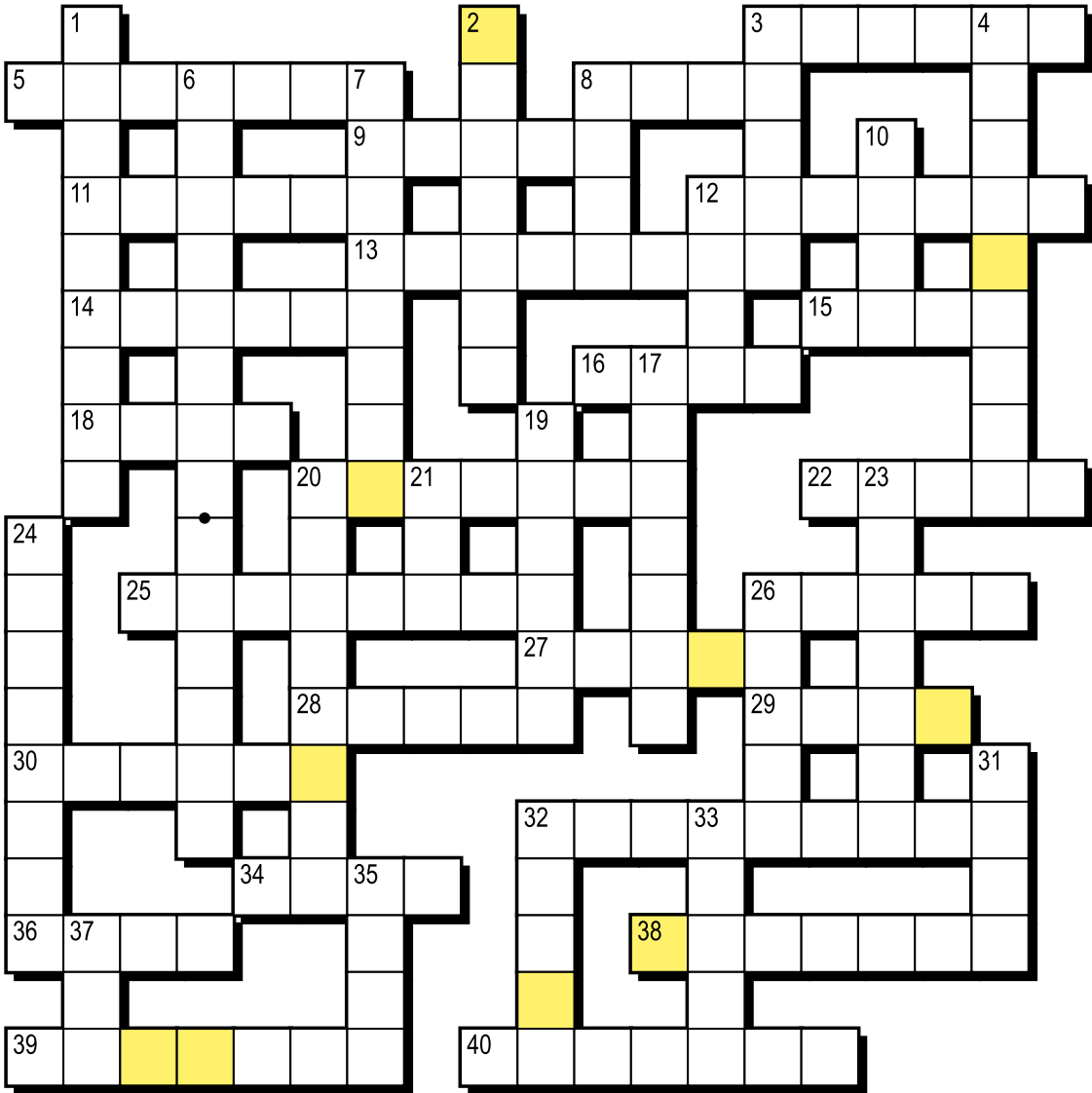
I tu kilka słów wyjaśnienia. Nie było to pierwsze płytowe wydawnictwo założonego na początku 1965 roku w gdańskiej kawiarni Cristal bandu. Pierwszy krążek, o czym przypomina oficjalna strona Czerwonegitary.pl, zawierał cztery kompozycje: „Bo ty się boisz myszy”, „Taka jak Ty”, „Licz do stu” i „Pluszowe niedźwiadki”. Tylko ten pierwszy utwór znalazł się na debiutanckim longplayu. A oprócz niego takie hity jak: „Matura”, „Nie zadzieraj nosa”, tytułowa „To właśnie my” czy wspaniała ballada „Historia jednej znajomości”.

Wyjaśnienie kolejne – otóż według definicji twórcy pojęcia „big-beat” (czyli z angielskiego mocnego uderzenia), dziennikarza muzycznego Franciszka Walickiego, Czerwone Gitary do bigbitu zaliczane być nie powinny. Słowo „bigbit” było bowiem polskim określeniem zakazanego przez komunistyczne władze pojęcia „rock ‘n’ roll”, a Czerwone Gitary w zasadzie rocka nie grały. Ale że bigbitem określa się po prostu muzykę młodzieżową lat 60., to i grupa, która nazwę wzięła od koloru instrumentów, na których grała, jest jak najbardziej bigbitowa.

Tym bardziej że Seweryn Krajewski, który zastąpił w składzie Czerwonych Gitar Henryka Zomerskiego, oraz Jerzy Skrzypczak musieli ukrywać, że grają w kapeli. Za przynależność do takiego zespołu groziło im bowiem wyrzucenie ze szkoły muzycznej. Dlatego brakuje ich na pierwszych zdjęciach oraz plakatach Czerwonych Gitar.

Zapraszamy zatem do zanurzenia się w cudowny świat bigbitu, a żeby łatwiej było Państwa „namówić na wspólną zabawę”, jak zaśpiewałyby Czerwone Gitary, swoje zagadki zada również Michał Rusinek. Baw się razem z nami! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 29 z 3.12:

Poziomo: 4) Marillion 7) Stranglers 10) Myslovitz 11) Edith Piaf 12) Sting 15) Krawczyk 17) Bowie 18) gitara 19) cover 21) Bee Gees 22) Paul 23) list 24) mur 25) Nirvana 27) Imagine 28) Dylan 31) dom 32) Diana 33) Adele 35) Omega 37) Van Halen 39) Hey Joe 40) Aerosmith 41) Marley
Pionowo: 1) piosenki 2) Elton 3) Jovi 5) Armstrong 6) Elvis Presley 7) szeryf 8) Autobiografia 9) riff 13) Grechuta 14) McFerrin 16) Houston 20) O! Ela 22) Prince 24) Małgośka 25) Niemien 26) Reed 29) Axl Rose 30) Nalepa 31) Davis 34) Day 36) Wham 38) hit.

HASŁO: **ROLLING STONES**

BIGBIT

Hasła Michała Rusinka oznaczono inicjałami (MR). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

3) Michaj, występował z zespołami z określenia 30 poziomo
5) Kasia, śpiewała: „O mnie się nie martw”, „Trzynastego”
8) „Malowana ...”
9) stolica polskiej piosenki
11) kompozytor, instrumentalista i wokalista, a przy okazji nazwa rzeki z powieści Orzeszkowej (MR)
12) na firmamencie i na estradzie (MR)

13) zespół bigbitowy z lat 1962–66, przekształcony w Akwarele
14) zespół kojarzony z Janem Wojdakiem
15) ... Keczer, śpiewał z Czerwono-Czarnymi
16) „Płoną góry, płoną ... w przedwieczornej mgle”
18) „Nie możemy iść dzisiaj do ... – dozwolone od lat osiemnastu”
20) imię Poznańskiegogo, wieloletniego członka zespołu Trubadurzy
22) „Po ten ... czerwony”, w repertuarze No To Co
25) nagrane na longplayu
26) „Z kopyta ... rwie”
27) „... z moich stron”
28) „... domowa”, serial, w którym pojawiła się piosenka o takim samym tytule

29) muzyka zespołów Tajfuny, Blackout
30) Niebiesko-... lub Czerwono-...
32) Helena, występowała z zespołami z określenia 30 poziomo
34) „W drogę! Już na mnie ...”
36) uważana za pierwszą polską rock operę
38) „Gdy odlatują ..., utwór instrumentalny Wojciecha Klenczona
39) „... ratuszowego zegara” (Niebiesko-Czarni)
40) zespół, w którym występowali Halina Frąckowiak i Edward Hulewicz

Pionowo:

1) Bernard, muzyk kojarzony z zespołem 6 pionowo

2) „Mówią: płonie ..., płonie, aż strach, aż kurzy się z niej”
3) „... jesieni”, piosenka zespołu z określenia 6 pionowo
4) „... będzie dla nas”
6) z Kosselą i Krajewskim w składzie
7) występy na żywo
8) Jacek, wykonywał piosenkę „Warszawa jest smutna bez ciebie”
10) „Wysokie płoty ... grodził”
12) musi go mieć wokalista (MR)
17) Jacek i ... Zielińscy, bracia z grupy Skaldowie
19) imię wokalistki, która występowała m.in. z Grupą ABC
20) Ada i Ania (MR)
21) „... o Warszawie”

23) Franciszek, dziennikarz nazywany ojcem chrześnym polskiego bigbitu
24) Krzysztof kompozytor piosenki „10 w skali Beauforta”
26) Wojciech, gitarzysta i piosenkarz związany z Niebiesko-Czarnymi
31) „Takie ładne ...”
32) „Anna ... smutną ma twarz”
33) „...”, którą idę, jest jak pierwszy własny wiersz”
35) imię w tytule piosenki Stana Borysa
37) Sari lub Rusowicz (MR)

Leszek Rydz

Byle do **Weekendówki**

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store
POBIERZ Z Google Play